

WIAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 22-29 lutego 1948 r.

Nr 8-9 (137-138)

W NUMERZE:

między innymi:

R. Rybacka — U źródeł „Piasta”
W. Kacper — Konserwatyzm chłopskich radykałów
R. Lesiakowski — Trzy lata chłopskiego wysiłku
W. Jażdżyński — W chłopskim gimnazjum
M. Pujmanowa — Truhla
A. Kamińska — Ideologia „Ludu”
R. Bratny — Wiersze
J. Pogan — Przednówek
A. Nofer — Dworek miał zatrzymać historię
L. Budrecki — Wróćcie na pastwisko

Wacław Nałkowski

CHŁOPOMANIA IDILLICA^{*)}

Od czasów najdawniejszych aż do dni naszych — od Dyogenesa do Tolstoja, duże subtelniejsze, umysły wyższe, krytyczne, uginające się pod brzemieniem uczuć i myśli, odczuwające i rozumiejące wadliwość współczesnego im społecznego ustroju, współczesnego stadium cywilizacji, ulegały w części na podstawie swego osobistego instynktu zachowawczego, w części na podstawie hyperkrytycznego rozumowania, „wylewającego dziecko wraz z kąpielą” — popędowi do zrzucenia bolesnego brzemienia myśli, zerwania gniojących więzów cywilizacji — popędowi do powrotu ku naturze, instynktom, pierwotności, prostocie.

Popęd ten, z którego korzystali nieraz ludzie w cywilizacji zapóźnieni, lub co gorsza, szalbierze, by we własnym interesie powstrzymać rozwój ludzkości, wyraził się po wielokroć w systemach filozoficzno-społecznych lub utworach artystycznych i to w różnych formach odpowiednio do charakteru twórców: w formie fanatycznego ascetyzmu Savonaroli — demokratycznego idylizmu Rousseau'a — arystokratycznego estetyzmu Ruskina — brutalnego dynamizmu Nietzschego — prostaczego ascetyzmu Tolstoja.

Ze wszystkich wyżej przytoczonych myślicieli-działaczy najwybitniejszym, a przynajmniej najbardziej typowym i wpływowym przedstawicielem idei „powrotu do natury” był bez wątpienia Rousseau, który opracował swój system w sposób najbardziej skończony i wszechstronny, przeciwstawiając go wiekowi oświecenia, ideom encyklopedystów.

Idee Rousseau'a nie zdołały jednak cofnąć ludzkości do stanu natury, zburzyć cywilizacji: przeciwnie, w paroksyzmie rewolucji francuskiej otrząsnęła się ona z wytkniętych jej wad, złożyła należną daninę uczuciu (romantyzm) i szła dalej po drodze ewolucji, do czego krytycyzm Rousseau'a i jego pomysły, złagodzone, zmodyfikowane znacznie się przyczyniły. Pod parciem realnych potrzeb życia, zbyt wybujałe wzloty uczucia zostały ściągnięte na ziemię, nastąpiła epoka przyśpieszonego rozwoju wiedzy pozytywnej, olbrzymiego wzrostu przemysłu — spotęgowania tętna kulturalnego.

I obecnie wyrosło znów nowe brzemienie cywilizacji z nowymi wadami i pod ich naciskiem zaczyna znów kiełkować w tej lub innej formie, z większymi lub mniejszymi zastrzeżeniami idea powrotu do natury, do zaniedbanego uczucia. U nas idee Rousseau'a podjął uczony przyrodnik St. Kramsztyk w końcowym rozdziale swych wybornych szkiców przyrodniczych, zatytułowanych „Człowiek i przyroda”.

Pan Kramsztyk podejmuje ideę Rousseau'a, ideę powrotu do natury; a jakkolwiek uznaje, że taki powrót do przyrody, jakiego chciał zagniewany na cywilizację znakomity genewczyk, jest niemożliwy („albowiem człowiek po raz drugi narodzić się nie może”), to jednak w niezwykłym pięknym porównaniu podnosi zastrzeżenie Rousseau'a w tym mianowicie, że nas nawrócił ku przyrodzie uczuciowo i upatrzył w tym podniesienie etyczne człowieka.

*) Fragmenty artykułu „Natura i siła”, drukowanego w „Prawdzie”, 1893 r.

przeciwstawie ambicji, oraz argument wobec tych, co w naukach przyrodniczych widzą wpływ demoralizujący, materializujący człowieka.

W kwestii podjętej przez autora *Szkiców przyrodniczych* pozwolimy tu sobie rozwinąć parę własnych poglądów.

Naprzód twierdząc, że powrót do natury w duchu Rousseau'a jest niemożliwy,



winni jesteśmy postawić na to dowodu: otóż sądźmy, że dowód taki tkwi w zasadzie walki o byt, jako w czynniku rozwoju, cywilizacji, oddalania się od natury. Ludzie natury giną w walce o byt z ludami cywilizacji, powrót więc pewnego ludu do stanu natury byłby dlań wyrokiem zagłady; powrót zaś całej ludzkości na łono natury byłby tylko nowym rozpoczęciem tej samej gry, którą ludzkość zaczęła już od wieków: wśród tej ludzkości powróconej na łono natury wywiązałyby się walka o byt, która zaczęłaby ją znów oddalać od stanu natury po raz przebytej już drodze cywilizacji.

Rzeczywiście: przy każdej formie znudzenia zawsze objawia się owa tęsknota do natury. Tęskni do niej zarówno wojownik okryty ranami, jak i człowiek przepracowany umysłowo, przeżyłszy wyczerpanie lub też rozpustnik zużyty zmysłowo: zarówno

człowiek wyczerpany orgiami ducha, jak i orgiami ciała. Ta tęsknota jest jednak w rezultacie identyczna z uczuciem tego smakosza i viveura, co długi czas objadał się ostrygami, pasztetami, homarami, spijał benedyktyny, chartreusy, szampany; co młodzież strawił wśród elegantek paryskiego półświatka... „tęskni” on za — grochem z kapustą i chlebem razowym, za „czystą” wódką, która trąci karczmą, za prostą dziewczyną wiejską (jak znów da-

ma wielkiego świata za zakopiańskim „frajerem”).

Dla uzupełnienia powyższej ilustracji „tęsknoty do natury” zwrócimy jeszcze uwagę czytelnika na dwa blisko z nią spokrewnione objawy, mianowicie: *knajpizm***) i *chłopomanstwo*. Że knajpizm jest wynikiem znużenia, wyczerpania, choroby, to naturalnie nie potrzebuje dowodzenia, a jednak jest on tylko leczniczo-realną formą idei Rousseau'a. Co do rozpowszechniającego się u nas w ostatnich czasach chłopomanstwa, to nie mamy tu na myśli ani pedagogizmu społecznego, mającego na celu umysłowe i ekonomiczne podniesienie ludu, ani też naukowo-etnograficznego, mającego na celu naukowe zbadanie

**) Mowa o rozpowszechnionym wówczas przyrodolecznictwie księdza Kneipa.

objawów życia ludowego i w ogóle życia ludów pierwotnych (jeżeli kierunki te można nawet w ogóle nazwać tym mianem), lecz chłopomanstwo właściwe, tj. uczuciowo-obyczajowe, czułościowo-sielankowe, które chętnie ubiera się w sukmanę i łapcie, zarzuca grzebienie i mydło, jako wymysły niemiecko-szatańskie, wpada w świętobliwą ekstazę na widok chłopskiej budy lub chłopskich wierszydeł, przypisuje ludowi niebyswałe cnoty i idealność uczuć, na podobieństwo owych, nieznających etnologii, podróżników, którzy dziś zachwycali się gołębią dobrocią człowieka pierwotnego, a nazajutrz „spoczęli na łonie natury”, tj. w jego kanibalskim żołądku. Temu prądowi u nas przypisać należy, że w dobie ostatniej głównym kierownikiem filozoficzno-estetycznej myśli polskiej jest Sabala — dostawca żetycy dla chorych żołądków i mądrości dla chorych, lub uwstecznionych w rozwoju, mózgów...

„A Pan Bóg — mówi ten prorok — śmierć chrast w pysk”. Ach jakież to ładne!! — woła w ekstazie taki nawiedzony przez chłopomania idillica, a za nim odbija się ten cały stado Panurga. Idąc za tą ideą ludzkość powinna by zarzucić tragedie Shakespeara, poemata Byrona, utwory Goethego itd. zarzucić prawa Keplera i Newtona, odkrycia Wattów, Edisonów, zarzucić wszystkie swe zdobycze, co tyle łez i krwi ją kosztowały i iść po naukę i piękno do peszeresów, buszmanów, australczyków i — Maćków.

Powiedzą mi może, iż wszystkie zdobycze cywilizacji w pierwotnej umysłowości człowieka wzięły swój początek? Bardzo dobrze, ale stąd bynajmniej nie wynika, aby teraz trzeba było powracać do początku; niech ci panowie chłopomani zechcą łaskawie odrzucić uszlachetnione kulturą bery i spożywać twarde, jak kamień, a kwaśne, jak ocet gruszeki polne i niech wołają ze zdławionym gardłem: ach jakie to smaczne! Z pewnością nie zrobią tego, bo chociaż i smak się psuje (jak zauważyliśmy wyżej), to przecież zwykle nie tak prędko, jak mózg; a zresztą ta nasza *chłopomania idillica* jest po większej części objawem mózgowych niepracywilizowanych (bo takich u nas mało), lecz raczej *niedocywilizowanych* lub tylko względnie niedocywilizowanych (smak zaś nasz stoi zwykle na wysokości cywilizacji); my jesteśmy jak ów australczyk lub botokud, dla których już średnie wykształcenie było silną dozą cywilizacji, tak, iż, wyczerpani nią uciekają na łono natury.

A może panowie chłopomani sądzą, że australczyk lub botokud utrzymują tym sposobem swą narodowość? Jeżeli tak, to są w grubym błędzie: schłopenie narodu jest tylko zgubą: „mój Boże, mówiła pewna szlachaczka do turystów, czy też studentów wrocławskich, tacy porządni panowie i mówią po polsku!”

Zechciejmy przeciw zrozumieć to, że jeżeli wolno komuś, co „znużony cierpieniem, przeciwnością, wiekiem”, chce osiąść wśród „Łobzowian”, żyć ich życiem prostym, nie wyczerpującym nerwów; że jeżeli należy podnosić lud umysłowo i ekonomicznie, oraz badać naukowo objawy nękającej jego pierwotności, to nie wolno i nie należy odwrotnie: życia takiego uważać za ideał ludzkości, a plody ducha człowieka pierwotnego wnosić *in crudo* do cy-

Wacław Nałkowski

Kiedy Prus pod koniec „Lalki” ukazuje symbole pół-kolonii: Boga, ziemię i lud (a jest to rok 1894) są już w Kongresówce i Galicji polityczny szermierz tej koncepcji: Popławski, Wasilewski, Dmowski... Przebrane 30-lecie „polskiego kapitalizmu” zwraca myśl inteligentno-mieszczańską do nacjonalizmu ludowego. W części wyrażać ona będzie cofnięcie się mieszczaństwa, ziemiaństwa i inteligencji z frontowych pozycji działania kapitalistycznego w „zacisze sennych chat” i „wiecznej natury”, słowem tam, gdzie wydaje się iż będzie się wolnym od kapitalizmu i od konieczności rozwiązywania jego problemów industrialnych i klasowych. W części wyrażać ona będzie nową próbę przygotowania się do udziału w walce o kapitalistyczną pozycję narodu na drodze imperialnych zdobyczy u boku i na koszt jednego z sąsiednich mocarstw (najpierw Dmowski — Rosja, potem Piłsudski — Niemcy).

Wacław Nałkowski, jeden z ostatnich pozytywistów — ewolucjonistów walczyć będzie osaczony ze wszech stron z „nowymi

ideami” tego kulturowego nurtu nacjonalizmu ludowego. W latach 80 — 90-tych powstaje „Wedrowiec”, „Wisła”, „Lud”. Tu wysmażają się koncepcje regionalizmu, etnograficzne poszukiwania i badania. Chałubiński i Witkiewicz odkrywają Tatry i góralszczyznę, G. Pawlikowski po r. 1890 podejmuje kampanię antyindustrialną. Popławski będzie nakazywał „iść coraz głębiej w przeszłość aż do najniższych kondygnacji... gdzie już świadomość milknie a odzywa się głos krwi, przyrodzony instynkt rodowy”.

Ekonomiści, jak Jaworski, w historii widzą działanie siły irracjonalnej, posiada ją wieś, „program mający określić strukturę naszego społeczeństwa wyjść musi z punktu widzenia agrarnego”. Te wpływy działają na B. Wysłoucha „Przegląd Społeczny”.

Te wszystkie siły i dążenia wywołują ostrzegawcze słowa Nałkowskiego, dają temu staremu żubrowi pozytywizm okazję użycia najlepszych, trwałych na wczoraj i dziś argumentów pozytywizmu.

J.A.K.

wilizacji i tym sposobem powstrzymywając jej rozwój.

Wskutek tego wstecznego prądu zwykle materiały do etnografii identyfikuje się z płodami artysty lub głębokiej myśli, a zatem idzie znów przecenianie zasług zbieraczy: jakiś fotograf lub rysownik, który przedstawiał nam parę typów chłopskich, będzie uchodził za etnologa, jakiś szczęśliwy posiadacz osobiście pomalowanego jajka, kijanki o dłuższym trzonku, niż zwykle, jakiś znalazca skorupy lub dobitniejszego wariantu z poematu „Kaska za piec” itd. jest u nas obecnie uważany za potęgę naukową, przynajmniej tak wielką, jak głęboki znawca i szczęśliwy posiadacz marki pocztowej z wyspy Mauritius! (a to nie jest wcale bagatela!).

Nie chcemy tu bynajmniej zaprzeczać, że np. niektóre motywy pieśni lub podań ludowych, jako objawy pewnej siły (o czym niżej), *obrobione* artystycznie przez mistrza tonów lub słowa, mogą się stać wielkimi utworami sztuki, podobnie jak pewne kamienie, w naturze zamieszczające i niekształtne stają się po oszlifowaniu najpiękniejszą ozdobą. Nie myślimy przecież, że wszelkie, choćby najdrobniejsze choćby najniezwyklejsze, objawy życia ludu mogą posłużyć uczonemu etnologowi do *zbudowania doniosłych praw naukowych*; chodzą tylko o to, by objawów tych nie traktować ze stanowiska mdłej czułości. Co innego jest, powtarzamy, chłopomaniastwo idylliczne, a co innego socjologiczne lub etnologiczne; tak samo jak co innego jest „tęsknota na łono natury”, a co innego badanie tej natury przez uczonego przyrodnika lub skierowywanie jej sił na pożytek społeczeństwa przez doświadczonego technika. Nie chcemy tu wreszcie bynajmniej tłumić „zapału” tych etnografów zbieraczy, bo naturalnie lepiej, gdy jakaś „panienka ze dwóra”, zamiast zbierać plotki szlacheckie dość banalnego kosmopolitycznego charakteru, zbierać będzie typowe gadki chłopskie — chodzą nam tylko o to, aby rzecz każda była postawiona na właściwym jej miejscu, *suum cuique!* Albowiem, gdy społeczeństwo będzie jedne produkty opłacać moralnie zbyt wysoko, to na inne zbraknie mu odpowiedniej monety i tak też dzieje się w rzeczywistości.

Analogiczny pogląd na wartość szczegółów etnograficznych i ich zbieraczy był już w „Prawdzie” poprzednio w krótkości wypowiedziany tak przez autora niniejszych szkiców (z powodu „obrony” geo-

grafii jakoteż przez Posła Prawdy***). Pogląd ten wywołał polemikę między innymi w tak poważnym piśmie etnograficznym, jak *Wiśła*. Sądźmy, że polemika ta wynikała jedynie z nieporozumienia, które chyba zostanie usunięte powyższym rozbiorem tej kwestii. A jeżeli p. I. K. mówi przy tej sposobności w *Wiśle*, że „możemy się wiele nauczyć od Maćków”, to my dobrze wiemy, co taki znawca metod naukowo-etnograficznych, mógł pod tym wyrażeniem rozumieć. Znaczący to, że jeżeli będziemy studiowali np. budowlę bobrów albo robotę pszczół, to możemy się nauczyć wiele o ich instynkcie, sposobie życia itd., lecz naturalnie nie nauczymy się od nich budownictwa ani teorii maximów i minimów; albowiem nasza technika i nasza umysłowość przeżyła dawno stadium bobrów i pszczół i nie myśli bynajmniej do nich powracać. Podobnie, gdy dowiemy się od „Maćków” z europejskiej niziny, że kamienie erracyjne „czort rozsypał”, od czarnogórców, że ich góry powstały wskutek rozzerwania się worka z kamieniami unoszonego przez Boga; od czikosów, że liczne serpenty ukołochanej ich Cissy powstały dzięki szczególniejszej pieczy jakiegoś świętego, który, chcąc suche ich stepy obdarzyć rzeką, zaprzął osła do pluga, dosiadł go i zaczął wyorywać bródę, lecz żarliwego osła, szukając trawy, zbaczal co chwila to w jedną, to w drugą stronę i pokrzywił bródę itd. to przez te wszystkie wiadomości wzbogaca się nasza wiedza o *siłach umysłu człowieka pierwotnego*, lecz naturalnie nie nasze teorie lodowcowe, orogeniczne lub hydrologiczne. To znaczy jednym słowem, że p. I. K. mówiąc, iż możemy się wiele nauczyć od „Maćków”, rozumiał przez to, iż możemy się wiele nauczyć na Maćkach i na to zupełnie zgoda. Ale pospolity zbieracz weźmie to natychmiast w znaczeniu „Ladowej Pieczary” i tym tylko szkodę przyniesie może, albowiem takie twierdzenia źle zrozumiane, podsycają obecnie istniejący u nas zastęp ludzi, którzy w dobrze zrozumianym własnym interesie są zasadniczymi nieprzyjaciółmi nauki, nie chcą nic wiedzieć o rozumie filozoficznym i odrzucają stare rzeczy o zdrowym czyli chłopskim rozumie (według którego naturalnie słońce obraca się naokoło ziemi), a posiadając mechaniczną zdolność pisania, białamucą umysł i tak już bardzo potrzebującą światła. To jest jeden z czynników dzisiejszej

*** Aleksander Świętochowski.

reakcji wstecznej; powrotu do dawnej prostoty, dawnych wierzeń, dawnych głupstw.

•

Choć ze stanowiska *ogólno-ewolucyjnego* musieliśmy wystąpić przeciw tej, że tak nazwiemy *naturotropii* (która przybiera różne formy a między innymi formę chłopomani), to jednak z *obecnego* stadium rozwojowego musimy przyznać, że tęsknocie do przyrody, obok maniaków i zacofańców, rzuconych w wir cywilizacji, podlegają nieraz, jak to już wspomnieliśmy właśnie ludźmi najwyższej uorganizowani duchowo, albowiem oni właśnie w obecnej, wśród nienormalnych warunków toczącej, walce o byt zużywają się najbardziej (podczas gdy filistrzy zadowoleni prosperują); są to właśnie wyżej wspomniani „siłacze” zmuszeni dźwigać gwichły zbyt wielkie, i dlatego podźwigujący się mimo swych sił niezwykłych. I rzeczywiście którzy z dzisiejszych wyższych duchów, stojących na wyłomie, wiodących bezustannie a beznadziejnie (dla siebie samych przynajmniej) zapasy, nie doświadczali, przynajmniej w pewnych cięższych chwilach walki, tej tęsknoty? Kto nie pragnął wtedy „w ciszy wiejskiej zagrody zapomnieć, że są na świecie narody”, kto nie powtarzał „dość, dość żyłem nie sobie... ha, tam chyba odżyję, gdzie powietrze, gdzie stepów dowoli”, kto nie zazdrościł indjaninowi, przebiegającemu swobodnie dziewicze lasy Nowego Świata, kto nie zazdrościł wolnemu synowi pustyni jego wyścigów z wichrami, horyzontu bez końca, nieba bezchmurnego, nocy iskrzących się gwiazdami jaśniejszymi, żywiej niż u nas... Jakkolwiek oni uczuła nam podobnych nie doświadczają: uczuć takich względem takich obrazów przyrody może doświadczać ten tylko, „kto je utracił”. Najlepszą zresztą ilustracją, że najwyższej uorganizowane jednostki podlegają właśnie tej tęsknocie do przyrody jest sam naukowy inicjator idei powrotu do przyrody, Rousseau, jak również analogiczny z nim filozof — poeta Nietzsche: gruntem uczuciowym u obu jest wyczerpanie się cywilizacją, a czy ono objawi się w formie tęsknoty do spokoju na łonie natury, czy w formie tęsknoty do pierwotnych brutalnych instynktów, startych przez cywilizację, to jest to już tylko kwestia temperamentu danego osobnika. Objawy takie antycywilizacyjne u duchów potężnych, które wdarły się aż na szczyt cywilizacji, przypominają tego wodza, który

forsownym marszem dążył w bój i wszystkie swe pułki wyprowadził od razu w ogień; zdobył najwyższe pozycje, lecz już nie miał sił do ich utrzymania; musiał się cofnąć wyrzekając się wszystkich korzyści zwycięstwa.

W tym, że właśnie najwyższej uorganizowane jednostki podlegają dziś często (choćby chwilowo) tej tęsknocie do natury, leży po części przyczyna złudzenia, że ta tęsknota, mianowicie w formie swej idyllicznej, jest jednoznaczna z „uczuciami szlachetnymi”; a zresztą człowiek tęskniący do przyrody (spokoju) jest już inwalidą (choćby chwilowym), ustępując z placu, nikomu nie przeszkadza w wiecznych wyścigach: zyskuje on przez to naszą sympatię, nazywamy go „szlachetnym”, jak *lucus a non lucendo*, gdyż jest on właśnie niezdolny do walki (*Schlacht*).

Gdy wreszcie rzucimy okiem w *daleką przyszłość*, to znajdziemy jeszcze jeden argument przeciwko stałemu powrotowi do natury. Ludzkość dożyje bowiem chwili, gdy powrót do natury byłby nietykalnie bezużyteczny, lecz absolutnie niemożliwy, a to z tego prostego powodu, że nie będzie już do czego powracać: „natura” w tym znaczeniu, o jakim mówimy, zniknie, kraj obrazowa rozmaitość otoczenia będzie jedynie objawem działalności człowieka. Gdy na „dziewicze” dziś jeszcze szczyty gór łańcucha w promieniach słońca srebrną oponą śniegów, pobiegą szyny kolei; gdy rzeki, wijące się malowniczo wśród zielonego kobierca łąk, staną się prostymi jak sznur, kanałami, ujętymi w tamy; gdy dziko-wspañia, nieokielznane działo wodospadów staną się fabrykami elektryczności; gdy niezmierzony ocean zostanie pokryty pływającymi miastami; gdy orkany będą pracować dla człowieka; gdy groźne dziś kuźnie Hefaista staną się kuźniami zwykłymi; gdy nawet widok nieba gwiazdźdźstego zaćmiewać będą liczne statki lub miasta powietrzne; gdy szumiące bory, wśród których można „upołować tyle dumań”, znikną, ustępując miejsca intensywniej kulturze, coż wtedy z dzisiejszej „natury” zostanie, prócz może „Parków Narodowych”? Wtedy „natura”, a właściwie otoczenie, będzie jedynie wyrazem wszystkiego łamiącego rozum ludzkiego, nieugiętej woli ludzkiej, niezmierzonych, nieskończonych pragnień ludzkich!

Wacław Nalkowski

Rozalia Rybacka

U Ż R Ó D E Ł „P I A S T A”

Jeszcze o „Starej Zasłonie”*)

BRZEMIE ENDECI

Gdy mikołajczykowski PSL usiłowało stróić się w cudze płótki i uroczyście głosić zaczęło swoje „pięćdziesięciolecie”, starałam się (w art. p. t. „Na marginesie pięćdziesięciolecia PSL”) wykazać, że nie ma ono na to prawa. Ze tradycji swoich w ruchu ludowym szukać mogło najwyżej w prawniczym nurcie. A nurt ten, wyhodowany przez klasy obszarniczo-kapitałistyczne i w ruch ludowy przez nie wsczepiony, stanowił tubę, przez którą obszarnictwo i burżuazja dyktowały swoją ideologię masom ludowym. Żeby zaś ukryć jego charakter i pochodzenie, zasłonięto go zasłoną kłamstw i legend głęboką ranę powstałą w miejscu gdzie wdarł się on do ruchu ludowego: rozłam w galicyjskim stronnictwie ludowym w grudniu 1913 r. Gdy tylko zlekka dotknęłam tej zasłony, wystąpił w jej obronie wierny jej stróż, jeden z organizatorów rozłamu p. Zygmunt Lasocki (naówczas hrabia Lasocki) i usiłował wzmożnić tę zasłonę jeszcze jedną legendą, podając jako przyczynę rozłamu walkę przeciw kurii średniej własności. Odpowiedziałam na to na łamach tygodnika „Wiśła”, z czego wywiązała się polemika, do której przyłączył się ob. Czula, literat wiejski. Ob. Czula nie znając początku polemiki może nie zupełnie wyczuł jej sens. Wydało mu się, że demaskowanie pochodzenia prawnicy w ruchu ludowym może ubliżyć temu ruchowi. Nie, ob. Czula, ujmę ruchowi ludowemu może przynieść właśnie bezkrytyczne przyznanie tych wszystkich zasłon z legend i oszczerstw, którymi klasy posiadające manewrowały, żeby unieszkodliwić ruch ludowy, a manewrowały tak zresztą, że potrafiły zagłuszyć głos jasny i wyraźny, pogrążyć w zapomnienie to, co pisał „Zaranie”.

„Rząd z panami polskimi i biskupami uplanował sobie unieszkodliwić ludowców dla swoich zamiarów i swojej polityki. Plan taki powzięli wtedy, gdy Stapiński zapowiedział, że w imieniu ludu będzie dłań żądał szerokiej praw: głosowania powszechnego na posłów do Sejmu,

zmiany systemu podatkowego, obciążającego głównie lud i t. d. Rząd tedy z panami polskimi postanowili unieszkodliwić Stapińskiego, a zatem i ludowców, a ku temu użył Długosza, ministra Zaleskiego, innych Rejów, Kędziórów i t. d.” (Zaranie Nr 51 18.XII.1913 r.).

I dobrze, że „rozmowy u starej zasłony” przyłączył się, choć mimochodem, ob. Czula. Szczególnie z radością witam myśl ob. Czuli zawartą w słowach: „Nie żadna” gęsta zasłona”, ale otwarte, szczerze przedstawienie wypadków i zdarzeń zaszłych w ruchu ludowym i rozwoju stronnictw ludowych — powinno być naczelnym przykazaniem tych, co zechcą pisać jego kronikę”. Właśnie o to chodzi. O prawdę historyczną. Żeby ją znaleźć potrzebne jest właśnie dociekanie, potrzebne zestawienie wspomnień, dokumentów i faktów i wymiana zdań, bo to każdemu przyszłym historykiem pogłębiać badania. I nie można w tym widzieć żadnej obrazy, ani rozdzielania ran, bo to o czym mówimy już przeszło do historii, stanowi jakby zamknięty okres historyczny, a historia ukazuje nam rozwój zdarzeń, dlatego my wiemy co było dalej, co z czego wynikało, a ludzie, którzy wówczas działali, tego nie wiedzieli. Młode pokolenie, poznawszy całą prawdę z historii ruchu ludowego, tym lepiej zrozumie jak trudna była walka, jak ciężkie przeszkody spotykał ruch ludowy na swojej drodze i tym bardziej poważać go będzie.

Ob. Czula pisze: „Endecja była mafią bez skrupułów i bardzo niebezpieczną, ale na wieś nie mieli endecy po co przychodzić, bo ich chłopci nie słuchali”. I na dowód, jak „siabę zapuściła korzenie we wsi polskiej, że nigdy dla ludowców groźna partia nie była” wspomina wybory do Sejmu w r. 1922 w okręgu Tarnowskim, jak to tam wtedy kandydat endecji „ośmieszył się małą ilością rzucanych na niego głosów tak gruntownie, że uciekł jak niepyszny z Tarnowa” *).

*) Dla ścisłości: piastowcy zdobyli tam wtedy nie 7 mandatów, ale 5, a 2 zdobył ks. Czuj dla Str. Katolicko-Ludowego, które zresztą też weszło w skład ChjenoPiasta.

Z historii wiemy, że po tych wyborach utworzony został „Chjeno-Piast” i rządy w kraju objeli Dmowscy, Głabińscy i t. p. endecja śmiałanka. Nie mieli endecy po co chodzić na wieś — chłopskie głosy dostali po wyborach hurtem.

„Endecja była mafią bez skrupułów i niebezpieczną”, i „nigdy dla ludowców groźna partia nie była”, bo „mandaty zdobywała przeważnie po miastach” powiada ob. Czula. Radzi też czytać Szczepańskiego „Z dziejów Ruchu Ludowego”. W książce Szczepańskiego, na str. 83, czytamy:

„W całym tego słowa znaczeniu złym duchem W. Witosa, jego doradcą i sugestionerem był endek w każdym calu, a tylko z pokostu piastowców redaktor Józef Rączkowski. Niejednokrotnie zachodził do niego, jak Rączkowski Witosowi omotał, jak miał wpływ na niego szalony i kierował jego krokami i czynami, byle ten trybun ludu jaknajspieszniej i jaknajpewniej kroczył na prawo... Był czas, że poseł Dubiel Gabriel**) rozpowiadał w różnych sferach, że pod wpływem Rączkowskiego Witos należy do endecckiego sprysiężenia, w którym konfratrzy bywają zaprzysięgani na dotrzymywanie przeróżnych zobowiązań i tajemnic***).

Możnaby powiedzieć, że endecja nie tylko dla ludowców groźna partia nie była, ale nawet opiekowała się czule i bezinteresownie stronnictwami ludowymi. Naprz. Stojalowszczykami. „W końcu podreperował się sprzedażą domu i drukarni i wydawnictwa endecji, z którą zawarł wprawdzie przymierze, żeby łączyć wspólnie „Związek Ludowo-Narodowy” pisze we wspomnieniu o ks. Stojalowskim ob. Czula ****).

**) Dubiel Gabriel, nauczyciel gimnazj., jeden z organizatorów „Piasta” i jego pierwszy sekretarz generalny.

*** Mowa tu o endeckiej tajnej „Lidze Narodowej”, której członkowie związani byli przysięgą. Rozwiązana się ta Liga podobno w 1936 r.

****) Maciej Czula „Ks. Stan. Stojalowski”, „Wiśła”, nr 42, 1946 r.

Posel endecki Stanisław Rymar, redaktor od r. 1907 do 1922 sławetnej „Ojczyzny” od r. 1910 red. „Wienca i Pszczółki” chwali się w swoim życiorysie *), że napisał broszurę: „24 lata politykowania Jana Stapińskiego” wydaną w 100.000 egzempli. i przyczynił się do ustąpienia Stapińskiego z Klubu P. S. L.; że napisał też broszurę „Ludowcy i ich program rolny”, której 20.000 egz. „rozkupiono w tydzień”.

Czyż nie jest wzruszająca ta dbałość endecji o to, żeby „kompromisowy” przywódca nie pozabawił Stronnictwa Ludowego jego radykalnego charakteru? Tak samo wzruszające było np. opanowanie przez endecję Tow. Szk. Ludowej i Tow. Kółek Rolniczych w Galicji, Gazety Świątecznej i „Zorzy” w Królestwie i t. d.

„Ciężkim brzemieniem legła endecja na naszym życiu publicznym” — pisał „Zaranie” w r. 1918 — „ciężkim i trudnym do zwalczania. O tej fałszywości endeków w ludowej skórze pamiętaliśmy zawsze Bracia ludowcy! I, widząc ich, z pod lwiej skóry patrioty-rewolucjonisty śmiało wyciągamy im ośle uszy reakcjonisty - endeka, służalca ciemnoty, patrona i stróża „duszy pańszczyźnianej” chłopa” („Zaranie” Nr 44, 30.10.1918 r.).

O stosunku endecji do ludu wiejskiego pisał Nocznicki w r. 1919: „Chcieli aby ten lud był posłusznym narzędziem w ich reku: aby dla nich, dla ich polityki, wypowiedział walkę klasie robotniczej; aby ten lud wiejski wytworzył z siebie proletariata i aby go potem zwalczał politycznie. Oto czego chcą endecy! Już od 1906 roku ujawnili swoją politykę. Od tej pory ich postępowanie w Dumie szli zawsze z reakcją, od tej pory zaciekle w kraju zwalczała wszelki postęp, a szerzyli obudę i nieprawdę. Od tej pory wypowiedzieli bezwzględna walkę ludowi polskiemu, jego wyzwoleńczej pracy, jego chęci szczerzej budowania Polski Ludowej” **).

*) Rzepeccy „Sejm i Senat 1922—27”.

**) T. Nocznicki „Prawda o bezpartyjności”.

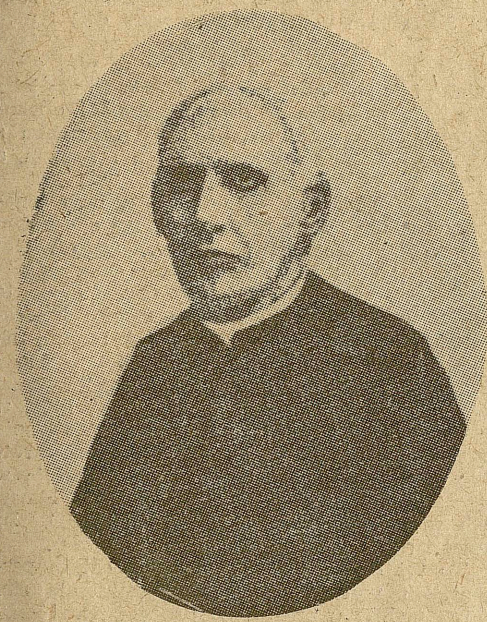
*) Patrz: „Wiśła” Nr 48 (1947 r.) i Nr 7 (1948 r.).

A teraz po tylu latach dalszych doświadczeń dowiadujemy się, że „endecja dla ludowców nigdy groźną partią nie była”. I to po niedawnym doświadczeniu z Mikołajczykiem, którego „oślich uszu reakcjonisty-endeka” wielu ludowców tak długo nie dostrzegano!

CHŁOPSCY PAMULARZE

P. Lasocki w dalszym ciągu pisze o kurii średniej własności. Można całą rozprawę napisać o kurii średniej własności, ale to nie przesądzi sprawy, nie zmieni faktu, że nie spór o tę kurie był przyczyną rozłamu. W poprzednim artykule powołałem się na pierwszy po rozłamie numer „Piasta”, który wskazywał jako przyczynę rozłamu zapowiedź Rady Naczelnej, że odtąd „PSL pójdzie razem z socjalistami i postępowcami”. A teraz przytoczę uchwały Rady Naczelnej z dnia 13 grudnia 1913 roku, jak je dosłownie przedrukował wówczas „Zaranie”. (P. Lasocki przypuszczał nie na tym posiedzeniu Rady Naczelnej obecny nie był, bo już przedtem znalazł się poza obrębem stronnictwa, ale uchwały jej są mu pewnie znane).

W sprawie nas interesującej, t. j. w sprawie reformy wyborczej: „Rada Naczelna cofa



Ryszard Stojalski

wszelkie ustępstwa w sprawie reformy wyborczej na rzecz wielkiej własności, żąda od sejmiku uchwalenia czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego bez kurii wrylistów i protestuje przeciw petryfikacji dzisiejszych przywilejów obszarów dworskich i przeciw połączeniu obszarów dworskich z gminami według obecnego projektu rządowego”.

Jasne, że przeciwników kurii średniej własności, petryfikacji przywilejów obszarów dworskich i rządowego projektu połączenia obszarów dworskich z gminami — ta uchwała mogła zadowolić i nie dawała im powodu do rozłamu. (Czteroprzymiotnikowe prawo wyborcze wyklucza wszelkie kurie, oprócz kurii wrylistów, którzy nie są wybierani. Dlatego uchwała straszyła się osobno przeciwko tej kurii). Więc jednak nie „spór o kurie średniej własności” był przyczyną rozłamu.

Tym, co dbali o radykalny charakter stronnictwa i nie chcieli kompromisów, zadość czyniły następujące uchwały:

„Rada Naczelna uznaje, że jedynie drogą walki z rządem i reakcyjnymi (wstecznymi) żywiołami w kraju P.S.L. jest w stanie urzeczywistnić swój program ludowy”.

„Rada Naczelna uznaje, że polityka tak narodowa jak społeczna PSL musi być niezależną od wstecznych żywiołów w Kole Polskim i od rządu”. „Rada Naczelna uznaje, że co się tyczy sojuszu politycznych, to reprezentacja PSL zgodnie ze swoimi zasadami winna zawierać sojusze tylko ze stronnictwami postępowymi”.

Ale Rada przyjęła także uchwały dotyczące wewnętrznych spraw stronnictwa:

„Rada Naczelna PSL uznaje, że odtąd posłów stronnictwa, skupiających się około tygodnika „Piast” (wydawany przeciw Stapińskiemu) umożliwia tylko zwycięstwo reakcji i że odtąd ten nosi cechy reakcyjne”.

„Rada Naczelna wyraża nagane Białemu i Rejowi z powodu ich stanowiska w delegacjach, niezgodnie z programem PSL i połączonego z pokrzywdzeniem ludu”.

„Rada Naczelna uznaje, że minister Długosz, jako reprezentant PSL, nie działał zgodnie z interesami tegoż stronnictwa, przeciwnie działał na jego szkodę przez ignorowanie prześladowania ludowców przez rząd i reakcyjne sfery, oraz przez intrygi wśród posłów, przeciwnych posłowi Stapińskiemu”.

Ze swej strony p. min. Długosz „wyliczył, ile on to pieniędzy na wybory wydołał od rządu i dawał Stapińskiemu na jego partię, mówiąc że to on sam daje...” i t. p., czyli, że Stapiński jest zaprzędany rządu”.

W rezultacie Rada uchwaliła: „Rada Naczelna wyraża posłowi Stapińskiemu za jego stanowisko w polityce dzisiejszej pełne zaufanie, jako też podziękowanie za 25 lat uciążliwej służby dla ludu”.

Wówczas zapewne posłowie „Długoszowcy” wyszli z sali, a Rada w ostatniej rezolucji uchwalała wykreślić ministra Długosza ze stronnictwa.

Podając rezolucję uchwaloną przez Radę Naczelną w Rzeszowie, dodaje „Zaranie” od siebie:

„Tak więc oszczercy i rozbijacze jedności i w tym i siły ludowej — przez sam lud, przez Radę Naczelną stronnictwa zostali potępieni; ze 150-u obecnych wyszło 19 posłów: Rejów, Długosza, Angermanów, Kędziórów i t. p. oraz chłopów pamularzy**). Lud zrozumiał tam, że gotował się wielki zamach na jego wolność i prawa i odparł go z godnością, a stanowczo”.

„Rząd z panami polskimi i biskupami uplanował sobie nieszkodliwych ludowców dla swoich zamiarów i swojej polityki. Plan taki powzieli wtedy, gdy Stapiński zapowiedział, że w imieniu ludu będzie dłał żądał szero- kich praw: głosowania powszechnego na posłów do Sejmu, zmiany systemu podatkowego, obciążającego głównie lud i t. d. Rząd tedy z panami polskimi postanowił nieszkodliwić Stapińskiego, a zatem i ludowców, a ku temu użyli Długosza, ministra Zaleskiego, innych Rejów, Kędziórów i t. d.” („Zaranie” Nr 51, 18.XII.1913 r.).

Co jest dla ludowca miarodajne, ob. Czula? „Olbryzmia większość posłów”, czy olbryzmia większość Rady Naczelnej? Tym bardziej, że wówczas ludowcy, zahukani tylo- letnim krzykiem o „chamstwie” posłów chłopskich „bez uzdolnienia, bez znajomości niemieckiego języka” itd. — wybierali w większości na posłów nie ludzi swoich najlepszych, tylko „wykształconych” i wygadan- nych.

PIENIĄDZE RZĄDOWE

Długosz, człowiek bogaty, w ciągu 5 lat swego członkostwa w stronnictwie ludowym nieraz dawał pieniądze na różne potrzeby stronnictwa, za co mu też nieraz Rada Naczelna dziękowała; aż wreszcie, w celu utra- cenia Stapińskiego, zaczął opowiadać, „ile to on pieniędzy na wybory wydołał od rządu i dawał Stapińskiemu na jego partię, mówiąc, że to on sam daje”. To właśnie nazwał szantażem, oczywiście ze strony Długosza, a nie Średniawskiego, jak to chce wmówić swoim czytelnikom p. Lasocki. Można też nazwać to nie szantażem, o prowoka- cją.

Daszyński, który sprawę tych historii z pieniędzmi rządowymi przedstawił w parlamencie, opowiada w swoich „Pamiętnikach”, jak to zainterpelował premier, hr. Stuergh, przynajmniej, że dał p. Jaworskiemu „dla Stapińskiego 80.000 kor. na kupno „Kuriera”, ale oświadczył, że p. Stapiński mógł nie wie- dzieć, skąd pochodzą te pieniądze” (pos. Ja- worski zaofiarował Stapińskiemu pożyczkę 80.000 kor.).

Te austriacko - galicyjskie historie o pie- niądzach rządowych, które przepływały człowiek bez jego wiedzy, mogą niejednemu nasunąć dziwne myśli, szczególnie w noc bezsennej, albo w innej wolnej chwili. Na przykład: co by to było, gdyby Długoszowi pomieszały się w kieszeni pieniądze i dałby na wydanie tygodnika „Piast” właśnie pie- niądze rządowe? Ale „Zaranie” z tamtych czasów podaje, jakoby minister Długosz da- wał Stapińskiemu na stronnictwo pieniądze swoje, tylko potem zwracał je sobie z fundu- szów rządowych. W takim razie rzeczywiście na „Piasta” przypadłyby pieniądze rządowe. I jak wobec tego byłoby z tą togią... z togią świętego oburzenia cnotliwych panów z „Pia- sta”?

O sprawie Poppera Daszyński pisze: „Póź- niej wyszło też na jaw, że nacziarz baron Popper za pośrednictwem Długosza dał obu posłom 45.000 koron za popieranie jego spraw. Przynajmniej na tyle opiewał kwit p. Długosza, chociaż p. Stapiński twierdził, że otrzymał tylko 25.000 na cele stronnictwa”.

Więc Długosz, jako minister dla Galicji, przysłał się Popperowi, który przez wdzię- czność dał mu 45 tys. kor. na stronnictwo i otrzymał od Długosza kwit. Ale Długosz dał Stapińskiemu tylko 25 tys. kor., a resztę za- chował, czyżby dla siebie? Czy też... na fun- dusz „Piasta”?

Daszyński pisze dalej: „... Izba wniosek uchwalała i 20 grudnia 1913 r. tow. Diamond i ja położyliśmy ministra rodaka (t. j. Długosza — R.). Nie śmiał nawet pokazać się w Izbie i podał się bez zwłoki do dymisji. P. Długosz jednak w rezultacie rozbił po- tężne PSL na dwie części, a sam jako bo- gacz i człowiek „siłnych nerwów”... prze- trwał ten upadek wcale niezły”.

Więc parlament po rozpatrzeniu sprawy potępił Długosza. Czy posłowie piastowcy, tak wrażliwi na punkcie moralności, wyciągnęli z tego konsekwencje? Nie, mocno stali przy Długoszu, a usprawiedliwiali to w swo- im piśmie takim argumentem:

„Własnoręczne pismo cesarskie:

„Kochany Długoszu („Lieber von Długosz”) uwalniam Pana w lasce, na Pańską prośbę. z urzędu mego ministra z uznaniem dla Pań- skich usług, spełnianych z wiernym odda- niem się”.

„Pismo to świadczy najlepiej, że wszelkie zarzuty podnoszone przeciw osobie i urzędo- waniu min. Długosza są zwyczajnym oszczerstwem. Najjaśniejszy Pan bowiem nie wyraził się z uznaniem o swym ministrze,

** Pamula — papka dla pojenia cieląt. „Pamularze” — chłopci, których zjednali sobie panowie papką i czapką.

gdyby na to nie zasługiwał” (Piast Nr 1 rok 1914).

Argument rzeczywiście niezłoty i o długo- trwałym działaniu, bo zapewne pomógł Długoszowi zostać później senatorem w Polsce. I teraz jeszcze może to pod jego wpływem p. Lasocki w dyskusji stara się oszczędzić Długosza, wypychając wszędzie Średniawskie- go, a ob. Czula, oszczędzając Długosza, kale- czy cytaty z „Pamiętników” Daszyńskiego. Chociaż raczej przypuszczam, że ob. Czula pisał swoje cytaty z pamięci i dlatego są zniekształcone.

Ale p. Lasocki powiada: jakże, przecież Stapiński wówczas na Radzie Naczelnej w przystępie szczerości i skrucy sam przyznał, że sprzedawał interesy stronnictwa, prawa ludu itp. I odsyła nas. p. Lasocki do artyku- łu Witosa p. t. „Co dalej” w Nr 2 „Piasta” z 1913 r., gdzie o tym przystępie szczerości jest mowa. Ołóż w artykule „Co dalej” autor z ubolewaniem wielkim opowiada, jak to ogromna większość Rady Naczelnej stron- nictwa ludowego, „ludzie, którzy za kwiat tego ludu powinni być uważani” przyjęli oklaskami i okrzykami „brawo” słowa Sta- pińskiego, gdy ten mówił: „sprzedawałem was i interesy stronnictwa, łączyłem się na waszą szkodę z konserwatystami, sprze- dawałem wasze prawa, walałem się w bło- cie i korupcji itd”.

Mnie się zdaje, że każdy kto zna choć tro- chę publicystykę chłopską tamtych czasów i komu nie zależy specjalnie na przedstawie- niu Rady Naczelnej stronnictwa ludowego jako zdeprawowanej bandy, zrozumie od ra- zu, że w słowach Stapińskiego była ironia, którą sala w lot podchwyciła i przyjęła oklaskami. Ironią posługiwali się ludowcy często i rozumieli ją doskonale. Przykładów można dać bez liku, gdyby miejsca na to starczyło. Oto np. piszą ludowcy spod Lan- korony do „Przyjaciela Ludu” w korespon- dencji p. t. „Szkoda marudzić” (w r. 1908): „Wszystkie prawie stronnictwa wołają, że Stapiński sprzedawał panom ludowców. Tego nam, Lanckoronianom, za mało, przeto ra- dzimy naszym wrogom nie marudzić, tylko w najbliższym numerze umieścić, jak zwykle co następuje: „Stapiński okradł Bank Parce- lacyjny i uciekł do Ameryki...” I za to ogło- szenie z góry dziękujemy. Lanckoronianie”. Zresztą sam autor artykułu „Co dalej” nie gardzi ironią. Cóż tam czytamy? „Prezes Sta- piński zwyciężył... Rada Naczelna PSL w Rzeszowie uchwalała mu pełne votum zaufa- nia, a potępiła stanowisko jego przeciwni- ków. Takie wiadomości przyniosły pisma łaknącem wieści czytelnikom; niektóre zaś dodały, że zwyciężyła prawda i miłość nad obłudą i nienawiścią. Czytaj to ludu i rozko- szuj się! Wszak przecie odniosłeś zwycię- stwo, które uratowało ideę od deprawacji, postępek od zalewu reakcji i wstecznicwa” (podkreślenie „Piasta”).

Gdyby przeciwnicy piastowców posługiwali się ich metodami, mogliby przez lat przeszło 30 opowiadać: „Witos w przystępie szczerości sam przyznał, że potępienie grupy „Piasta” przez Radę Naczelną PSL w Rzeszowie było zwycięstwem ludu, zwycięstwem które ura- towało ideę od deprawacji, postępek od zalewu reakcji i wstecznicwa”.

Tak więc, ob. Czula, te wszystkie prowoka- cje z pieniędzmi rządowymi nie były przy- czyną rozłamu, ale jego skutkiem. Rozłam zapoczątkowany był o wiele wcześniej i z po- ważniejszych przyczyn.

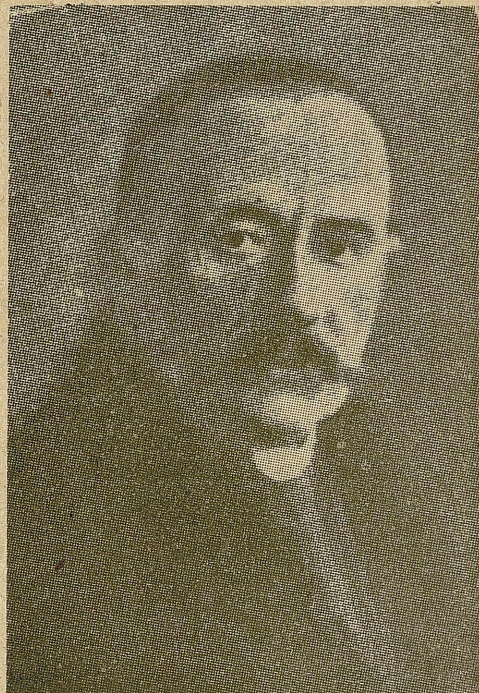
SOJUSZ Z BURZUAZJĄ

Ob. Czula opowiedział nam, że ówczesnego „Piasta” „faktycznie redagował w mieszkaniu posła i późniejszego ministra dr Fr. Bardla... dr Gagatka, któremu później za rozmaite nadużycia Sady odebrały doktorat”. Ten dr Bardel, to też był gagatek, któremu później Sady za rozmaite nadużycia odebrały teke ministra itd., ale nie o to chodzi. Gdy na pa- rą lat przed rozłamem zarysowały się różne kierunki w łonie Rady Naczelnej stronnictwa, dr Bardel był rzecznikiem kierunku, który na pytanie z kim mają się łączyć chło- pi w swojej walce — odpowiedział: z burżu- azją miejską. To pozwala nam łatwiej zrozu- mieć właściwą przyczynę rozłamu. Gdy 13 grudnia 1913 r. większość Rady Naczelnej uchwalała: że wszystkim ludziom pracy — na lewo, większość posłów uparła się przy swo- im: z burżuazją — na prawo. Ale dla prze- ważającej niezmiennej masy chłopów żyją- cych z własnej pracy sojusz z burżuazją (zro- śniętą u nas ściśle z obszarnictwem) był czymś tak nienaturalnym, że prędzej czy póź- niej tym, co ciągnęli w ową stronę, rwały się postronki, łamały dyszle i musieli wracać po nowe. Ale dlatego też praca tych piastow- ców, o których pisze ob. Czula, że pracowali z oddaniem i poświęceniem, nie poszła na marne. bo raz rozbudzone masy prędzej czy później znajdowały swoją drogę. Dowodem może służyć r. 1935, kiedy zjednoczone Stron- nictwo Ludowe przyjęło program, zapoczątko- wany niedługo tylko przez zaszczutą i oplu- tą garstkę stapińczyków — PSL — Lewicę.

Na pytanie ob. Czula, kto stał na czele PSL w r. 1907 i 1911 — odpowiadał. W r. 1907 na czele PSL stała oczywiście Rada Naczelna, a prezesem był Henryk Rewakowicz, redaktor „Kuriera Lwowskiego”. W październiku 1907 Rewakowicz umarł, a Kongres 8.III.1908 r. wybrał na prezesa dr Szymona Bernadzikow- skiego. Na kongresie w r. 1910 wybrano na prezesa Stapińskiego. Gdy w r. 1907 podnie- siono w stronnictwie myśl łagodniejszej po- lityki, Stapiński był początkowo temu prze- ciwny.

Odpowiadając w dalszym ciągu dyskusja- ntem, czyż mam tłumaczyć p. Lasockiemu, że w zdaniu: „z wyborów endecji otrzymali 9 mandatów zamiast poprzednich 14, ale zato

mieli wzmocnioną bazę w Klubie ludowców” — słowo „zato” nie oznacza ani „przez to”, ani „wskutek tego że”, tylko: „na pociechę”, „powetowali sobie” i powinno się to „zato” pisać razem, ale trudno dopilnować tego. Da- lej: jeśli Komisja Likwidacyjna była rządem koalicyjnym, to jednak na czele tego rządu stał Witos i ważniejsze resorty obsadzone by- ły przez długoszowców. Dlaczego mamy uwa- żać, że sojuszu piastowców z endecją wtedy nie było, jeśli na wybory wystawili w zacho- dniej Galicji wspólną listę? Bodaj też było wówczas publiczną tajemnicą, że Rączkow- ski, Tetmajer i Witos są członkami „Ligi Na- rodowej”. To, co pisze p. Lasocki o składzie i działalności Pol. Komisji Likwidacyjnej, wia- dome jest z jego „Wspomnień szefa admini- stracji PKL”, tylko tam skarży się on na po- sła Stapińskiego, którego wystąpienia były „rozdźwiękami w PKL”. i który w swoim „Przyjacielu Ludu” (z grudnia 1918 r.) żądał wyłączenia bez odszkodowania dóbr wiel- kiej własności i krócielińskich i przejęcia lasów dworskich i księżyń na własność państwa.



Jan Stapiński

WIES SPOKOJNA

Jest w tych „Wspomnieniach” także w pew- nym miejscu odsyłacz, który czytelnika od- syła do „Pamiętników włóścianina” Słomki. A Słomka, konserwatywny włóścianin, tak opisuje ówczesny powiat Tarnobrzelski: 114.000 morgów ogólnego obszaru, z czego 78.000 (w tym 56.000 lasów) należało do dwo- rów tj. do 10 właścicieli, a tylko 36.000 do drobnych gospodarstw, których było 14.000, przy tym w powiecie brak fabryk czy innych przedsiębiorstw. Ludność w tym powiecie uspokojono siłą przy pomocy żandarmerii i wojska. Lofna kompania żandarmerii prze- szła kolejno cały powiat od wsi do wsi, prze- prowadzając rewizje i wymierzając kary 25 — 50 kijów na człowieka. I dodaje: „Podno- szono skargi, że sprowadzona żandarmeria i wojsko dokonywała egzekucji bezwzględnie, bijąc jednych za rabunki, innych by wydali broń i wyjawiali winnych oraz rekwizując żywność dla siebie. Opowiadano, że w ten sposób zostało ukaranych 4.000 chłopów, a kilkuset zabito”. To tylko w jednym po- wiecie. A było ich więcej. Zbyt systematycz- na robota, żeby to mógł być „odruch rozdra- żnionego wojska” i zbyt długo trwała, żeby szef administracji nie miał na to żadnego wpływu. Widać w tym metodę, a jest taki świadek, co bardzo tę metodę chwali i poda- je jej motywy. Stary obszarnek z Niwisk, koło Kolbuszowy, Jan Hupka, były wydaw- ca „Roli”, wieloletni zawzięty wróg chłopów galicyjskich, poucza w r. 1937 rządy sanacyj- ne, że z powodu wielkiej nędzy na wsi, kara więzienia nie jest odpowiednia dla chłopów. „Przeciwnie — niejednemu z nędzarzy wzdycha do tego, by się — zwłaszcza na zimę — do- stać do więzienia... I jest rzeczą wielce cha- rakterystyczną — pisze dalej Hupka — że w pierwszych latach odrodzonej Polski, w osta- tniech miesiącach r. 1918 i w pierwszym pół- roku r. 19-go, kara chłosty była w Polsce administracyjnie bardzo szeroko stosowana i to z bardzo dodatnim skutkiem. Pamiętam dobrze, że gdy w mojej okolicy trzeba było odbierać przechowywane po chałupach ka- rabiny, potrafiło je odebrać tylko grozą i wykonaniem chłosty. Podobnie bito za ra- bunki, a w r. 1920 i za przechowywanie de- zerterskie”.

Oto strzęp prawdy o tragicznych zmagani- ach ruchu ludowego (tego prawdziwego) z wrogimi ludowi wpływami. Wszak ten ruch, który reprezentowali nie prawicowcy, kieru- jący naówczas „Piastem”, lecz chłopci bici ki- jami przez żandarmerię p. Lasockiego, ten ruch lewicy ludowej zwyciężył. Tego ruchu historia powinna być napisana. A wtedy spoza zasłon wyłoni się prawda o wielkiej si- ły, rewolucyjnej i twórczej, polskiego ludu wiejskiego, który uparcie łamał i w końcu złamał zapory, stawiane mu przez fałszy- wych przyjaciół na drodze do ludowej demo- kracji.

Rozalia Rybacka

* J. Hupka „Z czasów wielkiej wojny” — dodatek z 2.II.1937 r.

*) Patrz „Pamiętniki” Ign. Daszyńskiego t. II, str. 133 (podkreśl. moje).

nie pokazują się w „Siewie”, gdyż będziesz antypaństwowcem i kandydatem do więzienia; jak znowu głuchowiakom, to były nawet i takie podejrzenia, że stanę się ożnawcem. Troszkę temu wierzyłem i nie wierzyłem... Po tym wszystkim opuściłem moją wieś Moszenki, jadąc do Głuchowa. Zjeżdżają się i inni koledzy, zapoznają się, pyta jeden drugiego: jakiego wyznania, skąd przybył i jaką ideę chwali? Odpowiadają sobie wyciągając wnioski, że przyjechali moi koledzy i ja z nimi do Głuchowa nie po to, żeby uczyć się demagogii i po powrocie w teren prowadzić robotę rozbijacką, ale po to, aby wykazać swoje charaktery i wyznawać Wspólną i Wielką Ideę Ludową. Pan Kierownik T. na swych wykładach, na naszych zebraniach i dowolnych pogawędkach stara się nas zwaśnionych nieraz pogodzić, chociaż niektórzy na początku kursu twarde się trzymali swych poglądów. Po tych moich obserwacjach przekonałem się, że uniwersytety wiejskie nie służą dla „Siewu”, „Wici”, czy innej organizacji wyłącznie, a tylko dla wszystkich działaczy wsi. Po pewnym już pobycie na kursie przekonałem się, że ta wieś Głuchów nie jest taka ładna, jak ją malowali. Bo w tej wsi jest życie zwaśnione i rozbijackie, a jej placówki to niezagójone i przestarzałe wrzody.”

Janek Kozieł podejrzewał rzeczywiście słabe strony tak zachwalanej organizacji głuchowskiej, nie spostrzegł jednakże tego, że uniwersytet, nie służąc „Wiciom” ani „Siewowi”, tak wspólnie wprzegnął się w rydwan sanacyjnego obozu rządzącego. Opium ludomajskie poniatowszczyzny działało bez zarzutu! Chłopski salon w Głuchowie, niwelując różne poglądy polityczno-społeczne wśród kursistów, tworzył z nich posłuszną gromadkę, z którą pan kierownik i zespół profesorski wyrabiali, co im tylko zalecono z „Przodownika Wiejskiego.”

„UCZYŁ MARCIN MARCINA”, CZYLI POZYTECZNA DISKUSJA NAD OWENEM I MAŁŻEŃSTWEM

Po załatwieniu się z obchodami ciała pedagogiczne przystąpiło do organizowania pogadanek połączonych z dyskusją zbiorową, na tematy społeczno-gospodarcze, polityczne. Nacisk szczególnie położono na zagadnienie spółdzielczości na wsi, oraz na ogólną przebudowę struktury społeczno-politycznej państwa polskiego. Słuchacze na podstawie dostarczonej przez profesorów lektury opracowywali pewne tematy samodzielnie i odczytywali je na zebraniach ogólnych. Nad całokształtem i poziomem dyskusji czuwał z reguły kierownik. Oto fragment takiej pogaduszki o Owenie w dniu 15.12.1938 r. (Protokół).

„Kol. Ozoniek wygłosił referat pt. „Życiorys i całokształt Owena”. Kol. Kierownik powiedział, żeby zacząć od pytań i, że Ozoniek dobrze opracował referat... Kol. Fijka (zaznaczył), że robotnik nie mógł kupić, co zrobił i widzimy, że kapitaliści wyzyskują robotników. Kol. Szydłowski — że i teraz nie mają lepiej robotnicy. Kol. Kruk (pyta), że jak zakładał (Owen) spółdzielnię, co on miał na celu? Kol. Ozoniek mówi, że miał na celu bronić robotników przed wyzyskiem. Kol. Depta zapytuje się, w którym to roku było? Ozoniek odpowiada, że w końcu 17 wieku na początku 18 (!) A Depta, że już przeszło wiek minęło i nic się nie poprawiło i mówi, że musimy my młodzi o to się dopominać. Pan lustrator (spółdzielni spóżywców) wrócił się jeszcze do Owena, że Owen zaczął coś nowego i to był pionier (pionier). I dał przykład, że w dawnej Grecji pionier Ikar, pasąc bydło widział, jak ptaki fruwały i on naprzyklejał sobie gęsie piór i fruwał, a gdy słońce mocniej zagrażało i klej puścił, Ikar spadł na ziemię... Twierdzą ci, co nie chcą oświaty ludu: widzieliście jak spadł Ikar, tak i wy spadnięcie... My młodzi powinniśmy brać się (mimo to) do czynu i skupić małe siły w jedną organizację, a nikt nas nie złamie.”

Uzupełnieniem tematyki spółdzielczej były referaty o „Tkaczach Roczelskich” i o „Fourierze”. Miały one na celu podtrzymanie w kursistach przeświadczenia o słuszności i potrzebie spółdzielczości na wsi. Bez względu na formę i poziom wypowiedzi referatów i słuchaczy — nie były one bez znaczenia dla zespołu dyskusyjnego Uniwersytetu Wiejskiego w Głuchowie.

Od ruchu spółdzielczego dokonał pan kierownik niebyle skoku w tematyce — przeszedł mianowicie do omawiania życia rodzinnego na wsi. 8.2.1938 r. słuchacz Depta ze wsi Kowala koło Puław wygłosił referat pt. „Rodzina, czyli o małżeństwie”. Treści referatu protokółant nie zanotował, ograniczył się wyłącznie do zebrania wypowiedzi w dyskusji. Oto jej fragmenty:

„...kol. Serzysko wyjaśnił nam, że małżeństwo na wsi nie ma uświadomienia a zarazem podziału pracy i zrozumienia (między sobą)... Stwierdził nam, że głównym trzonem w rodzinie jest matka i ona ma wpływ na dzieci i na męża... „...kol. Goliński przytoczył fakty, że młodzi pobierają się w nierównym wieku, oraz to, że rodzice przymuszają do zawarcia małżeństwa... „Kol. Ozoniek w odpowiedzi Komorowskiemu, który mówił o małżeństwie jako dyktaturze jednostronnej męża bądź żony, zaznaczył, że wielka demokracja prowadzi do rozłamu w małżeństwie... „Kol. Miller przedstawił nam wczesne pobieranie się i dowodził, że z tego wychodzi się działość i bezrobocie”. Podsumował wyniki kierownik, wypowiadając się za równoprawieniem w małżeństwie męża i żony, za doborom uczuciowym a nie majątkowym, jeśli związek ma być rwały i szczęśliwy.

EWOLUCJA CZY REWOLUCJA, CZYLI O KONSERWATYZMIE CHŁOPSKICH RADIKAŁÓW

Podsumowaniem niejako osiągnięć ideologicznych słuchaczy IV kursu Uniwersytetu Wiejskiego była dyskusja nad referatem Kazimierza Szydłowskiego p. t. „Przebudowa Polski na drodze ewolucyjnej czy rewolucyjnej”, wygłoszonym w dniu 24 lutego 1939 r. W dyskusji tej wypowiedzieli się prawie wszyscy kursiści. Oto jej przebieg z pewnymi skrótami:

„Referat wygłosił kol. Szydłowski. W dyskusji kol. Pietrzak mówi, że robotnik jest więcej uświadomiony aniżeli chłop na wsi.

Kol. Tęsiorowski zapytuje jaka jest droga do ewolucji? Kol. Szydłowski — najlepszą drogą jest oświata i spółdzielczość.

Kol. Prystupa mówi, że on popiera stanowisko kol. Szydłowskiego, że stanąby na drodze ewolucji, a nie rewolucji, bo naród jeszcze nie dorósł do stanowiska rewolucji.

Kol. Depta — rewolucją prędzej się rozstrzygnie sprawę chłopską aniżeli ewolucją.

Chociaż się rząd zmienił, ale chłopom nie się nie polepszyło, jak tak dłużej będzie, to najlepsze talenty, które są w chłopach, wyginą marnie.

Kol. Rogóż — (wypowiada się) za ewolucją, a nie rewolucją; bo wiemy co nam przyniosła rewolucja francuska, ale gdybyśmy nie mogli ewolucji, to trzeba rewolucji.

Kol. Komorowski — zajął stanowisko po stronie ewolucji; z rewolucji mamy przykłady w Rosji: zdobyli władzę, a nie umieją rządzić (!)... trzeba oświaty i polityki, że jak każdy chłop będzie miał szkołę i uświadczenie, to prędzej będzie można wystąpić do ewolucji, że w rewolucji nie będzie się bił chłop z magnatem, ale chłop z chłopem.

Kol. Ozoniek — Jakie wyniki dała Rewolucja Francuska? 10 lat była i tak zostały rządy dyktatorskie!

Kol. Czyżewski — Najlepiej będzie, jak staniami na drodze ewolucji, a nie rewolucji, bo przy rządzie jest wojsko, a wtedy będzie bił brat brata.

Kol. Cała — On stoi po stronie ewolucji, za

rewolucją pójdzie tylko Galicja, a pozostałe części nie.

Kol. Depta — mówi, iż niekoniecznie rewolucją można zdobyć (władzę), ale nawet strajkiem można wywalczyć sobie prawa.

Kol. Cała — Strajk rolny jest niedozwolony, a po drugie, co jest nam winien proletariatu miejski i mieszczański...

Kol. Pietrzak — mówi, że kol. Depta staje na stanowisku, aby wstrzymać przewóz produktów rolnych do miasta, a przecie i wic potrzebujemy produktów miejskich...

Kol. Depta — (przyciśnięty do muru w dyskusji, jedyny zwolennik metod radykalnych w walce o prawa chłopskie, przynajmniej, że nie stoi przy tym, aby mieszczańskie gnieść).

Kol. Kierownik — w krótkości wyjaśnił nam, że nie można stanąć na stanowisku ewolucji, czy rewolucji, bo to zależy od uświadomienia społeczeństwa; to są poglądy, które ścierają się ze sobą odkąd istnieje życie ludzkie.”

Jeden radykał chłopski — Depta na trzydziestu paru kursistów i do tego zmuszony do zmiany swego stanowiska! Drugi „czewieniec” Prystupa, słuchając wypowiedzi swych kolegów, nawet się nie odezwał. Zabawa w salon chłopski nie była zatem groźna dla sanacji nawet wówczas, gdy jego uczestnicy, finansowani głównie przez wydziały powiatowe i organizacje młodzieżowe wiejskie czy wiciowe, od czasu do czasu zakłócali plebanowi i komendantowi posterunku spokój gromkim śpiewem: — „Gdy naród do boju wystąpił z orężem”. Głuchów był na radykalizm chłopski głuchy.

„SIEW” I „WICI” W RELACJACH KURSISTÓW

W lutym 1939 roku w obecności Kazimierza Maja z Warszawy, członka Zarządu „Przodownika Wiejskiego”, miała miejsce ożywiona dyskusja nad referatem słuchacza kursu Czesława Leszczyńskiego spod Chełma p. t. „Dlaczego jestem Siewiarzem? Dlaczego jestem Wiciarzem?”

„Kol. Różański (oświadcza), że nie podoba mu się praca w „Siewie”, zarzuca jej, że nie było tam równości; że rządzący zarząd nie zwracał uwagi na wszystkich członków; zjazdy czy teatry urządzał tylko z wybrankami, odrzucając gromadę. Dlatego wystąpił z „Siewu”, pisząc się do „Wici”. Brak ducha gromadzkiego, demokratycznego zarzucał „Siewowi” również Depta; w „Wiciach” natomiast widział radykalizm i zdecydowaną postawę ludową. Na wstąpienie Szydłowskiego do „Wici” wpłynął ten fakt, że w tej organizacji skupiali się liczni pisarze i poeci ludowi. Najkapitałniejszą motywację swego przystąpienia do „Wici” podał Rogóż. Oświadczył on mianowicie, „Że jest zawsze z tymi, co wiecznie krytykują i stoją w opozycji”.

Tylko jeden z dyskutujących podkreślił straty, jakie ma do zanotowania chłop polski z osłabienia ruchu ludowego wskutek zwalczania się wzajemnego organizacji wiejskich, i wypowiedział się za wyteżoną pracą, zgodną i budującą, opartą na zasadach prawdziwie demokratycznych.

SŁOWA... SŁOWA.

Jaką wagę przywiązywali do tych głuchowskich dyskusji mecenasi ludowi z „Przodownika Wiejskiego” i jakie rzucali hasła słuchaczom uniwersytetu im. A. Skwareczńskiego? „Kronika” kursu uwieczniła ich wypowiedzi, zaopatrzone własnoręcznymi podpisami:

„Korzystając z milej, serdecznej gościnności w Mazowieckim Uniwersytecie Wiejskim, składam Wychowawcom i Młodzieży najgłębsze życzenia, by w tej chłopskiej uczelni rozjaśniały się i poszerzały się wiejskie umysły, rozgrzewały się serca i hartowały się młode charaktery — a w ciężkich trudach, przy przebudowie życia wsi niech Wam przyswieca ta pociecha, że nie tylko sami jesteście młodzi, ale i warstwa chłopska, z której pochodzicie jest młoda, ma historyczne życie przed sobą. Więc warto żyć, trudzić się dla przyszłej Polski, która musi być Polską chłopską czy ludową.

Głuchów, 28 stycznia 1939 r.

Jędrzej Cierniak”

Czy mogły się w uniwersytecie głuchowskim zahartować młode charaktery i rozgrzać serca pragnieniem Polski Ludowej? Czy atmosfera ideologiczna, jaka tam panowała, sprzyjała wyrabianiu się w słuchaczach demokratycznej chłopskiej osobowości?

Sądze, że nie trudno znaleźć na te pytania odpowiedź po uważnym przeczytaniu „Protokółów” i „Kroniki”.

„Polska Chłopska powstanie przez umysły i serca nasze” — pisał w „Kronice” uniwersyteckiej Kazimierz Maj bezpośrednio po wysłuchaniu wypowiedzi kursistów w dyskusji nad referatem o „Siewie” i „Wiciach”.

Można przypuszczać na podstawie tej notatki, że wpływowi reprezentant władz „Przodownika Wiejskiego” był zadowolony z osiągniętych wyników w uniwersytecie głuchowskim.

A co pokazała najbliższa przyszłość?

W czasie okupacji niemieckiej nie powstał w obwodzie głuchowskim, w którym było i działało kilkunastu wychowanków uniwersytetu, ani jeden oddział Batalionów Chłopskich z ich udziałem. Chłopcy konspirowali, byli czynni, ale w innych formacjach pod komendą oficerów ze „Strzelca”, czy P. W.

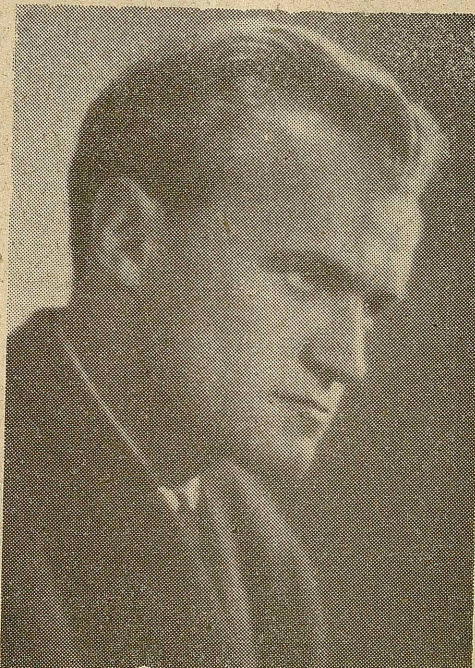
Po odzyskaniu niepodległości prawie wszyscy byli słuchacze uniwersytetu głuchowskiego wstąpili do mikołajczykowskiego PSL i byli tam bardzo ruchliwi. Dopiero od pewnego czasu następuje powoli zmiana na lepsze: odwrót z fałszywej drogi, zwrot plecami do usypiających chłopów.

Zrozumiał słuszność i celowość takiego zwrotu również były kierownik „uniwerku” głuchowskiego, ale dopiero po trzech latach rozmyślał.

Wojciech Kaepfer

Roman Bratny

W I E R S Z E



Roman Bratny

M A J

Defilada. Wojsko. Przybił!

Równy rząd podeszew w górę!

Patrzenie — to wyprasowane mapy plastyczne ziem zdobytych — zelówki cienkie, prawie dziury, ale marszami uwolnione olbrzymie karpaccie góry.

Wiosna. Każdy listek gałąź sobie zarzuca na plecki i biegnie rozpromieniony.

Wiatr trzepotał słoneczny.

1 Maja dowiedzono wiosny.

W pochodach udział bierze każdy nierozstrzelany robotnik.

Pochody miną. Wieczór. Teraz pod niebem czerwonym coś na chwilę zabłyśka — żołnierz podnosi rękę — srebrny orzełek — guzik — maleńka manierka, z której niebo pociąga robotniczej Polski. Kto i tego nie widzi, niech przeciera oczy.

A jeśli oczy przymkniesz w dalekim Rzymie, to nawet nagi posąg dyskobola na to tylko potężne napręża ramiona, by dwa palce przyłożyć do daszka, choć nie ma. Jeśli tego nie widzisz — na obczyźnie nie płacz.

A u nas pojutrze maj trzeci.

Tańczmy. Ta melodia, to podkasany smyczkiem nasz sztandar narodowy — mazur trzepocze i leci!

Zresztą możecie i z murzyńskiej melodii rozwinąć naszych par polskich tysięcy. Tańczmy. Kraj nie zginął.

Z E S T R O N

Uderzeniami sereca

z 4 stron świata zbijałem kołyskę

dla dzieci wieku, który po mnie, przyjdzie, gdy mnie ostatni już grom z ziemi zegna.

Myślałem:

z ostatnim zejść gromem, zniknąć

— a przyjdzie słońce i oczy śmiechem zapali,

— taką mieć chciałem nad grobem gromnicę.

Stoję na czarnej ziemi i postarzały wiatr

człoło mi wichrzy.

He to innych ziem mieszkało w komórkach żreńcy

nam oczy ku mnie pełnym chabrem otworzył świat

Mówilem:

wszędzie ojczyzna gdzie źle,

gdzie nienawidzić trzeba bo tak kazać miłość.

A teraz tu stoję, gdzie powszedni chleb

o człowieka się modli zbyt dojrzałym żytem

i gdzie słońce czeka

by się w oczach zapalił radośnie człowieka.

Tu stoję. W ojczyźnie której dożyłem.

Sierpień 1945

Romuald Lesiakowski

Trzy lata chłopskiego wysiłku

OD JEDNEGO SPOJRZENIA

Przed miesiącem minęły 3 lata od chwili, gdy w ostatnich dniach grudnia 1944 roku grono działaczy na Kongresie Chłopskim w Lublinie powołało do życia Związek Samopomocy Chłopskiej. Jest to czas wystarczający, aby pokusić się o ocenę dotychczasowych poczyniń, o zbilansowanie osiągniętych rezultatów, o wskazanie bolączek i niedomagań, o skonfrontowanie wkładów pracy z osiągniętymi rezultatami. Jest to także dostateczny czas, aby na podstawie zdobytych doświadczeń i nagromadzonych materiałów nakreślić plan pracy na przyszłość, aby wytyczyć perspektywy dalszego rozwoju Związku.

Związek Samopomocy Chłopskiej powstał w okresie wielkich przemian społeczno-politycznych, uważanych za wielki zwłoczek zwycięsko zakończonych walk z hitlerowskim okupantem.

Związek Samopomocy Chłopskiej brał czynny i wybitny udział w dokonywaniu się tych przeobrażeń w szczególności i przede wszystkim, co wynika z natury rzeczy, na odcinku wiejskim.

Jest to pierwszy etap w rozwoju i pracach Związku, etap prac organizacyjnych, okres poszukiwania właściwych dróg i rozpracowywania koncepcji, okres wykreślenia struktury i form organizacyjnych Związku. Jest to jednocześnie okres wytyczony walki z trudnościami i realnej, choć nie zawsze w pełni, realizacji planu ustajęcej pracy.

Do osiągnięć Związku w tym okresie zaliczyć należy utworzenie na terenie całego kraju jednolitej sieci organizacyjnej na szczeblu wojewódzkim, powiatowym i gminnym.

Daje to w sumie ponad 3.500 ogniw organizacyjnych na wymienionych szczeblach.

Związek ujął też w swych ramach organizacyjnych ponad 25.000 gromad, zrzeszając tym samym w swych szeregach przeszło milion członków.

BILANS — „AKTYWA”

W związku z odbywającą się w tej chwili właśnie przebudową struktury spółdzielczej w kraju i spowodowanymi tym zasadniczymi i głęboko sięgającymi zmianami, szczególnie na odcinku wiejskim, godzi się poświęcić parę słów wkładowi pracy i dorobkowi Związku w tej dziedzinie.

Naszym zadaniem, naszą ambicją była przebudowa nie tylko organizacyjna, ale i społeczno-kulturalna wsi przez spółdzielczość samopomocową. Spółdzielczość w warunkach demokracji ludowej stać się może niezastąpioną formą powiązania planowej działalności gospodarczej państwa, z gospodarką drobnych indywidualnych gospodarstw, niezastąpioną w podnoszeniu tych gospodarstw na wyższy poziom organizacji i techniki produkcji. Cel ten spółdzielczość może osiągnąć na odcinku wiejskim przez należyte zorganizowanie z jednej strony zaopatrzenia wsi w artykuły przemysłowe, z drugiej przez ujęcie w swe ręce skup artykułów rolniczych.

Ponadto spółdzielczość wiejska winna ująć w swe formy organizacyjne przetwórstwo rolnicze, które przed wojną było jednym z narzędzi wyzysku ze strony obszarnictwa, a w rękach spółdzielczości może się stać instrumentem wyrównania różnic ekonomicznych między biedną i bogatą częścią wsi.

Wykonanie tak zarysowanych zadań przekreślało zgóry zarówno istniejący stan organizacyjny spółdzielni na wsi, jak i statutowy zakres ich działania.

Istniejące w liczbie ca. 4.000 — spółdzielnie powszechne na wsi obejmowały swym asortymentem tylko artykuły spożywcze, a więc z zupełnym wykluczeniem takich artykułów jak nawozy sztuczne, cement, wapno, żelazo, blacha, uprzęż, gwoździe, a więc artykuły gospodarstwa rolnego. Oczywiście nie było też mowy o zorganizowaniu skupia artykułów rolniczych, o prowadzeniu przemysłu rolnego czy zakładów usługowych.

Nie spełniało też tych zadań kilkakset spółdzielni rolniczo-handlowych nastawionych na handel detaliczny, wysokie zyski i na obroty jedynie z bogatszą częścią wsi.

W tych warunkach Związek Samopomocy przystąpił do organizowania nowego typu spółdzielni zwanych Spółdzielniami Gminnymi Samopomocy Chłopskiej o wielokierunkowej działalności, uwzględniającej w swym statucie zarówno organizację zaopatrzenia chłopskiego gospodarstwa rolnego i domowego, jako też skup artykułów rolniczych i prowadzenie zakładów przetwórstwa rolniczego.

Prace nad tworzeniem i organizowaniem zarówno Związku jak i Spółdzielni Gminnych rozpoczęliśmy w czasie szalejącej jeszcze wojny i bandyckich wyczynów różnych watah spod znaku NSZ i WIN-u oraz przy akompaniamentie zacieklej ataków reakcji.

Mimo wielu i z różnych stron narzucających się trudności Związek Samopomocy Chłopskiej w omawianym okresie czasu zdołał zorganizować:

2.300 spółdzielni gminnych
84 spółdzielni powiatowych
114 spółdzielni innych typów (branzowych)

Łącznie 2.493 spółdzielnie.

Spółdzielnie te prowadzą we własnej administracji:

3.400 resztówek
42 kopalnie torfu
925 młynów
460 gorzelni
55 mleczarni
184 piekarni
32 olejarnie
13 przetwórni owocowych
5 octowni
7 browarów
5 lecznic
2.370 sklepów
90 cegielni
69 tartaków
420 ośrodków maszyn rolniczych
224 innych zakładów.

Razem więc ponad 8.500 różnych zakładów.

Spółdzielnie te w/g danych z lipca ub. roku zrzeszały ponad 1/2 miliona członków.

Zwiększa się w szybkim tempie wysokość obrotów spółdzielni S. Chł. I tak: jeśli w roku 1946 przeciętna obrotów na jedną naszą spółdzielnię wynosiła 600 tys. złotych, to w roku 1947 przekroczyła 2.500.000, a więc obserwujemy 4-krotny wzrost obrotów.

Wzrosły też znacznie fundusze własne spółdzielni, wykazując na koniec roku 1946 ca. 170 milionów złotych. Nie mniej są one w dalszym ciągu za niskie i wytyżać musimy wszystkie siły, zmierzając do ich podwyższenia.

Skoro jestem już przy obrotach pragnę podzielić się spostrzeżeniem charakterystycznym dodatnio działalność spółdzielni S. Chł. Jeśli mianowicie zwrócić uwagę na udział wódek w obrotach poszczególnych spółdzielni to stwierdzimy, że: miejskie spółdzielnie spożywców na

miesięczne obroty w kwocie 2.400.000.000, — wykazywały obrót wódką na sumę 1.000.000.000, —
spółdzielnie wiejskie spożywców na 550.000.000, —
miały obrót wódką 104.000.000, —
spółdzielnie S. Chł. na 600.000.000, —
wykazywały obrót wódką w kwocie paru milionów złotych.

Nie mniej w obrotach spółdzielni S. Chł. stwierdzić należy za niski, bo wynoszący zaledwie 10% udział handlu zbożem i znikomą, bo wynoszący zaledwie 4 do 5% obrót artykułami przeznaczonymi dla gospodarstw rolnych. Jest to objaw niezdrowy i musi być przez nas zwalczany.

Taki jest, w dużym skrócie, ujęty, bilans prac Związku S. Chł. na odcinku spółdzielczym.

Jeśli w stosunku do innych zagadnień poświęć mu nieco więcej miejsca, to dlatego, że w momencie zachodzących zmian dobrze jest zdawać sobie sprawę z wnoszonego dorobku, choćby dla celów porównawczych w przyszłości, aby mieć miernik osiągniętych na pewnym etapie czasu rezultatów.

Dużym też wysiłkiem i jednocześnie osiągnięciem ze strony naszego Związku było przejęcie przez spółdzielnie gminne ponad 3.400 resztówek. Okres miniony, aż do dnia odejścia Mikołajczyka z Min. Rolnictwa był okresem permanentnej walki o ustalenie podstaw prawnych ich przejmowania, o wydanie rozporządzenia wykonawczego do dekretu z 12.6.47 r. o powołaniu Komisji Szacunkowych, o ustabilizowanie notarialne tytułu własności. — Walczyły zresztą musielismy z Ministerstwem i podległymi mu urzędami o każdą resztówkę z osobną, a na resztówkę z każdym młyn, browar, czy cegielnią. Ten stan rzeczy z konieczności odsunął na plan drugi uporządkowanie ewidencyjne i gospodarcze resztówek. Dopiero pod koniec roku ubiegłego byliśmy w stanie przeprowadzić ich inwentaryzację w wyniku czego, poza dużym materiałem ewidencyjnym mogliśmy przystąpić do uporządkowania stanu prawnego i gospodarczego resztówek. Przed paroma dniami ukazało się zarządzenie Ministerstwa o powołaniu Komisji Szacunkowych, wkrótce zaś ukazały się dyrektywy i wytyczne Zarządu Głównego Z. S. Chł. odnośnie zagospodarowania resztówek.

Z innych prac Związku wymienić należy wysiłki i starania Związku dla uzyskania kredytów zarówno dla indywidualnych gospodarstw, jak kredyty siewne, nawozowe, na zakup pogłowia, na odbudowę, jak i kredyty dla spółdzielni zarówno obrotowe, jak i inwestycyjne. Związek opracował plan inwestycyjny dla kilkuset spółdzielni S. Chł. na ogólną sumę 750 milionów zł.

W formie krótkiej wzmianki wskazać należy na prace Związku, zmierzające do organizacji skupia zboża, przeskolono w tym kierunku ponad 700 spółdzielców, na zorganizowanie eksploatacji torfu przez kilkadziesiąt spółdzielni, na organizację spédów dla skupia zwierząt rzeźnych.

BILANS — „PASSYWA”

Dla pełności obrazu przejść z kolei należy do strony biernej naszego bilansu, do przeglądu braków, niedociągnięć i niepowodzeń naszych wysiłków, oceniając je z punktu widzenia organizacyjnego, politycznego i gospodarczego. Przegląd taki jest konieczny, abyśmy mogli wysnuć właściwe wnioski z naszej dotychczasowej pracy, a co za tym idzie znaleźć właściwe metody i środki dalszego działania.

1) Niedostateczne pogiębienie prac Związku wyrażające się w niedostatecznej bezpośredniej pracy instrukcyjnej na wsi.

2) Niedostateczna opieka nad najlichnniejszą warstwą wsi tj. chłopem mało i średniorolnym.

3) Uleganie na odcinku gospodarczej działalności na wsi naciskowi elementu reakcyjnego (kapitałistycznego).

4) Niedostateczny udział w pracach Zarządów gromadzkich i gminnych przedstawicieli biedniejszej części wsi.

5) Niedostateczna w stosunku do ogółu wsi ilość członków Związku i spółdzielni gminnych.

6) Nie zawsze właściwy kierunek działalności spółdzielni S. Chł., zbaczanie na tory bramiarskie, w pogoni za zyskiem.

7) Tendencja Zarządów terenowych do bezpośredniego administrowania obiektami gospodarczymi, zamiast przekazywania ich spółdzielniom.

8) Częste wypadki, że spółdzielnie S. Chł. zamiast prowadzić walkę interwencyjną ze spekulacją, zachowywały się biernie lub, co

gorsze, same uprawiały spekulacyjną goniłkę za zyskiem.

9) Uleganie niesłusznemu ekonomizmowi w szukaniu wyjść z trudnych sytuacji w pogoni za szukaniem środków i źródeł zarobku oraz dublowanie pracy instytucji gospodarczych, Ministerstwa Rolnictwa i R. R., Ministerstwa Przemysłu itp. zamiast szukania wyjścia w akcjach społecznych i gospodarczych, wypływających z potrzeby zdobycia zaufania szerokich mas chłopskich, jak organizowanie ośrodków maszynowych setkami niszczących maszyn i narzędzi rolniczych na resztówkach, zainteresowanie się działalnością spółdzielni budownictwa wiejskiego, sprawiedliwą wymianą towarową, zakupem nawozów sztucznych doboru asortymentu towarowego, godziwą marżą zarobkową itp.

10) Szukanie dogodnych źródeł zarobkowych ze szkoda dla realizowania państwowego planu gospodarczego (zakupy towarów kosmetycznych zamiast włączenia się do skupu zboża).

c) Niedostateczna praca organizacyjna, brak aktywności szczególnie Zarządów powiatowych i gminnych, marazm kół gromadzkich, brak jakiejkolwiek sprawozdawczości i nie docenianie, a nawet lekceważenie jej znaczenia, a przede wszystkim brak żywego organizacyjnego powiązania z terenem oraz nieznajomość potrzeb terenu.

j) Zabagniona gospodarka finansowa, brak poczucia odpowiedzialności za ten stan rzeczy u kierownictwa Oddziałów, niedostateczna kontrola, niezorganizowanie należytej księgowości, szczególnie na szczeblu powiatowym.

k) i) najważniejsze niedostateczna praca nad podniesieniem wydajności produkcyjnej rolnictwa.

Poważne osiągnięcia polityczne, społeczne, organizacyjne i gospodarcze Związku świadczą o tym, że bezwzględna większość w naszych szeregach stanowią ludzie jasno i wyrażnie stojący na gruncie zgody i solidarności narodowej, ustroju Polski Ludowej.

W pracy naszej zarysowały się dwie tendencje, dwie cechy, które wywierały swój wpływ na działalność Związku, które też nadawały mu specyficzne zabarwienie.

Pierwsza — wynikająca nietytu z politycznych co z organizacyjnych tradycji wszelkich ruchów chłopskich — to żywiołowy, ekspansywny, rzadko planowany i konsekwentny w wykonaniu styl pracy, starający się objąć wszystko co chłopskie, co ze wsi związane, bez względu na siły i możliwości realizacyjne.

Druga — to tendencja biurokratyczna, usiłująca narzucić organizacji społecznej jaką jest Związek, tok i styl pracy urzędów i Ministerstwa. To posługiwanie się korespondencją, instrukcjami, okólnikami, dyrektywami i regulaminami, kosztem bezpośrednich, osobistych i jak najbliższych kontaktów z terenem.

Obydwie te tendencje są z gruntu fałszywe i niesłuszne. Obydwie uniemożliwiają ścisły organizacyjny, a tak w pracy społecznej i gospodarczej ważny, kontakt bezpośredni, rozluźniają więzy organizacyjne z zarządami gminnymi i gromadzkimi, a więc z naturalną bazą naszej działalności. Uważamy, że zamiast tych dwóch tendencji, należy wprowadzić jeden, ale prowadzący do celu kierunek. Jest nim **przemysłany plan pracy i kontrola jego wykonania.**

W PLANIE ŚWIATOWEJ I POLSKIEJ SYTUACJI EKONOMICZNEJ

Potrzeby Państwa, potrzeby społeczeństwa są zawsze wyrazem określonej w czasie i miejscu sytuacji ekonomicznej i politycznej kraju. Jakżeż się ukształtowała i jak się ukształtuje obecna nasza sytuacja gospodarcza i polityczna i jakie czynniki wpływają na formę i sposób tego ukształtowania się.

W wyniku paroletniej wojny z hitlerowskim najazdem jesteśmy obok Związku Radzieckiego krajem najbardziej zrujnowanym ekonomicznie, krajem, który obok strat materialnych, poniósł największe ofiary w ludziach. Zdawało się, że Polska ten najbardziej niezlomny sojusznik, liczyć może na pomoc ze strony niedawnych sojuszników. Przyjmowaliśmy, jako rzecz niekiedy samo przez się zrozumiałą, zapewnienia ze strony Anglii i Ameryki o pomocy w odbudowie naszego zniszczonego kraju. Niestety, rzeczywistość niemal następnego dnia po skończonej wojnie przyniosła grutowne rozczarowanie.

Mniemaliśmy, że otrzymamy pomoc od naszych zachodnich sojuszników, którzy tak hojnie między innymi obdarzali Niemcy i państwa im posłuszne. Nie mogliśmy jednak przyjąć pomocy, za którą zapłatą byłaby utrata suwerenności. Chcieliśmy pomocy na prawach równego kontrahenta.

Tę tak pojętą pomoc odmówiono nam. Nasi niedawni sprzymierzeńcy wolać palić lub zatapiać miliony ton pszenicy i kawy, niżli je dostarczyć głodującym robotnikom europejskim. Odmówiono nam kredytów, pomocy UNRRA, pożyczki w Międzynarodowym Banku Odbudowy. Nasza sytuacja gospodarcza w powojennym układzie między narodowym stała się jasna. Poza pomocą ze strony Związku Radzieckiego możemy liczyć jedynie na siebie. Na żadną poza tym wydatną pomoc nie możemy i nie powinniśmy rachować bez lekkomyślnego rzućcia samych siebie. Wiemy, że nie możemy liczyć właśnie przede wszystkim na pomoc ze strony tych krajów, które wzbogaciły się na ostatniej wojnie, a więc nazywając rzeczy po imieniu, przede wszystkim na pomoc ze strony Stanów Zjednoczonych.

Za pomoc tę trzeba płacić zbyt drogo, bo niezawisłością polityczną i gospodarczą, wyrzeczeniem się własnej woli i prawa do podejmowania samodzielną decyzji. Przykład Włoch, Francji, a nawet Anglii jest pouczający i niezachęcający.

Na próby monopolistów amerykańskich zepchnięcia nas do roli eksploatowanej przez nich kolonii, zrobienia z nas powolnego narzędzia ich planów imperialistycznych, na ich pragnienie zrobienia z nas pionka na szachownicy egoistycznych rozgrywek wielkiego kapitału, dał już godną odpowiedź robotnik polski wzmocnionym wysiłkiem pracy w postaci współzawodnictwa, w bohaterskim przykładowym wysiłku górników Zagłębia, w postaci wysiłku pracy w fabrykach włókienniczych Łodzi, Pabianic, Białegostoku, uzupełnionym wysiłkiem robotników portowych.

Osiągnięcia produkcji przemysłowej — w poszczególnych gałęziach przemysłu wynoszą w porównaniu z rokiem 1937/38:

	1937	sierpień 1948	%
węgiel w tonach	3.174.000	5.107.000	161
stal	122.325	143.642	117
cement	107.426	158.046	147
parowozy sztuk	2,3	18	783
wagony osobowe i towarowe	33,2	664	2000
superfosfat ton	13.621	20.715	152
azotniak	5.675	10.175	179
tkaniny bawełniane t.	4.290	4.144	97
skóra podeszwa w tonach	1.967	403	20

Ten ogromny wzrost produkcji przemysłowej, osiągnięcie wręcz nieprawdopodobne, jeśli uwzględnić kolosalne zniszczenie, jest widocznym znakiem i pierwszorzędnym czynnikiem stabilizacji gospodarczej kraju, jest piękną i dumną odpowiedzią robotnika i technika polskiego na zakusy panów zza Oceanu.

Niestety temu imponującemu rozwojowi produkcji przemysłowej nie dotrzymuje kroku produkcja rolnicza. — Między tymi podstawowymi gałęziami gospodarki narodowej zachodzi rażąca dysproporcja.

Jeśli teraz z kolei porównamy wydajność produkcji rolnej z 1 ha z roku 1937 z produkcją z roku 1947, to otrzymamy przyjmując produkcję przedwojenną za sto następujący obraz:

pszenica	42%
żyto	56%
owies	50%
jęczmień	46%
kartofle	56%
buraki	60%

Plony zmniejszyły się o połowę.

Niedobór głównych 4 zbóż przekracza w roku bieżącym 500.000 ton, choć przeciętna ilość ziemi przypadająca na 1 mieszkańca w Polsce zwiększyła się w stosunku do przedwojennej o 16 proc.

Przyczyna zmniejszenia się produkcji rolnej może tkwić w zmniejszonym areale upraw lub też w zmniejszeniu się przeciętnej wydajności z 1 ha.

W rozpatrywaniu przez nas wypadku mamy niewątpliwie do czynienia przede wszystkim z drugim zjawiskiem. Choć bowiem w Polsce znajduje się jeszcze pewien procent odłogów, to jednak w stosunku do sytuacji przedwojennej mieliśmy pod uprawą 4 głównych zbóż 98 proc., pod ziemiąkami 100 proc., a pod burakami nawet 133 procent. Dowodzi to raz jeszcze w sposób niezbity, że przyczyna niedoboru tkwi niemal wyłącznie w zmniejszonej wydajności produkcji rolnej.

Mówi się często i dużo, o nieopłacalności rolnictwa, o dużej wartości nożyc, o niekorzystnym dla rolnictwa kształtowaniu się wzajemnym cen artykułów przemysłowych i rolniczych. W wyniku przeprowadzonej wiosną i latem ub. roku akcji uporządkowania niedzwochych stosunków w handlu nożycy zwały się na korzyść rolnika i stosunek cen w porównaniu z latami przedwojennymi ukształtował się następująco:

	1937/38	1946	1947
plug	100%	96%	70%
100 kg superfosfatu		95%	70%
buty		247%	277%
10 kg soli		56%	25%
10 kg naft		249%	74%

Stwierdzić więc możemy niewątpliwie lepszą relację cen i zwierania się nożyc. Stwierdzić jednak przy tej okazji należy, że opłacalność w rolnictwie, jak zresztą w każdej gałęzi produkcji, to nie tylko wzajemna relacja cen, lecz także wydajność tej produkcji, która niestety właśnie w rolnictwie jest bardzo odległa od potrzebnych i osiągalnych poziomów. Z przedstawionego przeze mnie zestawienia cen widać, że tylko ceny za buty wzrosły i trzeba to przyznać bardzo znacznie w stosunku do okresu przedwojennego. Lecz i tutaj nastąpi poprawa, jak bowiem zapowiedział minister Minc zostanie wzmocniona produkcja skór w kraju oraz zostanie sponawdzonych z zagranicy 1,5 miliona par obuwia.

ROLNICTWO NAPRZÓD!

W produkcji rolniczej, jak zresztą w każdej innej mogą występować 3 zjawiska:

1 Poziom produkcji jest niższy od zapotrzebowania w wyniku czego zachodzi konieczność importu

2 Poziom produkcji jest równy popytowi, zachodzi wówczas moment równowagi

3 Poziom jest wyższy od zapotrzebowania, stwarzając tym samym możliwości eksportu

W Polsce w okresie powojennym mamy do czynienia z wybitnie szkodliwym zarówno z punktu widzenia interesów chłopów, jak i gospodarki ogólnonarodowej, zjawiskiem **nie-doboru produkcji rolnej**.

Logicznym następstwem tego stanu rzeczy jest import artykułów żywnościowych. Państwo bowiem nie może dopuścić do wygórowania cen, co, pomijając już względy humanitarne, pociągnęłoby za sobą zahamowanie produkcji przemysłowej, a więc i głównego naszego środka płatniczego w obrotach zagranicą, jakim jest węgiel.

W interesy rolnika godzi nie tylko przyczyna t. j. mała wydajność, zmniejszająca opłacalność gospodarki rolnej, lecz i jej skutek t. j. import. Powiedzieliśmy już wyżej, że niedobór zbóż wynosi 500 do 600 tys. ton, tyle więc musimy importować. W przeliczeniu na gotówkę wyniesie to 15 do 18 miliardów złotych. Za sumę tę moglibyśmy zaopatrzyć rolnictwo w 15 000 tak potrzebnych mu traktorów albo 150 000 koni, albo 150—200 tys. krów.

Konieczność importu zbóż, a więc artykułów konsumpcyjnych, zmusza nas do wyrzeczenia się, a w każdym razie do poważnego okrojenia wwożonej ilości środków i narzędzi produkcji rolnej, jakimi są nawozy sztuczne, traktory i maszyny rolnicze.

Przedstawiona sytuacja określa w sposób jasny i niedwuznaczny, stojące przed rolnictwem zadanie na najbliższą przyszłość. Jest nim **zmobilizowanie wszelkich wysiłków i środków zmierzających do podniesienia wydajności produkcji rolnej z każdego ha ziemi uprawnej, jest walka z resztą odlogów**.

Aby podnieść wydajność z ha nie trzeba kosztownych inwestycji i urządzeń, niedostępnych dla nas w obecnym stanie zniszczenia kraju.

Musimy sięgnąć do środków tak prostych, że aż często i dlatego przeoczanych, a tak masowych przy zastosowaniu, że już przez to samo posiadających pierwszorzędną ciężar gatunkowy.

a) W zespole tych środków jednym z najważniejszych będzie racjonalne przechowywanie oraz zwiększenie produkcji obornika, będącego podstawowym, bo dostarczającym próchnicy, nawozem dla ziem słabszych. Obornika produkujemy i używamy o połowę mniej niż przed wojną. Zwiększenie masy obornika uzyskamy przez racjonalne odżywianie pogłównia, zaprowadzenie kompostów, stosowanie jako ściółki niesychnące chłonnego torfu włóknistego. Rekonstrukcja istniejących lub budowa nowych gnojowni, a przynajmniej racjonalne przechowywanie obornika zwiększy jego jakość. Zie przechowywanie nawozu od 1 krowy powoduje stratę równą 1 workowi 16 proc. saletrzaku. Koszt budowy gnojowni wynosić może 8 500 zł, a więc amortyzuje się w ciągu 1 roku.

b) Drugim środkiem jest walka z chwastami przez podorywki, wyrwanie i palenie oraz staranne czyszczenie ziarna przed sieciem.

c) Jak największe stosowanie nowoczesnych maszyn i narzędzi rolniczych, a w związku z tym organizowanie ośrodków maszyn rolniczych.

d) Przestrzeganie i wprowadzanie w życie dekretu o sąsiedzkiej pomocy.

e) Propagowanie i stosowanie nawozów sztucznych.

f) Organizowanie zrzeszeń branżowych, mających przecież na celu planowanie w rolnictwie, podnoszenie jego poziomu, a więc wydajności przez stosowanie racjonalnych i równoczesnych zasad uprawy, przez zorganizowanie zaopatrzenia w potrzebne narzędzia i maszyny.

g) Stosowanie w jak największej mierze siły ludzkiej, nie dopuszczenie żeby choć jeden siewnik nie był w pełnej mierze wykorzystany.

Omałwiając sprawę podniesienia wydajności nie sposób pominąć zagadnienia organizacji wymiany, a przede wszystkim zaopatrzenia wsi w artykuły gospodarstwa rolnego. Nie potrzeba dowodzić, że wszelkie zaburzenia, wszelkie nieprawidłowości w obrocie odbijają się natychmiast na produkcji. Omałwiliśmy już wyżej zadania jakie Związek stawia spółdzielczości, należy zwrócić szczególną uwagę na unifikację spółdzielni spółdzielców ze spółdzielni gminnymi. W tej dziedzinie Związek Samopomocy Chłopskiej nie przejawia dostatecznej aktywności i zainteresowania. Należy zwrócić baczną uwagę na próby trwonięcia majątku włączonych spółdzielni spółdzielców.

Drugim przedmiotem szczególnego zainteresowania Związku winny być Powiatowe Związki Gosp. Spółdzielni Gminnych, posiadających dla spółdzielczości na wsi kluczowe znaczenie. Należy dążyć do szybkiej, opartej na nowym statucie i przesłanych instrukcjach reorganizacji spółdzielni rolniczych na Związki Powiatowe. Trzeba zwrócić szczególną uwagę na odpowiedni dobór ludzi do władz, Związku. Ludzi posiadających obok kwalifikacji moralnych i społecznych jednocześnie kwalifikacje fachowe.

Trzecim niezwykle ważnym odcinkiem naszej pracy jest tworzenie ośrodków maszyn rolniczych.

Obok powyższych naczelnych zadań stojących przed Związkiem należy dążyć do:

a) umasowienia i podniesienia poziomu społeczno - politycznego Związku,

b) do usprawnienia pracy organizacyjnej, zwiększenia dyscypliny pracy,

c) należy opracować plan pracy i przestrzegać jego wykonania.

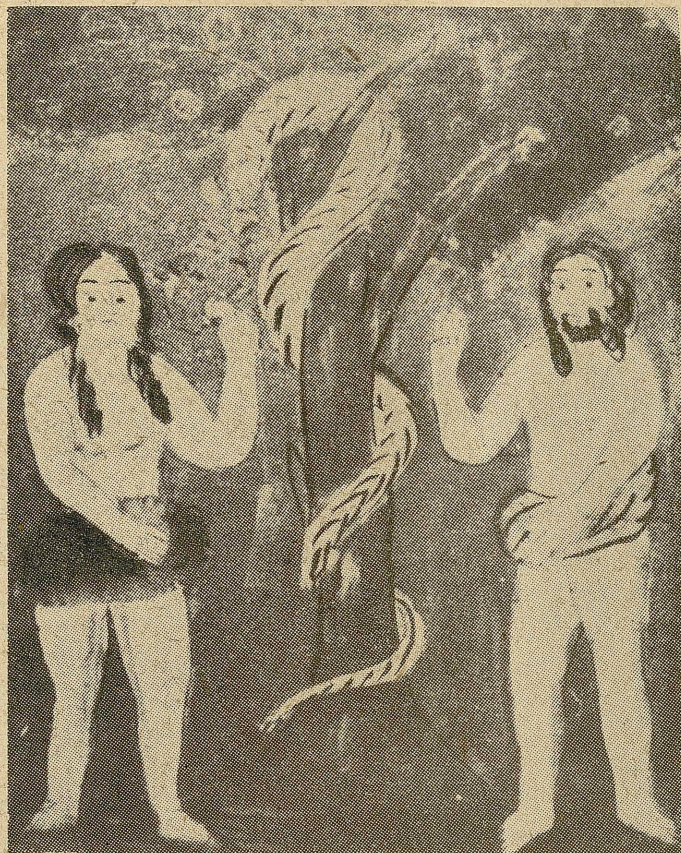
Oczywiście nakreślone tu, a stojące przed Związkiem zadania nie wyczerpują całości piętrzących się przed nami zagadnień. Nie zostały tu poruszone między innymi prace w dziedzinie kulturalnej, oświatowej i zdrowotnej. Takie omówienie całokształtu zadań przekracza ramy niniejszej pracy.

Na czoło wszystkich zagadnień wysuwa się **sprawa podniesienia produkcji rolnej**.

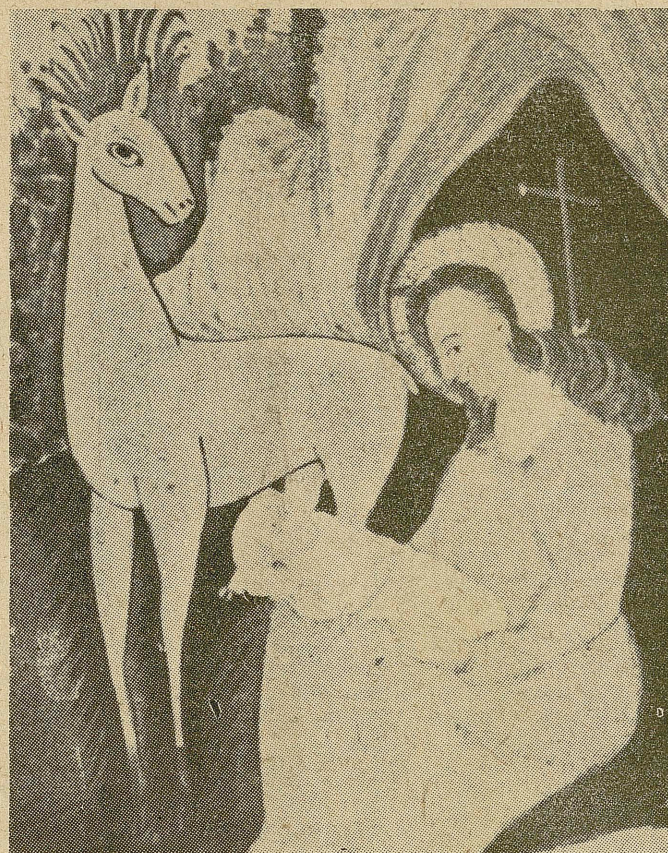
Romuald Lesiakowski.

Stefan Gierowski

Wystawa sztuki ludowej w Krakowie



Adam i Ewa, obraz na szkło, Spisz
Wł. Państw. Muzeum Etnograficznego
w Krakowie



Genowefa i Iania, obraz na szkło,
Śląsk Dolny
Wł. Państw. Muzeum Etnograficznego
w Krakowie

W styczniu została otwarta w Pałacu Sztuki w Krakowie wystawa: „Sztuka Ludowa w Polsce”, Muzea i zbiory prywatne całego kraju łącznie z obszarem „Ziem Odzyskanych” — wypożyczyły najciekawsze z eksponatów malarstwa, rzeźby i drzeworytu ludowego.

Celowo, jak podaje wstęp do katalogu, — „wystawa rezygnuje z wszystkiego, co świadczy o zdobniczym charakterze sztuki ludowej... Chodziło o pokazanie dokonania ludu polskiego w zakresie rzeźby, malarstwa i grafiki bez względu na treść wyrażaną i to nie w świetle etnografii, jak to czyniono dotychczas, ale w świetle wartości plastycznych” — Departament Plastyki Min. Kultury i Sztuki chciał z jednej strony „zsyntetyzować wartości naszego dorobku w zakresie sztuki ludowej”, z drugiej wykazać, „że na obszarze Polski dzisiejszej istnieją źródła, które zasilają mogą strumień sztuki polskiej”.

Toteż, aby osiągnąć zamierzony cel z Komitetem Wystawy współpracowała Naczelna Dyrekcja Muzeów i Ochrony Zabytków i Centralny Instytut Kultury. Dzięki ich szeroko zakrojonej akcji było możliwe udostępnienie wielu dotychczas mało lub wcale nieznanymi zabytków.

*

Obejrzenie pięciu sal „Pałacu Sztuki” powoduje silne przeżycie estetyczne. Może najbliższe jest ono temu, które dają wystawy plastyki średniowiecznej. Stwierdza się nieprzeciętną wartość zebranych dzieł sztuki ludowej. Niemal każdy obraz czy rzeźba są skończeniem doskonałym i dają widzowi radość poznania, podobną do tej, jaką odczuwamy przed arcydziełami największych artystów. Problem, który nasuwa wystawa powinien być szeroko dyskutowany. Trzeba koniecznie „odnaleźć” w historii sztuki polskiej miejsce dla twórczości artystów ludowych — trzeba, aby ta twórczość, która dotychczas łączona była raczej z etnografią zajęła należne jej miejsce w muzeach i galeriach sztuki.

Należy podziwiać i uczyć się od sztuki ludowej wymowy zestawień barwnych i logiki kompozycji wpływających z poczucia formy i koloru — częstokroć bardzo odbiegających od logiki formy rzeczywistej. Mamy więc do czynienia z podejściem stawiającym dzieło sztuki na platformie oderwanego, dla siebie istniejącego i swoimi prawami rządzącego się świata. Szczególnie rzeźba zbliżona jest do prac artystów greckich późnego okresu archaicznego, czy też do osiągnięć artystów romańskich lub wczesnego gotyku. Uderzają także analogie z prymitywami prehistorycznymi lub murzyńskimi.

Ta właśnie sztuka oddziaływała na twórców kubizmu, ekspresjonizmu, futurizmu etc. Dlatego nie jest przypadkiem, że przy patrzeniu na dzieła artystów ludowych przychodzi nam na myśl nazwiska Aristida Maillola, A. Modiglianego, Henri Matisse’a, Chagall’a i Picassa z pewnych okresów. Mimowoli doszukujemy się także łączności formalnej z traktowaniem obrazu przez niektórych polskich formistów, specjalnie Tadeusza Mankowskiego.

Ci wielcy i uznani twórcy sztuki nowatorskiej — nauczyli nas odnajdywać i rozumieć piękno prac artystów ludowych przez długi okres czasu uważanych za nieudolne marnoty. Zresztą do dziś nie wszyscy zwiedzający wystawę zdają sobie sprawę z tego, na co patrzą. Stąd stosunkowo niewielka frekwencja i zainteresowanie. Tkwi jeszcze w społeczeństwie niezrozumiała tendencja oceniania

niżej wartości rodzimych niż obcych, zwłaszcza zachodnio-europejskich. Dlatego też często dopiero znajomość i rozsmakowanie w sztuce Zachodu dopomaga do „odkrycia” sztuki ludowej.

Różnymi drogami — bo z jednej strony usilną pracą o dużym podkładzie intelektualnym, z drugiej ścieżką uczuciowej naiwności a nawet nieumiejętności osiągnięcia zamierzonego ideału — wyniki zeszyły się w momencie najwyższej plastycznej ekspresji.

Artysta ludowy, który przeciętnie tworzył na marginesie czasu poświęconego uprawie roli, bądź też kaleka lub dziadek niezdolny do pracy wyobraźnię swoją kształtował na rzeźbach i obrazach oglądanych w kościele. Równocześnie prymitywizm wiary narzucał mu tematykę mitologiczną. I tak jak w czasach prehistorycznych przodkowie związane z kultem „idole”, tak teraz rozpowszechniły się podobizny świętych chroniących, jak św. Florian od ognia, czy św. Wendelin, opiekun bydła. Stąd tak charakterystyczne podłoże religijne sztuki ludowej. Na wystawowych około 380 eksponatów może tylko 10—15 posiadało tematykę świecką jak „Janosiki” czy „Fajrka Janosikowa”, „Hajduk”, „Wesele” i inne. Tak więc przez wpływ zabytków kościelnych, przez kopiowanie obrazów, starych miedziorytów, sztychów, — różne często dawne, minione prądy, a szczególnie czasowo rozwojowi sztuki ludowej bliski barok przedostawały się do twórczości ludowej i stopione przez naiwne odczucie stworzyły styl, określany dziś jako „sztuka ludowa”. Jest to jedna z tych przedziwnych dróg historii sztuki, — która naśladowcom pozwalała przewyższyć oryginały, a nawet stworzyć przekonującą nową interpretację. Jest w tym coś z geniusza Szekspira, który opierając na cudzej i starej treści napisał swe wielkie dramaty.

Wartości formalne, jakie posiadają dzieła sztuki ludowej — to umiejętność zestawiania kontrastów barwnych (przypominam, że P. Cézanne duchowy ojciec sztuki XX wieku wskazywał na kontrasty barwne jako na podstawę ludowego obrazu), prymitywna uczuciowość, — która podporządkowała ekspresji plastycznej formę, niezmiernie uproszczoną, (czasem ze względu na trudności techniczne), poczucie dekoracyjności (którego dowodami są wycinanki i malowanki) i swojego rodzaju horror vacui, który nakazuje wypełniać zbyt wielką płaszczyznę ornamentem. W rzeźbie ważną rolę odgrywał materiał narzucający interpretację formy. Artysci ludowi — operowali wieloma technikami. W pracach rzeźbiarskich dominuje drzewo, choć zdarza się piaskowiec i gips. Malarstwo reprezentują tempery na deskach (b. rzadkie), tempery i oleje na papierze, oleje na płótnie i wyróżniające się specyficznym urokiem obrazy na szkło rozpowszechnione w XVIII wieku do połowy XIX wieku. — Grafika jest uboższa technicznie, znajdujemy drzeworyt i metaloryt, tradycje techniczne zapewne odziedziczone po dawnym malarstwie cechowym. W ogóle ciekawe wyniki mogłoby dać zestawienie malarstwa ludowego z polskim malarstwem cechowym XVII i XVIII wieku.

Bardzo ciekawa jest skłonność do typizacji. Przypomina to sztukę egipską, gdzie przez cały dwutysięczny okres jej trwania przeważały się pewne ustalone typy np. tzw. pisarz. Podobnie i tu wyróżnić łatwo ulubione kompozycje. Nie wiadomo kto stworzył typ Chrystusa Frasobliwego zwanego Dumającym, Świętą Turbacją itd. — ale powstały one w jednym z szczęśliwszych momentów w historii sztuki.

Nowy problem nasuwa sala poświęcona współczesnej sztuce ludowej. Spotykamy tu nieustępujące dawniejszym w wykonaniu i ekspresji prace Leona Kudły (szczególnie ciekawa grupa ucieczki z Egiptu), Heleny Roj-Kozłowskiej i Zofii Roj-Szelegowej — które wznawiając tradycję malującą na szkło, Jędrzeja Wawro, Franciszka Janeczko i innych. Dzieła te są tradycyjne co do formy i treści, aczkolwiek wprowadzają czasem pewne nowe elementy.

Że jednak nie wszystko jest po staremu dowodzą prace poprawnie realistyczne Wandy Goraj, Konstantego Chojnowskiego, Stanisława Kalemby i innych. Tematyka staje się bardziej świecka, widzimy chłopów, baby, widoki na Wawel — równocześnie ekspresja spada do minimum. Stajemy przed przeciętną twórczością. Artysta sięga po temat ludowy, ale traci styl ludowy. I tu napotykamy na zagadnienie: czy istnieje możliwość rozwoju sztuki ludowej i w jakim kierunku?

T. Seweryn we wstępie do katalogu wystawy napisał: „Zgromadzone w jednej sali przykłady współczesnej twórczości artystów ludowych dowodzą, że plastyka ludowa nie jest pieśnią przebrzmiałą, ale zjawiskiem żywym, dokonującym się, trwającym”.

Ale nie jest zjawiskiem oderwanym, powstaje i tkwi w kulturze, w społeczeństwie. Wszelkie przejawy życia oddziałują na nią i pozostawiają ślad.

Postęp kultury, rozwój przemysłu, przemiany społeczne, pomyślny lub niepomyślny stan ekonomiczny — to wszystko stwarza nowy typ odbiorcy i twórcy sztuki. Przy sprzyjających podniesieniu poziomu kultury okolicznościach społecznych naiwność prymitywna sztuki ludowej nie będzie mogła mieć miejsca — a utrzymywana systemem cieplarnianym zatrać swój istotny sens, swą funkcję kulturową.

To, co powstaje dziś w dziedzinie sztuki ludowej jest po części próbą wskrzeszenia dawności, po części wynikiem zacofania wsi, a częściowo procesem zanikania wartości abstrakcyjnych na rzecz realizmu, czyli normalnym procesem rozwoju sztuki od prymitywu do komplikacji. Otóż prace tej ostatniej grupy, wydają się być zaczątkiem tzw. w Rosji Radzieckiej, „socjalistycznego realizmu”. Kierunek ten nie jest jednak żadnym osiągnięciem w sztuce, metodą jego jest odwrotność — ilustracyjna i w zestawieniu z osiągnięciami sztuki polskiej współczesnej — zacofana. Niewątpliwie jest to w Rosji pewna forma przejściowa kulturowa z przeszłości, nie ściśle estetycznych, w każdym razie ten styl w sztuce ludowej nie mógłby być „źródłem zasilającym strumień sztuki polskiej”.

Wydaje się, że tradycyjna twórczość ludowa będzie niezadługo należeć do chlubnej przeszłości sztuki polskiej. Nowe czasy, nowa sytuacja społeczno - kulturalna warstwy chłopskiej wymagają nowego wyrazu plastycznego. Różnice międzyklasowe będą się zacierać coraz bardziej. Trudno dziś mówić o wyodrębnionej literaturze ludowej. Przecież poeta Fietaka czy gwara pisana prozą Pogana nie mogą być przeznaczone dla jednej klasy i nie powstały w zamkniętym kole jednej wioski. Postęp kulturalny - społeczny musi doprowadzić do wytworzenia się pewnej przeciętnej odczuwania estetycznego a przez to do zaniku sztuki ludowej.

Natomiast te wartości, które ukrywają w sobie dzieła plastyki ludowej — powinny być szkołą i źródłem dla młodych artystów na równi z najwybitniejszymi wzorami wielkiej sztuki europejskiej.

Wiesław Jażdżyński

W CHŁOPSKIM GIMNAZJUM

Na międzynarodowych Kongresach Wychowania Moralnego, odbytych w 1908 i 1930 roku święciła raz jeszcze triumf, wypracowana w drugiej połowie XIX wieku pedagogika mieszczańska. Panowała, szczególnie na pierwszym ze wspomnianych zjazdów — ogólne przekonanie, że zadania i metody wychowania należy oprzeć na zasadach liberalizmu.

Mieszczańska pedagogika dziedziczyła nadal obowiązujące zdobycze nauk ekonomicznych i społecznych XIX wieku.

Klasyści kapitalistycznej ekonomiki sformułowali statyczne w swej istocie, wieczne i niezmiennie, z „natury bytu” wynikające prawa życia gospodarczego.

Na odcinku teorii rozwoju społeczeństw obowiązywały podobne „wieczne” prawa wynikające także z „natury bytu”. Sprecyzował je Spencer i szkoła organicystów w socjologii.

Liberalizm mieszczańskiej pedagogiki wychowawczej wyrażał przekonanie, że pomiedzy, jednostką a społeczeństwem istnieje automatycznie zachodząca harmonia, jako rezultat praw naturalnych, według których funkcjonuje zarówno człowiek jak i społeczeństwo. Harmonia ta zachodzi, jednak tylko wówczas, kiedy jednostka ludzka — że „działa swobodnie po linii własnych interesów”. W „wolnej konkurencji” wszechstronnych pragnień człowieka kształtuje się jego pełny rozwój kulturalny. Podobnie — wolność gospodarcza, jaką osiąga „homo oeconomicus”, wynika z wolnej gry interesów na rynku dóbr gospodarczych i usług.

Tak więc indywidualizm gospodarczy w kapitalizmie, przerzucony na grunt wychowania młodzieży wykształcił **personalistyczną pedagogikę**, realizowaną w mieszczańskich gimnazjach ogólnokształcących. Podmiotem wychowawczym stała się jednostka jako osobny i autonomiczny rodzaj rzeczywistości kulturowej. Celem postępowania wychowawczego — ukształtowanie typu szarmonizowanej osobowości poprzez sublimację instynktów, uśmierzanie ich, pogodzenie sprzeczności w duszy jednostki z naturą bytu.

W ten sposób formułę zadania pedagogiki personalistycznej Emanuel Mounier w „Manifestie o personalizmie”, w Polsce Sergiusz Hessen w „Podstawach pedagogiki”.

Wspomniany na początku — Międzynarodowy Kongres Wychowania Moralnego z roku 1930 ujawnił już początki kryzysu mieszczańskiej pedagogiki wychowawczej. Zaznaczano coraz silniej niewystarczalność odziedziczonego po XIX wieku systemu wychowania w średniej szkole ogólnokształcącej. Dzieci średniego i bogatego mieszczaństwa wypełniające — niemal po brzegi — gimnazja ogólnokształcące pogłębiały wprawdzie swoje osobiste dyspozycje umysłowe i duchowe, opanowały nawet technikę wywoływania postaw uczuciowych wobec problemu nędzy i zła, odcierane jednak od rzeczywistości idealistycznymi założeniami systemu wychowania, nie związane z określonymi zadaniami społecznymi i gospodarczymi, nie potrafiły powstrzymać procesu rozkładania się kapitalizmu, a wraz z nim i swojej mieszczańskiej grupy społecznej.

Na Zjeździe mówiono już o upadku mieszczaństwa i wraz z nim — kultury Zachodu. Zwrócono nareszcie uwagę na ostrzeżenia przywódców ludu.

Procesowi załamywania się kapitalizmu w jego ostatniej, imperialnej fazie, odpowiadał rozkład mieszczaństwa.

Ale mieszczańska myśl pedagogiczna miała i ma znacznie dłuższy żywot. Przetrwała bowiem nie tylko drugą wojnę światową, ale trwa do dziś w kraju, który usunął go — społeczeństwo — społeczne podstawy kapitalizmu, usiłując je z kolei zwalczyć na odcinku wychowania młodzieży.

Czytelnikowi będziemy starali się pokazać w dalszych częściach naszej pracy, na przykładzie realnie istniejącego gimnazjum chłopskiego:

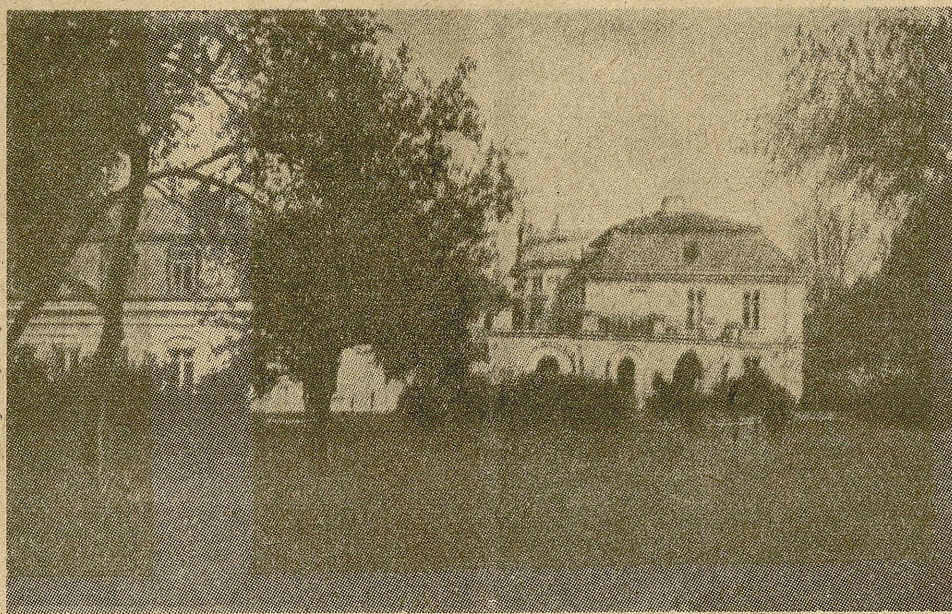
1) jakie konsekwencje społeczno — kulturalne wywołało przedłużające się w dzisiejszym Państwie Ludowym — personalistyczne wychowanie,

2) będziemy starali się pokazać próby wprowadzenia nowego, społecznego wychowania młodzieży i jego społeczno — kulturalne skutki.

I. POD UROKIEM PERSONALIZMU

a) Czysto polskie wychowanie I...

Leży przed nami księga protokołów z posiedzeń Rady Pedagogicznej gimnazjum chłopskiego w Szczekocinach, za rok szkolny 1946/47.



Szczekociny, pałac z XVIII w.

Czytamy tam (25. IX. 1946 r.): „W roku szkolnym bieżącym będzie się dążyć do stosowania takich metod dydaktycznych, które wyrabiają samodzielność myślenia i zapewniają najbardziej skuteczny rozwój osobowości ucznia... Dużą wagę przywiązuje szkoła do uczuć estetycznych, w szczególności do umuzykalnienia młodzieży... W zmiętej pojeździe młodzieży na kurs tańców, zwróci się przy tym uwagę na tańce narodowe: kujawiaka, krakowiaka, trojaka i inne”.

Jesienią tegoż roku ułożono także Regulamin szkolny. W poszczególnych paragrafach wstępu do regulaminów czytamy: (par. 2) W zakładach naukowych w Szczekocinach skupia się młodzież chłopskiego pochodzenia. Pomna, że lud wiejski stanowi podstawę Odrodzonej Polski, zwiążę się najmocniej ze swym środowiskiem aby zarówno w czasie studiów jak i po ich ukończeniu pracą swą przodować życiu polskiej wsi... (par. 4) Miłość dla matki i siostr, podziw dla ofiarności i heroizmu Polek walczących w szeregach wojska Polskiego nakaże uczniom czcić kobiety i stanąć w ich obronie w razie potrzeby... (par. 5) Swoją rolę w szkole winna młodzież wyzyskać dla wszechstronnego, harmonijnego rozwoju duszy, umysłu i ciała. Będzie więc z równą troską dbała o rozwój intelektu, uczuć, woli, zdrowia i sił fizycznych pamiętając stale, że jeszcze wyżej ponad naukę stawiać należy wyrobienie charakteru”.

Oto fragmenty jeszcze jednego manifestu o personalizmie! Sformułowano go a raczej powtórzono na gruzach kapitalizmu, u progu innej już przecież „optycznej robotnicy i chłopów” w gimnazjum, gdzie młodzież chłopska stanowiła 80%!

Dlaczego? Wypada jeszcze tylko pokazać jak zaznaczył się w pedagogice wychowawczej fakt, że gimnazjum skupiło 80% młodzieży chłopskiej.

Odpowiedzi są dwie: 1) W skład grona pedagogicznego weszli nauczyciele z przedwojennych mieszczańskich gimnazjów ogólnokształcących, albo wychowankowie tych gimnazjów. 2) Nie istniał żaden inny konkretny wypracowany system wychowawczy.

Powstałe w takich warunkach ogólnokształcące gimnazjum chłopskie odwzorowywało mniej lub więcej szczerze poprawne gimnazjum mieszczańskie.

Sięgnięto tu do ludomańskich wzorów wychowawczych, awansujących chłopów nie rzeczowo ale... „duchowo” w warstwie inteligentno — mieszczańskiej. Takie właśnie „duchowe” przechodzenie z ludu w naród, nie przeznaczone awansującemu chłopu żadnego wpływu na społeczno — gospodarczy i kulturalny układ stosunków w kraju, akceptowała w całości mieszczańska pedagogika wychowawcza.

Naszemu czytelnikowi streszczamy wykład pt.: „Psychika chłopów i jej źródła” — wygłoszony przez przedstawiciela grupy pedagogów pochodzących z „ludu”. Prelegent, opierając się na pracy W. Radwana („Kultura i Wychowanie” nr 5, 1938 r.) wyjaśnia, że chłop żyje w przyrodzie jako jej część. Łączy go z nią uczuciowy związek. Poczuć całkowitej zależności, od ślepych sił przyrody opierał tak dalece psychikę chłopów, że nie podejmuje on nawet inicjatyw w kierunku ujarzmienia przyrody.

Chłopi nie ma szerszych zainteresowań społecznych. Ale w tym życiu, w tym małym zakresie zjawisk jest jakaś głębia, jakiś dech kosmiczny, jest **biologiczna pełnia ludzkiego**

życia. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”. Jeżeli utrzymuje się jeszcze przy życiu zdegenerowany cywilizacją przemysłowo — techniczną człowiek z miasta — to jedynie dzięki dopływowi świeżej krwi ze wsi. Współczesne czasy radykalnych reform zakłóciły gwałtownie równowagę ducha młodzieży wiejskiej i mogłoby to być niebezpieczne dla kultury, ponieważ stan wykształcenia chłopów jest zbyt

żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

Żyłoty. Chłop stanowi dla całej kultury koło w bycie, daje pośredni związek z przyrodą, odżywia człowieka choćby przez mowę i sztukę, pełną krwią kosmicznego oddechu”.

dy to na Sejmie galicyjskim z roku 1860 mówił hr. Rey: „Przyznać trzeba, że idziemy szerokim gościem do hiperprodukcji inteligencji tj. do wytwarzania najniebezpieczniejszego z proletariatu do — proletariatu inteligencji”.

Cytowany już poprzednio list prymasa chłopskiego gimnazjum pokazuje, że z chwilą zetknięcia się z rzeczywistością kulturalno — społeczną działanie znieczulającej atmosfery chłopskiego saloniku znika, a rodzi się gwałtowny ból wynikający z niewiedzy o rzeczywistości i nieprzydatności do konkretnych zadań spadających na młode pokolenie chłopów.

Prymus gimnazjum będzie jeszcze długo „człowiekiem” w samowolności społecznej nim stanie się pełno wartościowym nauczycielem ludowym. Innych, podskatanych w „wyższej” kulturze obyczajowo — towarzyskiej, nie można już odróżnić od młodzieży mieszczańskiej, stanowiącej nadął poważny procent studiujących na wyższych uczelniach.

II NA NOWEJ DRODZE

a) Źródła przemiany

Na progu roku szkolnego 1946-47 przeżyły Zakłady Naukowe w Szczekocinach poważny kryzys.

Duża część grona pedagogicznego, przyzwyczajona do obcowania z młodym mieszczańskim gentlemanem, traktowała pracę w środowisku chłopskim jako zło konieczne — rezultat minionej wojny. Wyrzuceni z ponaściej Warszawy po powstaniu, częściowo zmuszeni ukrywać się przed gestapo w okolicach Szczekocin, powrócili nauczyciele-inteligenci do miast na swe przed wojną zajmowane stanowiska w mieszczańskich gimnazjach ogólnokształcących.

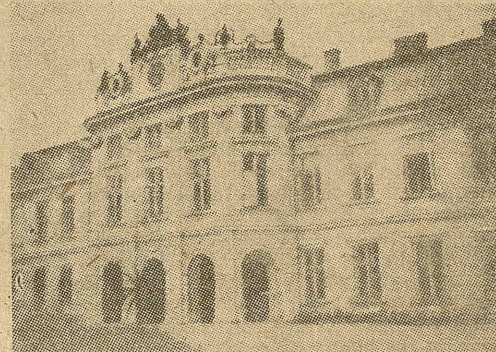
Mimo trudności, wynikających z powojennego braku sił nauczycielskich uzupełniono luki w gronie pedagogicznym i czekali na przybycie młodzieży.

Tymczasem nadiągnęła znacznie mniejsza liczba młodzieży niż się tego spodziewano. Kiedy jeszcze wiosną 1945 roku liczyły Zakłady blisko 1000 uczącej się młodzieży, w tym ponad 250 wypełniało internaty, to na następny rok szkolny zapisało się początkowo około 600 uczniów i uczennic, z których tylko 180 zamieszkało w internatach.

Dlaczego?

„Urzednicy spółdzielni rolniczo-handlowych, urzednicy gminni, aptekarze, akuszerki, nauczyciele ludowi, częściowo i zamożniejsi chłopcy — „arystokracja” wiejska okolicy — wolała oddać swe dzieci „na wyszkolenie” do lepszych, przedwojennych gimnazjów ogólnokształcących w Zawierciu, Jędrzejowie, czy Włoszczowie. Gimnazjum z tradycją której Zakłady Naukowe, otwarte po wojnie, nie posiadały, gwarantowały pomyślny awans na „inteligenta”.

Z drugiej strony synowie średnio i mało — rolnych chłopów rezygnowali z długiej, 6-letniej drogi awansowania w „wyższą kulturę” mieszczańską. Działalność partii politycznych, organizacji młodzieżowych, świetlic i Domów Ludowych w ramach szybko krystalizującego się nowego ustroju Polski Ludowej, ukazała grzebiącym się na dnie chłopskiej nędzy biedniakom nieznane im dotąd perspektywy awansu już nie „duchowego”,



Szczekociny, gimnazjum

ale rzeczowego. Usłyszeli oni, że Polska ma być przemysłowa i, że wobec tego 250 000 zakładów przemysłowych, 300 000 warsztatów rzemieślniczych, 600 000 przedsiębiorstw handlowych i spółdzielczych zatrudni na stałe każdego, kto będzie posiadał wykształcenie zawodowe.

Zatem idea konkretnego zawodu — rezultat działania nowego ustroju społeczno — gospodarczego państwa, odgrywała znaczną część biednej i średnio-zamożnej młodzieży chłopskiej od gimnazjum ogólnokształcącego, gdzie mogła „ponad naukę stawiać... wyrobienie charakteru”.

Młodzież ta odchodziła na kursy zawodowe organizowane przez państwo, do Junaków Hufców „Świt” powstających w Kielcach, czy nawet — szkół zawodowych niższego i średniego stopnia.

Jeżeli więc grono pedagogiczne Gimnazjum w Szczekocinach nie chciało rezygnować z ambicji skupiania całej młodzieży z okolicy, musiało przystosować prowadzone przez siebie Zakłady Naukowe do warunków nowego ustroju państwowego.

Jeszcze w roku szkolnym 1946-47 uruchomiono przedszkole, 8-klasową szkołę ćwiczeń, roczną szkołę spółdzielczą, 2-letni kurs przy —

...wawczy na nauczycieli ludowych szkół powszechnych, 4-letnie liceum pedagogiczne, roczny kurs szoferski, motorowy i szybocwo-

W OSTATNIM 7 (136) NUMERZE „WSI”

Z DNIA 15.2.1948 r.

Stanisław Cieślak — Plan Inwestycyjny; Zygmunt Lasocki — Odpowiedź na „Starą zasłonę”; Maciej Czula — Zdradzieckie zakrety; Tadeusz Chrościelewski — Lud u zachodowca; Maria Janion — Mieszczański humanitaryzm; Waldemar Kiwilszo — Od liberalizmu do socjalizmu; Jakub Litwin — W kręgu moralności „Ziemi obiecanej”; Zdzisław Laszcz — „Plast” i nagroda Nobla; Jan A. Król — Pisarze wobec filmu; Anna Kamieńska — Czytanie Miłosza, Pieśń biesiadna; Teodor Goździkiewicz — Na pastwisku; Tadeusz Drewnowski — Wyrok zagłady na Jerzycho; Janusz Lin — Kapitalistyczny Tartuffe; Zbigniew Wasilewski — Bobrzyński redivivus; Wiktor Helman — Szałachta, powstanie, organizacja społeczna; Fakty i zdania — Witold Jędrzejko — Jeszcze jeden głos o egzystencjalizmie; J. m. — Chmielowski aeternus; Józef Kompot — Polityka ogłupiania i polityka zastraszenia; Jerzy Falenczak — Pochwala parafianczyzny; Bufalo Bill — O transportowaniu ideologii; Akademik — O „niesprytnym” dziennikarzu. J. f. — Wokulski a Pakulski; — Sprostowanie. Ilustracji 15 — Stron 12.

wy, zachowując przy tym gimnazjum i liceum ogólnokształcące.

Do tak zreorganizowanych Zakładów Naukowych, gwarantujących swoim wychowankom wyposażenie już nie w zalety charakteru, ale zawód umożliwiający rzeczywiste funkcjonowanie społeczne — młodzież napłynęła znowu i to w przeważającej części najbiedniejsza.

Na ogólną liczbę 779 uczniów i uczennic w latach 1940-47 przypadało młodzieży z gospodarstw poniżej 5 ha, robotniczej i sierot — 577.

Ujawniła ona od razu swoje prawdziwe zainteresowania. Wystarczy tylko podać, że poszczególne szkoły zawodowe Zakładów skupiały blisko 300 uczniów i uczennic, podczas gdy liceum i gimnazjum ogólnokształcące, które w poprzednim roku miało do 1000 osób — liczyło w następnym tylko 161 osób.

Nowa młodzież żądała nowej pedagogiki wychowawczej.

b) Jej kierunek

W protokole z posiedzenia Rady Pedagogicznej z dnia 10.9.1947 czytamy:

„Dyrektor wyjaśnia, że w tej chwili dokonuje się odwrót od pedagogiki indywidualistycznej, która ogniskowała uwagę wychowawcy wokół jednostki... Pojęcie pedagogiki społecznej nie jest dziś jeszcze skrytykowane. Ciekawe próby w tym kierunku wyszły spod pióra kuratora łódzkiego J. Baculewskiego” („Wiś”, Nr 27-28, rok 1947—„Pedagogika społeczna”).

Włączenie się Grona Pedagogicznego w proces przeniania gospodarzo-społecznych i kulturalnych zachodzących w kraju, poprzez obecność jego przedstawicieli na zjeździe pisarzy chłopskich w Rytwianach, uczestniczenie w zjazdach i dyskusjach nauczycielskich, wycieczki naukowo-poznawcze do innych chłopskich szkół, na Śląsk, Ziemię Odzyskaną i Wybrzeże, gruntowne studia nad zdobyczami współczesnej nauki i pedagogiki, ułatwiły mu wypracowanie nowej koncepcji wychowawczej, dostosowanej do rzeczywistych potrzeb młodzieży.

Na posiedzeniach Komisji Wychowawczej nie mówiono już więcej, że chłop nie ma „szerszych zainteresowań społecznych”. Rozważania nad biologiczną pełnią chłopskiego żywota zastąpiono „Rozważaniami nauczycielskimi” St. Żółkiewskiego, sposobami wyzyskania wiadomości z prasy przy nauce o

Polsce współczesnej, dyskusjami nad programem wprowadzonych w nauczaniu zagadnień z nauki ekonomii i spółdzielczości.

W tej próbie można było liczyć na pomoc młodzieży. Przypatrzmy się bliżej jej życiu i pozwólmy jej przemówić.

c) Mówi nowa młodzież!

Oddajemy głos uczniowi 4-ej klasy gimnazjum: „Chciałbym być chłopem, wstąpiłem do Z. W. M-u, ponieważ nie widzę poważniejszych różnic ideologicznych między chłopem i robotnikiem. Jedni i drudzy walczą z kapitalizmem. Dzisiaj szczególnie chłop, bo na wsi choć może na oko tak nie wygląda — istnieje taki mały kapitalizm. Jedni chłopie się bogacą, drudzy biednieją. Jednym ucieka ziemia spod nóg, innym — bogatym ziemi przybywa”.

Prymus 2-ej klasy liceum pedagogicznego mówił na temat literatury pozytywizmu w ten sposób: „można ją przyrównać do apteki, gdzie według recepty skreślonej przez lekarza nabywa się lekarstwo na schorzenia społeczne drugiej połowy XIX wieku. Recepta a la „Janko Muzykant” kosztuje za drogę i nie jest każdemu. W mojej rodzinie jest nas czterech Janków Muzykantów, a coż tu mówić o całej wsi!”

I wreszcie głos członka „Wiś”: „Wychodźmy wraz z kolegami z T.U.R.-u i Z.W.M.-u w teren, zakładajmy świetlice. Przeszkadza nam plebania, starsze pokolenie chłopów i dewotki. Przy końcu spowiedzi pytają nas po wsiach księża do jakich organizacji należy. Jeżeli do demokratycznych, to znaczy nie do harcerstwa, ksiądz mówi przed daniem rozgrzeszenia: wystąp dziecko z tej organizacji, bo to dzieło wyznawców diabła!”

Zacytowane głosy członków organizacji młodzieżowych pokazują dojrzałość pokolenia do nowego ustroju. Zdaje sobie już ono sprawę z tego, że młode państwo ludowe walczy z resztkami kapitalizmu, ocenia właściwie siły społeczne, które przeciwstawiają się w tej walce — obozowi postępu. Młodzież potrafi już także prównać proponowane w literaturze rozwiązania problemów społecznych z rzeczywistością społeczno-gospodarczą. Działają tu niewątpliwie wprowadzone przez grono pedagogiczne zmiany w strukturze nauczania i systemie wychowania.

Podstawowa instytucja życia społecznego wychowanków Zakładów jest świetlica. Starsza młodzież z pierwszego roku, ucząca się

jeszcze w liceum ogólnokształcącym, niechętna wszelkim organizacjom młodzieżowym, a szczególnie ZWM-owi, zaglądała raczej do mieszczańskich pokoiów „panienek z miasta”, gdzie też prezentowała swój „partyzancki fason”, wypolerowany „grzecznością wobec dam” i „poprawnością w towarzyskim zachowaniu się oraz wymowie”.

Młodzież z roku szkolnego 1947-48 przebywała chętnie w świetlicy, gdzie pogłębia intensywnie samowiedzę społeczną.

Na 1400 wypożyczonych w ciągu trzech pierwszych miesięcy jesieni 1947 książek — 2/3 przypada na wydawnictwa „Biblioteki Kłasyków Marksizmu”, „Historie Chłopów” — Świętochowskiego, „Dzieje chłopów” — Sreńskiego, „Drogowskazy” — Króla i „Młode pokolenie chłopów” — J. Chałasińskiego.

Naszego czytelnika przestaną teraz chyba dziwić trzy wypowiedzi przedstawicieli tej młodzieży, która uczy się nauk społecznych w szkole, poznaje dzieje chłopów i robotników teoretycznie z książek w czytelni, z gazet w świetlicy i sprawdza swe wiadomości w próbach konkretnej pracy w terenie.

To właśnie nowe pokolenie chłopów, na którym działanie ustroju „ojczyzny chłopów i robotników” zaznaczyło się już wyraźnie, wypełnił powoli plan zorganizowania życia kulturalno-społecznego i gospodarczego swojego powiatu, zaprojektowany i realizowany przez Radę Pedagogiczną Zakładów Naukowych w Szczekocinach.

III. PIERWSZE OSIĄGNIĘCIA

Powiat włoszcowski jest typowo chłopski. Leżą w nim tylko dwa miasteczka Włoszczowa i Szczekociny, liczące razem około 15.000 mieszkańców.

Zaniedbany przed wojną, odcięty od ważniejszych linii kolejowych i dróg partykularz podejmuje próbę zorganizowania nowego życia. Na terenie powiatu powstają 10-klasowe Szkoły Podstawowe, szkoły powszechne, świetlice wiejskie, domy ludowe i organizuje się spółdzielczość Z. S. Ch.

Jaką rolę ma odegrać w tej przebudowie społeczno — kulturalnego i gospodarczego powiatu młodzież z Zakładów Naukowych w Szczekocinach?

W trakcie uczęszczania do szkoły, wyjdzie ona w każdą sobotę do pracy w terenie — zakładać świetlice, organizować odczyty, za- wiazywać koła wiejskie „Wiś”, ZWM i TUR,

pomagać w akcji żniwnej, przy budowie dróg, elektryfikacji wsi.

W roku 1947, począwszy od lata, zorganizowała młodzież kilka świetlic, brała udział w akcji żniwnej i dała kilka odczytów dla wsi.

Już w czasie pobierania nauki, próbują realizować młodzi chłopcy jedno z najpoważniejszych zadań — ujęcia życia społecznego wsi w ramy instytucji.

A po ukończeniu nauki?

Absolwenci Zakładów Naukowych, którzy pozostaną na terenie powiatu, przygotowani do wykonywania określonych zadań społecznych obejmą stanowiska nauczycieli w szkołach podstawowych, będą zakładać szkoły powszechne po wsiach i kierować nimi. Wezmą udział w organizowaniu podstawowych w nowym ustroju instytucji życia gospodarczego — Uniwersalnych Spółdzielni Gminnych Z. S. Ch. Zorganizują i poprowadzą pracę wiciową, ZWM-ową i TUR-ową w powiecie.

Jesienią pracowało już w szkołach podstawowych i powszechnych powiatu włoszcowskiego 77-miu absolwentów dwuletniego kursu pedagogicznego i 16-tu po pełnym czteroletnim liceum pedagogicznym. Jeden z nich uruchomił, zaopatrzył w sprzęt i niezbędne pomoce naukowe szkołę powszechną w ciągu niespełna 4-ch miesięcy na wsi, gdzie dotąd nie było nigdy szkoły.

Nad całością prac w terenie czuwa Komisja Rejonowa, wyłoniona z Grona Pedagogicznego Zakładów Naukowych w Szczekocinach. Komisja ta prowadzi w każdym miesiącu dwudniowe seminaria dla nauczycieli powszechnych szkół ludowych. W lecie odbywa się miesięczne seminarium, na którym niewykwalifikowane siły pedagogiczne składają egzaminy kwalifikacyjne.

Na takie to drożce, poznania rzeczywistych zadań nauczyciela szkoły średniej, polegających na przygotowaniu młodzieży do określonego funkcjonowania społecznego włączyło się Grono Pedagogiczne Chłopskich Zakładów Naukowych w wartki nurt przemian kulturalno-społecznych i gospodarczych Polski Ludowej. Droga ta nie prowadzi już więcej chłopskiej młodzieży na bezdroża mieszczańskich pedagogiki wychowawczej, gdzie przecież zapalała się spora część młodych chłopów z pierwszego liberalnego i niezorganizowanego naderżnięcia społecznego.

Wiesław Jażdżyński

Maria Pujmanowa

T R U H L A *)



M. Pujmanowa

rys. A. Stopka
(rys. z „Odrodzenia” 22(131))

Ojciec Andrzeja, Wacław Urban, zmarł, kiedy chłopak miał niespełna jedenaście lat. Pogrzebano zmarłego w miejscu urodzenia, w Lhotce na cmentarzu zwanym „Mareczku”. Anna Urbanowa urodziła się w Pradze, nie więc dziwnego, że po zabezpieczeniu w księdze hipotecznej działów należących się z domu córce Różenie i synowi Andrzejowi, postanowiła wyjechać. Po charakterystycznym dla jej usposobienia wahaniu, za doradą lhotcekich krewnych ustalono, że przejdą się do dziadka do Pragi. Tłumaczyło się to tym, iż matka robi to dla dzieci. Jednak postanowienia dorosłych są dla dzieci niebardane. Pożegnanie z domostwem dosięgło wówczas Andrzeja jak śmierć.

Urbanowie nie posiadali wiele, lecz do chłopaka należała cała ziemia. Bynajmniej nie mam zamiaru przedstawić Andrzeja lepszemu niż był, a udawanie, że dziecko kocha przyrodę, byłoby podobne do twierdzenia że kocha swój palec. Tylko ludzie zmęczeni, lub skrzywdzeni przez miasto rozkuliwają się na widok kwitnących łąk, kształtu sosny i kolorów zachodu. Urwis Andrzej tulał beczki z pagórków, celował szyszkami sosnowymi do dziewczynek i strzelał z procy do wróbli. Na luk najlepsza jest wierzba, lecz procy miał Andrzej bukową z lasu około Czarnej Skąły, z której dwa razy się stoczył,

lecz to nic nie znaczy. Brnęli po kołana w tlejących liściach polnych, Andrzej, Antek Szczastny, któremu naboż urwał palec, i Franek Suk. Złapali tam rogacza, po prostu smok między owadami. Zanim jeszcze przybyli do domu, przegryził Andrzejowi kieszeń. Nad głowami w pogańskiej ciemności lasu białda drgającym głosem drapieżny ptak, którego nazwy nie znali. Może to był orzeł. Rozmawiali cichutko. Kiedy zajątki rozpoczęły wiosenną zabawę, chłopak wspinał się zwykle na wierzbę w Mareczku.

Potem wykurzał gniazda os. Wiedział, gdzie mieszka jeź, gdzie są maleńkie kociaki, znał nazwy wiejskich krów. Z wszystkich drzew śliwowych wybierał sobie te, które dawały najdoszłe owoce. Początek i koniec wsi były oznaczone jego paleniskami. Znajdował je co roku po spłynięciu śniegu. Tak było od lat. I teraz ma się zmienić?

— O Boże! Całą niedzielę nosiłbym wodę i wiązał fasolę do patyków, tylko żeby tu był jeszcze ojciec — westchnął Andrzej. Tak mało sobą się nacieszyli.

Wszyscy chłopcy w Lhotce mieli ojców w domu. Powrócili z wojny. Tylko niektórzy byli wymienieni na pomniku poległych żołnierzy.

Wacław Urban, rosyjski legionista powrócił ostatni. Przybył z Władywostoku morzem. Naprzód Andrzej się wstydził starego obcego żołnierza, który napelniał kuchnię szczyplącym dymem, nie będąc podobny do owego młodego mężczyzny w czarnym surducie i wysokim białym kołnierzu z fotografii wiszącej w pokoju nad kanapą. Było mu z nim jakos obco. Wolałby po prostu, żeby ojciec nie przyjechał i żeby wszystko zostało po dawnemu. Dziwna rzecz i żołnierz, który przecież nie bał się ani Niemca ani bolszewika ani nikogo na świecie, był onieśmielony chłopakiem. Kiedy odszedł na wojnę, mały zaledwie paplał. Nie znali się po prostu.

Ojciec najadł się, położył i spał noc i dzień. Przespiał burzę i zawieruchę. Padał wówczas grad tak wielki, jak kurze jajka, kulka ważyła pół funta, mama ważyła ją na wadze. Kiedy ojciec się podniósł, już się wyjaśniło i słońce zachodziło, tylko świat był jakiś nowy po tym potopie. Beczka pod okapem przeciekała, droga była zatarasowana wozami. W strumyczku za domem pieniała się woda. Ojciec nakazał Andrzejowi, przynieść dwie deski, belkę i gwoździe. Sam, nie objaśniając, na co, zabrał młotek i wyszedł za dom. Za małą chwilę stanął w strumyczku miynek, toczył się i grzechotał: klap, klap. Ojciec urządził sobie warsztat, gderając stale, że wiele rzeczy mu zginęło, wiele zardzewiało. Pożytył od listonosza rower, usadowił chłopaka przed sobą i pojechał do miasta kupować narzędzia. Z tej wycieczki pochodziły szczyrki i magnetyczne żelazko Andrzeja. Teraz dopiero zorientował się Andrzej, co to znaczy „mężczyzna”. Przytrzymał w śrubie klucz i piłuje zęby do niego, ma różne obcegi, francuski klucz, śrubki, muterki gwintowe i giętke druty.

Opanował ogień i metal, otworzył każdy zamek, wszystkiemu da rady i kiedy się mama kłóci z ciotką powie — Anetko, przestań. Ze też te kobiety nie mogą się uspokoić.

Ojciec stał nad matką, pomimo, że ta gmerała w pięciu już dawno niecierpliwa i zgorzkniała. Podczas wojny pracowała na roli za miarkę ziemniaków, za garść kaszy. Nie była do tego przyzwyczajona w Pradze. Była córką zarządcy i pokojówką w pańskim domu. Wojna kobiety była czegoś nauczyla, więc kiedy lhotcecki szewc musiał iść do wojska usiadła i naprawiała dzieciakom buty. Ugniatały trochę, lecz można było w nich wytrzymać. Miała już takie usposobienie, że potrafiła się poświęcić do ostatka, ale później to wypominała. Taka już była, nikt siebie nie zmieni.

Ojciec opowiadał o psie, synu wilczycy ścigającym pociąg, w którym odjeżdżał jego pan, o lokomotywie pancerniej, o Chinach, o kapitańskim kompasie. Matka przerywała mu pytaniami o ceny wiktuałów. — Rosja to jest ziemia wielka jak świat, miesiące jedziesz pociągiem nim dojedziesz do przystanku we Władywostoku. W Rosji są potoczki jak nasze rzeki, a rzeki jak morze — nie widział drugiego brzegu. Słońce świeciło nocą nad Sybirem i dzień tam mają dłuższy. Ile tam zwierzyńny, ile ryb! Co u nas kielb, to u nich jesiotr. Rosyjskie kurze jajko, to jak u nas indyze. Andrzej pamiętał obrazek z biblij, jak to czterech mężczyzn niesie na tyłce winogrona z ziemi obiecanej, tak widocznie działo się i w Rosji. Wielkość tej ziemi odbijała się na ojcu. Toteż Andrzej chlubił się tatusiową Rosją przed chłopakami w szkole.

Raz po strażackim festynie odjeżdżali goście z sąsiednich wsi na drabiniastym wozie. Nie mogli się jakoś doczekać na resztę i ponownie wstąpili do kaczmy. Kilka lhotcekich dzieciaków wiało na wóz. Kiedy chodziło o swawole, nie brakowało nigdy Andrzeja. I wtedy, że Franek Suk śmignął batem konie stanęły dęba, a potem się rozpedziły. Dzieciaki w wozie krzyknęły z radości, lecz zaraz umilkły z przestachu. „Franta” się przewrócił, w tyle krzyczały kobiety, a konie z pół próżnym wozem, którym rzucało na wszystkie strony, pogalopowały ku lhotcekiemu zakrętowi. Andrzej ogłądał się za pomocą ku znikającej wsi. Widział kilku mężczyzn pędzących co tchu za wozem. Ojciec biegł na czele i dawał rękami znaki dzieciom, co mają robić. W zamieszaniu tym jednak nic nie rozumieli. Zaraz po tym pojawiła się nabrzmiała twarz ojca i Andrzej usłyszał chrapiący oddech. Urban złapał konie za cugle, szarpnął wędzidłem. Konie dziło odskoczyły w bok, a wóz uderzył oca całym ciężarem w biodra. Ten zaklął, ale nie puścił koni, biegł za nimi, wisząc po prostu rękami na cuglach. Rzemienie przecinały mu ręce, lecz udało mu się zatrzymać konie przed zakrętem. Ach, ojciec! — w Andrzeju aż dech zamierał.

Ten obrońca, ten żołnierz, co walczył sześć lat na wojnie i mijały go kule, ten mężczy-

zna, który prawie że cały świat przepłynął, przybywając z daleka, kiedy chłopak opuszczał najwęższe dziecko, ten jego ojciec tu teraz leżał w wyniosłej nieprzyjemności zmarłych, a ludzki żal nie miał do niego dostępu. Podobno serce, podobno żyły żołnierza wojny światowej szybko się starzeją. — Gdyby się był raczej nie wrócił — narzekala matka. — Przyzwyczailiśmy się już bez niego. Przybył do domu umrzeć.

Wierność ku zmarłemu utwierdziła Andrzeja w buncie przeciw przekupstwu kobiet. — Matki i ciotek, które ilekroć mówiły o ojcu nie nazywały go jak dawniej Wacławem, lecz „nieboszczykiem”, co brzmiało w uszach chłopca jak obelga, przeciw przekupstwu kobiet, które określały rzecz właściwą nazwą, zdradzając ojca skwapliwym pojednaniem z zuchwałością wypadku. — Zaledwie spadła ostatnia gruda na trumnę, a one już gadają o załatwieniu reagenta, o wynajęciu, o księgach hipotecznych, co z pierzynami, co z tą szafą, nawet i o garnkach była mowa.

— Co Haryk? — przstraszył się dzieciak. — Przyjeżdżesz się na niedziele popatrzeć — uspakajała ciotka, tając zadowolenie że niedługo sama będzie rządzić domem.

— Będziesz miał w Pradze dziadka — pocieszała go Różena. Dobrze było Różenie, udawała dorosłą. Chłubiła się tym, że jej umarł ojciec, że ma żalobę, że pojedą do miasta. Różena była od niepamięci fałszywa, już kiedy się bawili w chowanego, zdradzała kryjówkę.

Czym był dla niego dziadek? Dziadek, którego nie znał. Lecz Haryk, pies, wyszczekujący z napięciem, gdy Andrzej kładł mu kostkę cukru na nos, ten Haryk był jego.

Szara rozpacz i troski przechodziły przez dom. Matka była podniecona i krzyczała na dzieci. Wszędzie jej przeskadały. Andrzej zdzielał. Nigdy takiego lania nie dostał, jak wówczas po śmierci ojca, kiedy to matka była wstrząśnięta i sama nie wiedziała, czego chce. Przynajmniej w miesiące przed jej zapomnieniem — pocieszała krewni. — Płacem się nie naprawi a „nieboszczykowi” nie pomoże.

Była to więc wyprawa wojenna. Przynajmniej Andrzejowi tak się wydawało. Andrzej wycinał szczyrkiem litery, gonit po ścierniskach, jak gdyby uciekał przed największym poznaniem życia, przed śmiercią.

Najgorsze było to mianowicie (a Andrzej by się za nie na świecie do tego nawet Antkowi Szczastnemu nie przyznał), że zmarły ojciec zamieniał się w nieprzyjaciela. Śnił mu się w nocy, chodził, gadał i wyglądał jak zwykle, lecz Andrzej i inni wiedzieli, że ojciec umarł. że tań swą śmierć przed nimi. Ojciec jakby tego nie dostrzegając, wysmiewał się z małego chłopca, który boi się żyć, zapomina i zdradza. Były to straszliwe chwile obojęt — obojęt — istoty z drugiego brzegu.

Wszędzie teraz nastały inne porządki, tak jakby nieobecność ojca wleciała się w „truh-

*) Fragment z czeskiej powieści Marii Pujmanowej pt. „Ludzie na rozdruzu” (Lidé na rozhraní) odznaczona państwową nagrodą w r. 1937).

„Truhla oznacza skrzynię, stół z szufladą, oraz wszelkie rodzaje kuferków a w ludowej mowie trumna. Trumna nazywa się w mowie literackiej „rakew”, w polocznej — „truhla”.

le”, w „truhle”, w której wynosi się zmarłego z domu, w „truhle”, z którą rekrut odjeżdża na wojnę i dziewczyna na służbę, w czarnej głębokiej „truhle”, która tkwi obok dużego tłumoku pierzyny, pośród kuchni, otwarta na oścież — aby mógł wejść do niej zły pies.

Przez sien słyhać było jak matka z ciotką odnajmowały pokój pannie z poczty, wma- wiając w nią, że im nie idzie o swoją ko- rzyść, lecz o wygodę lokatorki. Chłopaka to wcale nie interesowało. I tak się będą prze- nosić wkrótce do Pragi.

Widownia codziennego, samo przez się zro- zumiałego żywota, znane mu rzeczy stały, przed nim. Nie potrzebował ich widzieć oczami, teraz kiedy je musiał opuścić, one wstę- powały na inne gwiazdy i promieniały w niewidzianej krasie. Cała okolica była zazna- czona jego przygodami. Chodził drogami, bez- drożami i czytał w niej. Nikt więcej nie przeczyta tego po nim.

Matka i Róża składały rzeczy do kufrów, więc Andrzej przyniósł także swój majątek: łuk, strzały i procy. Kiedy jednak chłopak wyszedł matka wyrzuciła te bzdury na śmiet- nik, na potrzebniejsze rzeczy miejsca nie było. Swoją znakomitą szczyrk z magnety- cznym żelazem, z którym się nigdy nie roz- łącał, zaciskał Andrzej w kieszeni. Zawojo- wany przez dwie kobiety: matkę i siostrę, w twarzystwie kilku chłopaków ruszył na stację.

Przez samo pakowanie i pożegnanie spóź- niał się na południowy pociąg i odjechali do- piero wieczorem.

Po kolacji w pociągu otrzepała Urbanowa okruszynki ze spódnicy i ułokowała pozosta- ły chleb i jaja na półce, pomiędzy cennymi paczkami. Zanim ponownie usiadła, podcią- gnęła spódnice, żeby się nie wyniośli. We- stchnęła i złożyła ręce na krzyż. Po pośpie- chu i po zmartwieńcu, które pociągnęło za so- bą postanowienie przeniesienia się do Pragi, po uciążliwym pakowaniu, jazda pociągiem była odpoczynkiem nie do opisania.

Za odjeżdżającym pociągiem w machiwały chustkami i pokrzykiwały koleżanki Róży. Lecz Róża dziś już nie należy do nich, na zawsze odchodzi. Młodzi naczelnicy stacji w czerwonych jak mak czapkach żegnali od- jazd pociągów. Róża w twardych kolorach widziała to, co prawie się przesunęło i po- zostało w tyle, przepadło w jej pamięci jak coś niebacznie porzuconego.

Raz zatrzymał się pociąg poza stacją wśród łąk. Wiatr uciął. Lokomotywa zamilkła, nie słyszało się zwykłego tumultu dworców. Ci- cha przestrzeń rozciągała się wokół podró- żnych, i słyhać było tętnienie źródła poprzez zielony wieczór. Stali a las wydychał siłę, pachniały grzyby powstawaniem i zgnilizną, nieśmiało się w początków jesieni, której oko jeszcze nie spostrzegło. I znów maszyna ru- szyla i znów pociąg uwoził małego chłopaka od ojca i Haryka.

Korytarzem przeszedł milcząco konduktor ze starodawną latarką u pasa, przekreślił ze- wnętrzą kontakt, i krajobraz za szkłem usta- pił i nastąpiła złota noc zmęczenia w trumnie przedziału.

Po północy Andrzej się przebudził. Ciała podróży napół siedziały, napół leżały, jak podparte pajace, grożąc przewróceniem się przy silniejszym zderzeniu. Wyciągnięte me- skie nogi tarasowały wyjście, głowy się ki- wały miarowo. Biedacy utracili władzę nad własnymi duszami i na półczki wystąpiło im to czym życie ich skrzywdziło. Nie mogli się bronić, spali, a śmierć jak szpieg przy złodziejskiej latorce pracowała w obrębie ich twarzy, zakreślała sobie drogę. Oprócz An- drzeja nie spał chyba tylko maszynista i pa- lacz. Maszyna pozostawała za sobą wciąż masę przebytej ciemności. Pociąg wciął okolice i odliczał domy od przekroczonej pół- nocy.

Andrzej wstrzymał oddech, nie ruszył się i nadsłuchiwał. Czy to nie w tym panu char- czała harmonijka, tu warczał znów tygrys w chrapającej babci, cygan oddychał zlekka, a Róża w śnie cicho burczała jak pszczoła nad kwiatem. Wszyscy śpiący przedli czas na tkackim warsztacie poruszającego się po- ciągu. Ale matka nie oddychała. Miała pod- czas snu głowę podobną do jamy ustnej nie- żyjącego ojca.

— Mam!

Głowa przy workowej zastanie nie poru- szala się. Ręka o znanych krótkich paznok- ciach była lodowata. Pociągnął więc matkę za spódnice.

— Mamusi...

Westchnęła, przetrzała niechętnie oczy i przymknęła je ponownie. Nie zmieniła poło- żenia opartej o ścianę głowy i zapytała nie- chętnie.

— Co chcesz znowu?

— Mam pragnienie — Andrzej kłamał i nie kłamał, lecz o to mniejsza.

— Bądź cicho, jest noc, teraz śpij. Patrz, Róża także śpi. Ten pan będzie się gniewał. Wsunęła się ponownie do kąta i wskazując na ramie powiedziała: — Połóż sobie główkę i śpij.

Ale dziecko ujęło kobietę obiema rękami za głowę i odwróciło jej twarz ku sobie, jak część ziemi na globusie.

— Nie śpijcie mateczko.

Podniosła się, wykrzywiła z bólu i popa- trzyła złymi oczami.

— Ani w nocy nie dacie spokoju. — Serca te bachory nie mają.

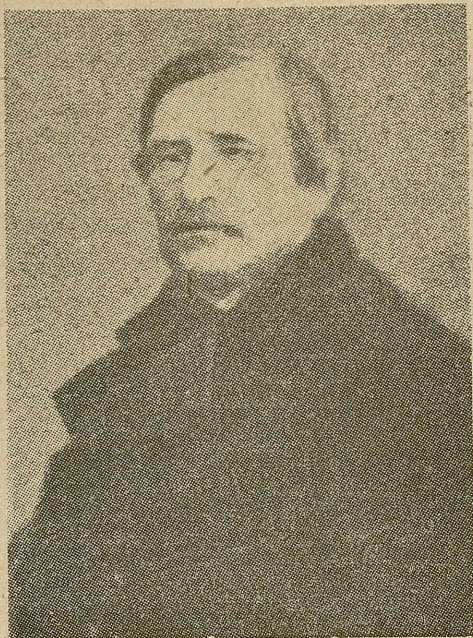
— Ale ja nie chcę żebyście spali.

Z wroga stanowczością i bez słów wypro- wadziła chłopaka na korytarzyk, gdzie niko- go nie było i tam go porządnie przetrzepała. Andrzej nie płakał, zaciął się, dałby się u- dręczyć, lecz zawstydzony na korytarzu, przycisnął nos do szkła, a szkło miało smak zimnego piólu.

Przetłumaczyła z języka czeskiego

M. Ostrawicka-Skotnicowa,

Zbigniew Wiszniewski



Oskar Kolberg

I.

Sprawa pieśni ludowej była u nas zawsze tym zagadnieniem kulturalnym, któremu poświęcano stosunkowo niewiele oficjalnej uwa- gi. Muzykologowie zajmowali się przeważnie naszą muzyką artystyczną zwłaszcza dawniejszą, kompozytorzy i wykonawcy traktowali nasz folklor w najlepszym wypadku jako ma- niere stylistyczną. Zainteresowanie naszą pie- śnią ludową ograniczało się niemal wyłącz- nie do prac kolekcjonersko-archiwalnych, do dyletanckiego zbierania melodii, wreszcie do opracowywania — a przy tym jakże często i do zniekształcania — pieśni ludowych na różne zespoły śpiewacze, lub instrumental- ne. Dzieła traktujące o pochodzeniu polskiej pieśni ludowej, wpływach czynników obcych, odziaływaniu na kulturę inne, słowem, dzie- ła syntetyzujące polską pieśń ludową, a do-

Wojciech Pawlicki

DOKOŁA BEZRUCZA

W ostatnich czasach dał się zaobserwować w Czechach wzrost popularności Piotra Bez- rucza (pseudonim Włodzimierza Waszka), któ- rego podnosi się dzisiaj do rangi narodowe- go wieszcza. Ten wysoce nacjonalistyczny poeta, pozostający pod silnymi wpływami se- cesji, jest lansowany nadzwyczaj gwałtow- nie, a co gorsza przy pomocy wątpliwych ar- gumentów. Odnawia się przy tym nawet wypowiedzi znanego ongiś krytyka czeskiej „moderny” Arne Nowaka, który pisał w ten sposób: „Pojął (Bezrucz) problem narodowo- ściowy głęboko i tragicznie, głęboko ponieważ „czeskość” utożsamiał z wartością społeczną; to też jego uciśniony i sponiewierany cze- cho-ślazak, żyjący pod morawskimi Beskidami, jest przeciw obcy kapitał w kopalniach węgla, albo też chałupnikiem uciskany przez wiel- ko-kapitalistyczną gospodarkę. Tragiczne dlatego, że ogląda swój naród wzrokiem peł- nym zaniepokojonej miłości widząc go w sta- nie ciemnoty, wówczas, gdy grozi mu wróg zniezczenia i spolszczenia”.

Niedawno do głosów tego typu przyłączy- ła się jeszcze jedna enuncjacja. Oto ukazała się książeczka Rektorisowej, usiłująca zamie- nić raz jeszcze Bezrucza w poetę buntu spo- łecznego, w poetę protestu przeciw ustrojo- wi socjalnemu, panującemu przed pierwszą wojną światową na terenie całej Czechosło- wacji. Cytuję tutaj fragment z tej pracy po- święconej takim właśnie wywodom: „Bezrucz i jego lud cierpił od ucisku narodowości- wego i społecznego. Jedno zło warunkuje drugie. Nie wystarczyłoby wygonić cudzo- ziemców, gdyby pozostała ta sama władza kapitału, nieludzka i nikczemna, bez wzglę- du na to w czyich by się znajdowała ręk- kach. Ucisk narodowościowy jest uciskiem ludu, jest to zorganizowany system wyko- rzystywania i odzierania uciśnionych przez magnatów ziemskich i finansjery, tak przez burżuazję jak i biurokrację, będącą na jej u- sługach. Nigdzie na naszych ziemiach nie dotknęło ludu tyle krzywd ile właśnie na Śląsku. Nigdzie ucisk nie był tak wołający o pomstę do nieba. Nie jest więc faktem przy- padkowym, że na tej ziemi pojawił się pierw- szy wielki, czeski, społeczny poeta. Wszy- stkie postacie Bezrucza mają uświadomienie warunkowane trybem ich życia, pracy i myślenia. Spotykamy twarze ciemne, czarne, okopcone i wybladłe, o zniekształconych ry- sach i wygastych oczach, z opuszczonymi rękami i ciężkim krokiem. Są to ludzie cisi, małomówni, skryci, pełni tęsknoty, smutni. W uświadomieniu ich przejawia się nieśmia- łość. Zostali tak już zdeptani przez swój los, że przybrali wobec wszystkiego, co ich ota- cza postawę pełną negacji, niewiary a nawet i sprzeciwu. „Tylko jedna struna mają moje skrzypki...” Tak jedna, ale i jedna tylko by- ła siła, która je poruszała: wzrastająca prze- moca światowego kapitału”.

W tekście Rektorisowej znać odrazu ten sam ton, który przebiegał w pracach polskich krytyków, sprowadzających tak niedawno jeszcze Kasprowicza do roli poety walki spo- łecznej. Pozycja, jaką bowiem zajmuje Bez- rucz w literaturze czeskiej, przypomina nie-

tyczącego całego etnicznie polskiego obszaru nie posiadamy. Istnieją jedynie fragmentary- czne prace, nie obejmujące niestety całokształ- tu zagadnienia, lecz dotyczące tylko muzyki ludu pewnych dzielnic polskich np. Śląska, Podhala i t.d.

W chwili obecnej kiedy polską muzyką nie- tylko artystyczną, ale i ludową zaczyna się poważnie interesować zagranica, daje się od- czuć szczególnie brak takiego dzieła. Nie po- siadamy również popularniejszych podręczni- ków traktujących przystępnie, a bez zbytejnej afektacji o formach naszego folkloru. Dużo daje tu do myślenia szybkie wyczerpanie się nakładów śpiewników ludowych wydawanych przez L.I.M.

Daje się więc odczuć potrzeba opracowania pod każdym względem naszej muzyki ludo- wej przez fachowców. Jako jeden z pierw- szych i najbardziej palących postulatów po- stawilibym możliwie najdokładniejsze oczysz- czenie naszych melodii od naleciałości obcych. Wypaczających niejednokrotnie charaktery- styczne cechy polskiej melodyki. Oczywiście trudno jest to zagadnienie skonkretyzować ściśle, gdyż nie można ująć w formę mate- matycznej definicji ani właściwości stylu pol- skiego, ani też udowodnić słowami, dlaczego takie wpływy środowisk obcych nie rażą nas, inne zaś odwrotnie. Tym nie mniej powin- niśmy sobie stworzyć jakąś podstawę do przy- szłych, na szeroką skalę zakrojonych prac muzykologicznych. Wzorem mogą być Czesi, których folklor np. o wiele od naszego uboższy, jest tak troskliwie wypielegnowany przez mu- zyków i uczonych czeskich, że robi niekiedy wrażenie cieplarnianego tworu kultury pseu- do-ludowej.

II.

Wiadomym powszechnie jest, że kultura nie jest wyłącznym wytworem jakiegoś środowi- ska; wchodzi tu w grę czynniki obce i one nie- jednokrotnie mają znaczenie, a czasem decydu- jący wpływ na całokształt zjawisk kulturo- wych. Dotyczy to szczególnie muzyki ludowej. Muzyka jako sztuka bodaj-że najbardziej ab- strakcyjna, rozwijająca się jedynie w czasie, jako jedynym twórczym operująca dźwię- kiem, jest wybitnie podatna na wszelkie

wpływy i odkształcenia. Każda silniejsza in- dywidualność melodyczna może pozostawić niezatarte ślady na mniej charakterystycznej lub pierwotniejszej melodii. I nie tylko to: każdy obcy wpływ do tego stopnia niweluje cechy pierwotne, że niemożliwe jest później odtworzenie melodii pierwotnej, zwłaszcza, że nie została ona zanotowana. O ile więc pieśń włoska asymilowała i do dziś dnia asymiluje wszelkie melodie obce, oraz wywiera znaczny wpływ na pieśni ludów innych, to z muzyką ludu polskiego rzecz się ma nieco inaczej: asymilowane pieśni obce mają znaczny wpływ na kształtowanie się pieśni rodzimych śro- dowi- ska, które je sobie przyswoiło.

Do dziś dnia na przykład uważa się, w nie- których dzielnicach polskich, że tzw. sztajer- ki są tańcami ludowymi, podczas gdy — jak już sama nazwa wskazuje — są to walce sty- ryjskie — Steier Walzer. Prócz tego istnieje wiele pieśni „spornych”, do których roszczą sobie pretensje różne kultury narodowe. Sły- szalem kiedyś przez radio pewną znaną pio- serkę śląską — nie ulega wątpliwości, że o sil- nych znamionach stylu polskiego — nadawa- ła ze stacji niemieckiej i śpiewana przez chór niemiecki, jako „Volkslied”. Być może, że i jakiś Niemiec siedząc przy radiododbiorniku przypadkowo usłyszy np. znaną melodię „Na wójtownej roli” — i niemiecki zdziwi się, gdyż jest to piosenka uważana w niektórych oko- licach Niemiec za ludową niemiecką. Zresztą pominiemy Niemców, chociaż wzajemne wpły- wy folklorów polskiego i niemieckiego są pra- wie niebadane, a jednak szalenie silne. Zwróćmy się z kolei do naszych sąsiadów wschodnich. Prof. Brzeziński w swojej bio- grafii Smetany, stwierdza, że polska pieśń ludowa jest w dużej mierze zniekształ- cona przez wpływ ukraińskich „dumek”, że zaś z kolei mają swój melodyczny i nastrojo- wy początek w pieśniach ludów orientalnych, nie słowiańskich. Jak wielki jest ten wpływ na muzykę ludową nie da się szczegółowo określić, pewne jest natomiast, że zagranica doszukując się egzotyizmu w muzyce polskiej, uważa często genre przeróżnych tanich ma- zurków, kujawiaków, dumek i t.d. za cechy charakterystyczne muzyki polskiej.

Co do nas, to możemy się zgodzić na jedno: bardzo wiele pieśni ludowych to melodie ukraińskie, czy białoruskie ze słowami polski- mi. Nie są one jednak obce słuchowo i styli- stycznie ludowi polskiemu jak nie są obce i sztajerki; wywarły taki wpływ na twórczość artystyczną, są tak popularne, że można je u- ważać za pewien rodzaj pieśni ludowych. Oczywiście wszystkie te melodie obce zostały przez nasz lud do pewnego stopnia zmienio- ne. Pieśń ludowa zresztą zmienia się szybciej niż ceramika czy budownictwo ludowe. Te pieśni, które dzisiaj uważamy za dawne lu- dowe, są w większości wypadków stosunko- wo młode, gdyż zostały nam przekazane dro- gą tradycji ustnej, co zawsze powoduje więk- sze lub mniejsze zmiany w redakcji melodii.

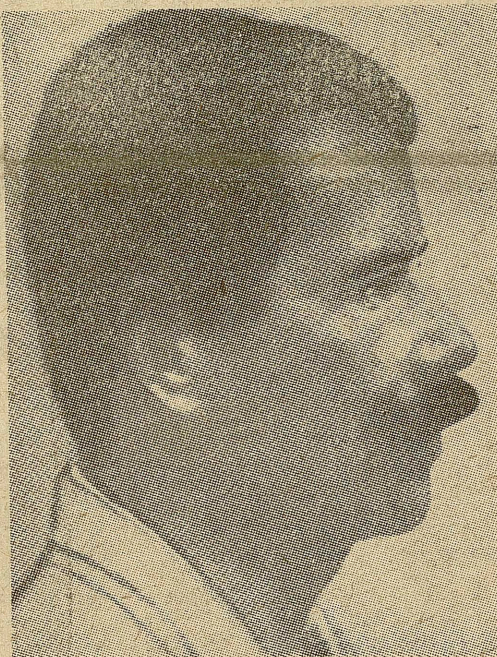
Nie należy zapominać, że Kolberg wydał „Lud” dopiero sto lat temu i że notował on melodie bądź co bądź niedokładnie, gdyż włączał je w obręb naszej skali chromatycz- nej, a wiemy, przecież, że pieśni ludowe nie- jednokrotnie operują subtelniejszymi odleg- łościami niż półtony. Byli i inni muzycy po- siadający kult często przesadny dla pieśni ludo- wej; próbowali oni wydawać tańce i pieśni ludowe — niestety w swej gorliwości zbyt często chcieli je „poprawiać” przez co nie- jednokrotnie wypaczali charakter pieśni.

Zasłużony polski kompozytor Z. Noskowski omawiając w swoim „Kontrapunkcie” — zre- szta zupełnie nawiasowo — kilka melodii pol- skich, dochodzi do wniosku, że są one ma- ło wartościowe estetycznie i konstrukcyjnie, gdyż nie posiadają wszystkich stopni tonacji, albo nie mają wyraźnego zaakcentowanego punktu szczytowego linii melodycznej.

Dopiero L. Różycki umieścił w wydaniu międzywojennym nieśmiałą uwagę: może ta monotonia stanowi o charakterze i pięknie naszych pieśni ludowych. W każdym razie trzeba stwierdzić, że wówczas kiedy zauważy- ło obecność klasy chłopskiej, z jednej strony nie doceniono odrazu wartości jej kultury, z drugiej zaś — z nielicznymi wyjątkami — usiłowano rzekome „niedociągnięcia (cho- dzi o muzykę) melodyczne” wszelkie „dziwactwa harmoniczne, formalne etc-etc” poprawić. Do- piero liberalizm tonalny doby najnowszej sprawił, że nie uważamy, by kapela ludowa grała fałszywie, że następstwo funkcji harmo- nicznych jest „dziwaczne”, „skażone” czy „ze- psute”. Ale trzeba sobie uprzytomnić, że pod patronatem owych poprawiaczy wydano wie- le „skorygowanych” melodii ludowych: cała masa późniejszych muzyków i zawięzo- nych kompozytorów, często teoretycznie i mu- zycznie niedokształconych rzuciła na rynek olbrzymią ilość popularnych śpiewników nie tylko poprawiając uprzednio melodie, auten- tyczne, ale — co gorsza — umieszczając pod firmą „ludową” każdą pieśń przez lud śpie- waną, choćby to była jakaś dawno zapomi- niana, a mocno zniekształcona aria operowa.

Innym zagadnieniem jest sprawa instru- mentów ludowych. Jak już niejednokrotnie w kołach muzycznych stwierdzono, dawna kapela ludowa skazana jest na wymarcie; na miejsce jej wchodzi wrzaskliwa, ale wszech- stronniejsza harmonia, lub akordeon. Piękną inicjatywę okazuje Radio sowieckie nada- jąc melodie ludów Związku na instrumentach narodowych. Nasze tzw. kapela ludowe upra- wiają naogół muzykę pseudo-ludową na in- strumentach, które najprawdopodobniej nig- dy do kapeli wiejskiej nie wejść. Przysła- by się i tu trochę dobrej woli, aby wykorzy- stać choćby pieśni ludu Podhala opracowane przez Mierczyńskiego na zespół naprawdę lu- dowy.

(c. d. n.)



Piotr Bezrucz

co położenie twórcy „Hymnów” w poezji pol- skiej. Niewątpliwie duży wpływ na istnienie takich podobieństw mają zbliżone do siebie przebiegi rozwoju „moderny” w obu krajach. Tak w Czechach jak i w Polsce w drugiej połowie okresu secesji następuje gwałtowny zwrot do ludu i narodu: wzmoczenie chłop- omanstwa i mitologii szowinistycznych. Nagła działalność Dyka, Sovy i Bezrucza wyelowa- na wprost w artystowską poezję Gellnera i Karaska ze Lwowie, znalazła przecież nie- stychany poklask (u nas patrz ataki Brzo- zowskiego, Struga oraz innych wyznawców czynu i wątpliwych utopii społecznych na krakowskie „Życie”). Zwrot ku narodowi o- władnął wówczas prawie całą lirykę. Arne Nowak, obaj Czapkowie, Opolski przyłączyli się do tzw. grupy dykowców. Jest to jeden z pierwszych symptomów ogólnego odrodze- nia nacjonalizmu jakie zaczynało się wówczas na całym zachodzie dokonywać. Trudno bo- wiem traktować ten ruch w oderwaniu od działalności Maurrasa we Francji, Kiplinga w Anglii, od ruchów „narodowościowych” we Włoszech. Tak więc twórczość Piotra Bezru- cza tkwi u podstaw dwu zupełnie sprzecz- nych później nurtów ideologicznych. A pa- miętajmy, że w sytuacji, w jakiej znajdowały się Czechy, przez cały wiek XIX liryka spo- łeczna łączyła się ściśle z liryką nacionali- styczną. Na przełomie wieku XX nie chiano także tych spraw rozdzielać. Ma rację Re- ktorisowa mówiąc, że poezja Bezrucza jest objawem protestu przeciw kapitalizmowi. Tak, ale przeciw obcemu kapitalizmowi. Kapitalizm czeski zostaje tu od razu unie- winniony. To też przyglądając się dzisiaj gwałtownej kampanii dążącej do gloryfikacji i wywyższania autora „Pieśni Śląskiej”, trze- ba powtórzyć: „Ostrożnie z Bezruczem, ostrożnie”.

Anna Kamińska

IDEOLOGIA „LUDU”

(Z powodu ukazania się XXXVI tomu „Ludu” — organu Polsk. Tow. Ludozn. za lata 1939 — 45)

1. POLSKIE TOWARZYSTWO LUDOZNAWcze

Polskie Towarzystwo Ludoznawcze powstało w 1895 roku we Lwowie. Jan Czekanowski występujący jako historyk tego Towarzystwa w I szym powojennym tomie „Ludu”, stwierdza, że na przełomie XIX i XX wieku było ono największym i niemal najżywoźniejszym Towarzystwem naukowym obok Polskiego Towarzystwa Przyrodników. Powstało z inicjatywy inspektora szkół powszechnych w Lwowie, Seweryna Udzieli, następnie innego przedstawiciela szkolnictwa powszechnego Mikołaja Rybowskiego. Pierwotny statut nie uzyskał aprobaty c. k. Namiestnictwa. „Obawiało się ono — pisze Czekanowski — iż Towarzystwo, w skład którego wchodził w charakterze inicjatorów z jednej strony Wasilewski (znany krytyk i publicysta) a z drugiej Franko, będzie przede wszystkim ośrodkiem podówczas, tak popularnego ruchu chłopstwa, któremu warszawska „Wisła” rzeczywicie zawdzięczała swoją egzystencję”. Rzeczywistym organizatorem Towarzystwa staje się dopiero uczony sławista Antoni Kalina, który konstituuje komisję organizacyjną Towarzystwa na Zjeździe Polskich Literatów i Dziennikarzy w r. 1894 z okazji Wystawy Krajowej.

Po ustąpieniu i śmierci Kaliny Towarzystwo pod rządami Kallenbacha, Adama Antoniego Kryńskiego, Wilhelma Bruchnalskiego, Jana Czekanowskiego zaczyna zamierać. Oddziały prowincjonalne zanikają, zebrania i odczyty odbywają się coraz rzadziej i nielicznie. O przyczynach kryzysu ludoznawstwa pol. wojny światowej pisze prof. Czekanowski: „Niechęć zainteresowanie etnografią, tak żywe u nas w końcowej fazie wojny, gdy wierzono, że uregulowanie spraw narodowościowych będzie stanowiło zasadniczą wytyczną przy nowym urządzaniu Europy, po zawarciu pokoju zaczęło u nas bardzo szybko zanikać. Można nawet zarzykować twierdzenie, że słowo „etnografia” kojarzące się z pretensjami naszych dokuczliwych mniejszości na kręśach wschodnich zaczęło wywoływać przykre sensacje w szerszych kołach naszego społeczeństwa”.

Jedynym przejawem żywotności Towarzystwa stało się pismo „Lud” redagowane przez Adama Fischera aż do jego śmierci (1943 r.). Ostatnia wojna zubożyła Towarzystwo o większość część członków: z 78 przeżyło ją tylko 29.

W 1945 r. w Lublinie dzięki Janowi Czekanowskiemu i Leonowi Halbanowi reaktywowano Towarzystwo, którego część archiwum udało się tu zgromadzić. Zadaniem Towarzystwa na najbliższy okres jest obok wydawania „Ludu” i gromadzenia biblioteki, stworzenie „fundamentów atlasu etnograficznego ziem polskich”. W skład Zarządu Towarzystwa wchodzi: prezes Kazimierz Moszyński, wiceprezesi — Jan Czekanowski i Leon Halban, sekretarz — Józef Gajek, zastępca sekretarza — Roman Roimfuss, członkowie Zarządu — J. St. Bystron, K. Dobrowolski, J. N. Kłosowski, J. Żoła Manugiewicz, J. Mydlarski, J. Obrębski, B. Stelmachowska, J. Świeży, L. Węgrzynowicz, K. Zawistowicz, J. Zborowski. W 2 g Statutu Towarzystwo określa swój cel: „Celem Towarzystwa, obejmującego swoim działaniem cały obszar Rzeczypospolitej Polskiej, jest naukowe badanie ludu polskiego i sąsiednich, oraz rozpowszechnianie zebranych o nim wiadomości”.

2. ZASADNICZE ZAŁOŻENIA

Spróbujmy omówić zasadnicze pozycje zebrane w ostatnim XXXVI tomie „Ludu”. Redakcja zamieszczając rozprawę uczonych autorów bez komentarzy przyjmuje odpowiedzialność zarówno za główne ich założenia, jak i za dysproporcje i różnice tych założeń między poszczególnymi autorami.

a) Ideologia romantyczna

Nieżyjący Adam Fischer, długoletni naczelny redaktor „Ludu” i sekretarz Towarzystwa Ludoznawczego, pisze rozprawę o Zoranie Dołęga Chodakowskim. Sięga w niej autor do genealogii polskiego ruchu ludoznawczego, a więc i swego Towarzystwa. Obudzenie zainteresowania chłopem w XVIII wieku przez społeczników i reformatorów politycznych przenosi się na teren literatury i nauki. Herder ukazał Słowianom piękno ich poezji ludowej, Adam Czarnocki, czyli Zorian Dołęga Chodakowski w rozprawie „O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem” („Owoczenia naukowe” Warszawa, 1818) stworzył mit o wszechsłowiańskim raju w okresie przedhistorycznym. Jego wieczne, bytowe elementy zachowały się w kulturze naszego ludu. Przedchował się Chodakowski sam badania i podróże etnograficzne i zalecał wszystkim zbieranie przejawów tradycji ludowej: „Trzeba pójść i złożyć się pod strzechę wieśniaka w różnych odległych stronach (podkr. autora), trzeba śpieszyć na jego uczty, zabawy i różne przygody. Tam w dymie wznoszącym się ponad głowami, snują się jeszcze stare obrzędy, nucią się dawne śpiewy i wśród piasów prostoty odzywają się imiona bogów zapomnianych”.

Adam Fischer podkreśla znaczenie ideowo-moralne tej działalności. Chodakowski odnosi się niechętnie do duchowieństwa, ponieważ tępił pogaństwo zniszczyło ono cenne zażytki dawnej wiary słowiańskiej. Krytyko-

wał szlachtę za zatrącenie cech narodowych, wdział w ludzie rezerwuwar narodowych sił. „Między ludem enota mieszka, między ludem poezja mieszka... Złe ma serce ten kto ludu nie kocha całą braterską miłością”.

Autor rozprawy nie zdobył się na rewizjonizm w stosunku do poglądów i działalności opisywanego badacza sprzed wieku. Tok rozprawy nie jest jednak suchy, informacyjny. Przeciwnie, rozprawę „O Słowiańszczyźnie” uważa Fischer za podwalinę archeologii słowiańskiej, postawę ideową Chodakowskiego referuje z największym uznaniem. „Między ludem enota mieszka, między ludem poezja mieszka” — powtarza za romantycznym ludomanem. Naukowa etnograficzna wartość powyższych twierdzeń jest żadna — dotyczy one właśnie podkreślanej przez Fischera — ideowo-moralnej strony działalności Chodakowskiego. A więc też wymagają „ideowo-moralnej” czyli socjologicznej interpretacji. Odnoszą się przecież do wiadomej sytuacji klasy chłopskiej — na samym dnie pańszczyzny — rok 1818! Dlaczego mamy traktować opinię badacza-etnografa o ludzie jako poezję, a więc rzecz nieodpowiedzialną? Nie, Zorian Dołęga-Chodakowski jest ideologiem romantycznego ludomanstwa i tę ideologię, aby poznać i ocenić go, należało wyjaśnić. Fischer nie czyniąc tego, tym samym pisze się nie tylko na naukowe wyniki Chodakowskiego, ale pisze się na jego ideologię.

b) Ahistoryczne — etnografia, etnologia, socjologia

Fragment przostawionej w tece pośmiertnej pracy Stanisława Poniatowskiego „Mala-wrata” mówi o „metodzie badań genezy wytworów kulturowych w etnografii”. Poniatowski przedstawia dwa kierunki ścierające się w etnografii: kierunek historyczny i funkcjonalistyczny. Zdaniem autora ani metoda historyczna (zajmująca się rozwojem kultur) ani funkcjonalistyczna (wyjaśniająca tylko wewnętrzny dynamizm ciągów kulturalnych) nie są zdolne do uchwycenia genezy zjawisk obserwowanych w kulturze. Przedmiot etnologii określa autor w zakończeniu fragmentu: „Społeczeństwami, którymi interesuje się etnologia, są plemiona i ludy. Narody, czyli ludy cywilizowane tylko częściowo wchodzą w zakres zainteresowań etnologii, mianowicie od swej strony ludowej, a nie narodowej”. Jednym z celów etnologii, jak z tego wynika byłoby wyławianie w kulturze ludowej tego, co jest niejako ahistoryczne, odwieczne (niecywilizowane). Jednak sito, które by pozwoliło odróżnić to przypuszczalnie jedno ziarno przedhistoryczne — musiałoby być samo historyczne. Poniatowskie krytyka historyzmu nie wydaje się przekonująca.

O metodzie funkcjonalnej w etnologii pisze także O. Edward Bulanda T. J. recenzując książkę głównego teoretyka tego kierunku Wilhelma Muhlmanna, Methodik der Völkerkunde Stuttgart 1938.

Ślusne jest krytyczne stanowisko O. Bulandy w stosunku do Muhlmanna, który nie widzi różnic metodologicznych między naukami przyrodniczymi i „duchowymi” (historycznymi) — „zwłaszcza wobec współczesnej(?) tendencji do wprowadzenia myślenia przyrodniczego do dziedziny nauk duchowych”. „Etnologia, zdaniem Muhlmanna, jest nauką przyrodniczą, gdy określa prawa rządzące zjawiskami etnologicznymi, jest zaś historyczna, c ile w granicach tych praw zdarzenia pojedyncze można tylko z pewnym prawdopodobieństwem przewidzieć”.

W końcowych frazesach O. Bulanda przyznaje Muhlmannowi zasługę sformułowania pierwszej metodologii kierunku funkcjonalnego w etnologii i zebrania obfitego materiału naukowego, z którego można by złożyć ładną syntezę, ale pod warunkiem, o którym Muhlmann w swej pracy zapomnieli: „wer nicht liebt, dem zeigt sich nichts”. Zaprawdę, łatwiej się kochać, niż wykazać błędność i aktualną szkodliwość systemu metodologicznego, który w tej lub innej formie reaktywuje naturalizm w stosunku do zagadnień kulturowych — pokazać go w świetle istotnych tendencji współczesnej nauki — właśnie tendencji do historyzmu. Ale może to dla O. Bulandy nie byłaby już „obiektywna” nauka lecz dziennikarska „publicystyka”.

Leon Halban w rozprawie „O potrzebie badań etno-socjologicznych nad religijnością” opiera się na twierdzeniu wypowiedzianym przez amerykańskiego socjologa Rossa: „wiera, której się ufa, jest siłą realną, która decyduje o czynach ludzkich niezależnie od tego, czy jest lub nie jest prawdziwa (podkr. autora). Religia była stale jedną z sił, które warunkowały procesy społeczne”. Ponadto autor podaje w wątpliwość ogólne mniemanie, jakoby uczucia i potrzeby religijne człowieka nowoczesnego zmniejszyły się w stosunku do przeszłości (np. średniowiecza). Następnie zastanawia się Halban nad możliwością definicji pojęcia — religia, przytacza też parę prób i zdaje się solidaryzować z opinią Webba: „Osobiście nie wierzę, żeby można zdefiniować religię”. Szukając filozoficznej „istoty” religii nie przyjdzie Halbanowi na myśl szukać jej historycznie zmiennych znaczeń i socjologicznych funkcji. Przeciwnicy ideologiczni dają czasem marksistom gorzką przyjemność stwierdzenia, że... „już Marks powiedział...”

c) „Zamierzchnie warstwie psychologiczne”

Tymczasem nowoczesne (po Chodakowskim) ludomanstwo znajduje teoretyka w Bożenie Stelmachowskiej w artykule „Na drodze do teorii sztuki ludowej (Szkic informacyjny)”.

Autorka dyskutując ze stanowiskiem kwestionującym w ogóle istnienie sztuki ludowej posługuje się zadziwiającą logiką rozumowania. Pisze: „Z chwilą, gdy stwierdzamy, że pewien przedmiot jest wytworem artysty ludowego, już tym samym zaistniał fakt historyczny w zakresie dziejów sztuki niezależnie od kwalifikacji samego obiektu. Są artyści, więc jest sztuka”.

Przegląd stanowisk polskich historyków sztuki interesujących się sztuką ludową wykazuje, że wszyscy oni wyróżniają specyficzność sztuki ludowej w psychologicznych właściwościach jej twórców. Prymitywna, odmienna od miejskiej psychika chłopu ukształtowana w kontaktach z naturą decyduje o fenomenie sztuki ludowej. Sztuka ludowa jest odbiciem naiwnego świata chłopskiej wyobraźni. Wędrowka wątków literackich i motywów dekoracyjnych jest zjawiskiem wtórnym. Zasadniczo podobne lub te same motywy rodzą się w różnych miejscach samorodnie jako odbicia wiecznego, niecywilizowanego umysłu ludzkiego. Związek człowieka z przyrodą jest decydującym czynnikiem konstytutywnym „kultury ludowej”.

„W przekonaniu człowieka z ludu — pisze Stelmachowska — magiczne koło roku obraca się nieustannie a między śmiercią i narodzinami rozgrywa się poszczególnie stadia życia: dni pracy, radości, szczęścia i żałoby. To uzależnienie się od magicznego obrotu dorocznego obrzędowości wytworzyło u ludzi przez ciąg tysiącleci poczucie wspólnoty z przyrodą i jej przejawami, silnie odcinające się od płynności i ruchliwości życia miejskiego”.

„Sztuka jako odbicie wiecznego, nieuprawnionego intelektu ludzkiego nie ma okresów stylowych w znaczeniu stylów historycznych”. Posiada ona cechy sobie tylko właściwe i funkcję bytową, ahistoryczną.

„Sztuka ludowa dąży do ukolenia w wartkim prądzie życia. Niepewność własnej egzystencji, obawa przed siłami przyrody, strach przed śmiercią. Nieświadomym, przed późniejszym bytem — podkreślają surowość i geometryczną linię”.

Sztuka ludowa odsłania „zamierzchnie warstwie psychologiczne”. One to stanowią w konsekwencji przedmiot zainteresowań etnografa, skoro dalej czytamy (pozytywna relacja o metodzie Spamera):

„Etnograf ma postawę fenomenologiczną. Dla niego fenomen izolowany ma walor estetyczny tylko o tyle, o ile może wyciągnąć z niego wniosek, który oświecił w sposób właściwy cały ów spłot nerwowy mentalności grupy społecznej którą studiuję”.

„Spłot nerwowy mentalności grupy społecznej” oto jest zdaniem etnografów, których językiem jest w tym wypadku Bożena Stelmachowska, podłoże kultury. Podłoże kultury jest więc psychologiczne.

„Granica oddzielająca dziedzinę przejawów kultury ludowej od elitarnej jest tylko granicą psychiczną”.

„Również i Haberlandt jest zdania, że nie trzeba ruszać świata z posad w zakresie nauk historycznych, aby ocenić w sposób właściwy sztukę ludową narodów europejskich”. Antyhistoryczne te poglądy są zdaniem autorki — nowoczesne. „Daleko bardziej odeszły poglądy współczesne od stanowiska np. Forrera, który widział w sztuce ludowej formę podrzędną sztuki elitarnej. Sztuka wiejska wydała mu się spóźnioną sztuką urbanistyczną, wyszłą z mody, która obniżyła się o kilka stopni od swego oryginału”.

„Jakże inaczej — wykrzykuje egzaltowana autorka — ujmują te kwestie uczeni polscy!” Oczywiście głębiej i od podstaw duszy ludzkiej wplecionej w magiczne koło obrotów roku przyrodniczego.

d) Naturalistyczna teoria kultury.

XXXVI tom „Ludu” zawiera ponadto rozprawę Tadeusza Seweryna: „W nauce u zwierząt”. Autor tak usprawiedliwia zajęcie tematem: „Materiał ten nie ma nic wspólnego z historyzującym realizmem rejestrującym fakty w chronologicznym porządku. Niemniej przedstawia obiektywne wartości nie obojętne etnologii, jeśli charakter ich pozwała na interpretację niektórych odwiecznych treści kultury” (podkr. moje). Po raz drugi zostaje nam zdradzony właściwy przedmiot zainteresowań etnograficznych: odwieczne treści kultury to po prostu znów emanacja psychiki ludzkiej jako takiej, niezmiennej, istniejącej poza czasem.

Seweryn obserwuje paralelność form życia społecznego zwierząt i ludzi, przyjmuje więc bio-psychiczne podłoże kultury.

U podstaw rozprawy Seweryna leży naturalistyczna teoria kultury, spencerowski biologizm, którego krytykę przeprowadził na gruncie polskim — Znamiecki. Przedłużanie tego kierunku naukowego jest dziś jawnym anachronizmem.

e) Ruch regionalny.

Poza szczegółowymi szkicami referującymi wyniki badań terenowych interesuje nas jeszcze artykuł Marii Frankowskiej: „Regionalne muzea ludoznawcze w Polsce”. Autor-

ka w trosce o to, aby muzea etnograficzne stały się żywymi instytucjami kulturalnymi, wyznacza im ważną rolę wychowawczą. Powinny one skupić wszystkie „żywsze jednostki” rejonu. „W zasięgu działania muzeum powinien się znaleźć przede wszystkim chłop (podkr. moje), dalej nauczyciel ludowy, ksiądz, lekarz wiejski, a także urzędnik, którego terenem jest wieś, a więc instruktorzy rolni, spółdzielcy wiejscy itp. ludzie, którzy w swej codziennej pracy stykają się z ludem i mają sposobność dzięki temu bliżej poznać jego życie”.

Autorka pragnie więc poruszyć wszystkie siły działające na wsi dla celu, który dawno temu Wacław Nałkowski poblażliwie aprobował u panienek ze dworu. I to — zobaczmy — siły bardzo różnych systemów. Marię Frankowską nie obchodzi fakt, że ksiądz i instruktor rolni to ludzie różnych systemów, to działacze zupełnie różnych struktur społecznych. Widzi ona z jednej strony niezmierzającą masę społeczną, którą nazywa ludem, a z drugiej strony tych, którzy się z tym ludem jako zjawiskiem egzotycznym stykają. I znowu to nie tylko nieścisłości, anachronizmy werbalne, to nie tylko czysta tendencja naukowa, to świadomie czy nieświadomie przyjęta ideologia. „Ze względu na rolę, jaką we współpracy z regionalnymi muzeami etnograficznymi mogłoby odgrywać duchowieństwo wiejskie, dążyć by należało do wprowadzenia wykładów z etnografii także i do seminariów duchownych” (podkr. moje). Sens tego programu jest dla nas jasny. Z etnografów Tadeusz Seweryn bodaj największą rolę w kształtowaniu „kultury ludowej” przypisuje czynnikowi religijnemu. Ale są to znowu raczej „uczucia religijne”, jakaś zachowana pogańskość, niż historyczny czynnik Kościoła. Parafia jest podstawowym wyznacznikiem kultury wsi. Niezgoda w tym punkcie etnografii z wiedzą historyczną — może to pierwsza kosztować wiele zbędnych trudów. Proces zatrącania się tzw. kultury ludowej, to jednocześnie proces emancypowania się wsi spod wpływów parafii. To też „wielkie zasługi” położyli księża dla zachowania „czystości” kultury ludowej na wsi. Oni to zawsze najpóźniej godzili się na zaszłą już w obyczajowości wsi zmianę w kierunku urbanizacji, grozili ogniem piekielnym za odrzucenie stroju ludowego na rzecz miejskiej tandety itd. Nie dziw, że księża przede wszystkim mobilizuje się do udziału w ruchu regionalistycznym.

Muzea regionalne nie powinny ograniczyć się do inwentaryzowania zabytków dawnej kultury ludowej. Frankowska pragnie, aby w ich programie leżało: przywrócić wsi dawne stroje, pielęgnować zanikające obrzędy i w ogóle „przejawy rodzimej kultury”. Bo „pięknym i najważniejszym zadaniem powołanych do życia muzeów etnograficznych, będzie ratowanie za wszelką cenę od zagłady i gromadzenie istniejących jeszcze i możliwych do zdobycia zabytków kultury ludowej... Umiejętnie wydobywając na jaw wartość tej kultury, budząc zrozumienie i umiowanie jej przejawów, zespalając mieszkańców rejonu spójnią więzów rodzinnych z własną ziemią i całym krajem i pomnażając życie kulturalne swego ośrodka, spełniają muzea najpiękniejsze swe zadanie. Rozszerzając i bogąc życie wewnętrzne ludzi znajdujących się w zasięgu ich promieniowania, osiągną one cel, do którego winny uparcie dążyć”.

3. IDEOLOGIA.

Ta może zbyt szczegółowa recenzja treści ostatniego tomu „Ludu” okazuje się jednak pouczająca.

Pokazuje nam ona przede wszystkim, że etnografowie skupieni w Tow. Ludoznawczym bynajmniej nie ograniczają się do uprawiania „bezzainteresowej” nauki. Jest to dla nas zupełnie oczywiste i zrozumiałe, uważamy bowiem etnografię za naukę humanistyczną i historyczną. Nie jest to jednak oczywiste dla nich. Nie zdając sobie sprawy ze znaczenia i konsekwencji społecznych swych postaw, wyrażają jednak ideologię, która przez działaczy i praktyków społecznych może być co najwyżej zlekceważona, lub uznana za szkodliwą. Pojmujemy tu ideologię w najszerszym sensie, a więc chodzi także o pewne tendencje metodologiczne niewątpliwie przestarzałe i cudem niejako zachowane w tej jedynej nauce, w której interesie badawczym leży jak największy tradycyjizm — w etnografii.

Nie wtrącajcie się do nauki — powiedzą. Zgoda. Ale skoro nauka zaczyna przekraczać swoje granice, skoro, jak w wypadku M. Frankowskiej usurpuje sobie sfery społeczno-kulturalnego działania i wyraża program ideologiczny (jak prawie wszystkie omówione pozycje artykułowe) wówczas naraża się na ocenę kryteriami ideologicznymi, ważnymi nie odwiecznie, a w czasie, aktualnymi i natrętnie politycznymi.

1. Teza o istnieniu odwiecznych pierwiastków kultury ludowej wyrosłej na gruncie psychiki człowieka nie cywilizowanego jest historycznym fałszem. W okresie romantyzmu odwoływała się ona do mitu słowiańskiego, pozostawała zwłaszcza w okresie Młodej Polski pod opieką filozofii idealistycznej i posługiwała się systemem werbalnym wszystkich razem irracjonalnych kierunków okraszonych stylem poezji symbolicznej. Kultura ludowa niewątpliwie rozwijała się historycznie w środowisku, którego sytuację społeczną i wewnętrzne uwarunkowanie można jest opisać je-

dynie socjologia i w kręgu instytucji oddziaływujących kulturalnie: dwór, parafia, miasteczko, targ itd. Cofając się w czasie możemy napotykać tylko coraz inne sytuacje społeczne warunkujące kulturę, nigdy zaś nie dojdziemy do czegoś, co określa się jako psychikę człowieka — twórcy kultury.

2. Zagadnienie: Kultura ludowa żywa czy martwa? — nie jest właściwie zagadnieniem. „Kultura ludowa” w procesie, który nazwiemy nieściśle urbanizacją wsi, nie przedłuża się w tradycji kulturalnej środowiska (z wyjątkiem nielicznych form rzeczywiście związanych z terenem, jak budownictwo). Muzeum i teatr, są jedyną lokatą form ludowej kultury. Ale szpada nie staje się przez to dla nas groźniejsza, że ginie od niej na scenie Hamlet.

O ile literaci, malarze, muzycy mogą się spodziewać wytrysku nowych natchnień ze „źródeł” sztuki ludowej? O tyle, o ile dość silnie tkwić będą w ogólnie-europejskim nurcie sztuki, a nie o ile głęboko zanurzają ręce w źródle ludowym.

3. „Lud” jest kategorią, która znaczy zupełnie co innego w ustach dziewiętnastowiecznych ludomanów, a co innego w prymitywnym używaniu dziś np. w zestawieniu: Państwo Ludowe. „Lud”, jest kategorią środowiska kulturalnego dziś nie istniejącego. Określenie: kontakt z „ludem” znaczy dziś po prostu, że się spadło prosto z tego nieba, w którym różniano dwa światy społeczne: szlachtę i lud. Czy np. są ludem chłopci — samopomocowcy, działacze polityczni, młodzież szkolna na wsi, czytelnicy jeżeli nie Gałaja to Sienkiewicza, starzy prenumerujący pisma literackie i polityczne? Są ludem? Ale Cholewę znaleźć jednego, któremu się podobano chodzić w kierzach i zamiast na zebraniu gminnym krytykować politykę cen i nadużycia spółdzielców — zbierać wiadomości o strojach ludowych. Bo, jak zresztą pokazał prof. Czekanowski, nie chłopka to rzecz. Szlachectwo ludomani i jego polityczne (czy patriotyczne) interesy powołały do życia Towarzystwo Ludoznawcze w końcu XIX wieku. Szlachectwo ludomani, działanie „Macierzy” i szlachetnych pań pobudzało wiejskich nauczycieli do solidarności z kierunkiem i pracami grup inteligencji — szlacheckich.

4. „Ratować za wszelką cenę” formy kultury ludowej, to u tradycjonalistycznych etnografów znaczy izolować wieś, to znaczy raz jeszcze w historii odciąć jej drogę postępu. Czy chcecie szkoły na wsi? Trudno powiedzieć — nie, choć prof. Bystron stwierdza, że kultura ludowa to wytwór okresu przedpiśmienne, to w każdej dziedzinie **analfabetyzm** wsi. Niech więc choć nauczyciel do spółki z księdzem ochrania i zbiera to, co zostało z kultury ludowej. Szuszenie. Ale przewidujemy i to, że nauczyciel z księdzem mogą się pokłócić, bo okazać się może, że urząd, którego funkcjonariuszem będzie się czuł nauczyciel, nie podoba się księdzu. A jeśli będą działać zgodnie, to znów zdarzyć się może, że w hierarchii ważnych zadań społecznych, nauczyciel wybierze nie muzealnictwo etnograficzne, a zorganizowanie koła „Wici”, spółdzielni i na więcej czasu mu w Polsce Ludowej nie wystarczy. Nie znaczy to oczywiście, aby nauczyciel nie miał się zajmować zbieraniem zabytków kultury ludowej. Pożyteczna to praca pomagać historykom kultury i nauczyciel z racji swej pozycji na wsi może ją łatwiej spełnić, niż ktokolwiek inny. Chodzi tylko o zdanie sobie sprawy z funkcji tej pracy — czy będzie ona samooszukiwaniem się, ucieczką od historii, „powrotem do natury”, czy też gromadzeniem historycznego, społecznie ważnego materiału, tak samo z zakresu „kultury ludowej”, jak np. tradycji społeczno — politycznej regionu.

5. Przyrodę, mistyczny związek z ziemią — przeciwstawia się cywilizacji, w której jarzmy nie żyje człowiek współczesny i mieszczuch. Chodzi przecież tylko o różnice systemów cywilizacyjnych. Można by powiedzieć nawet, że doskonalsza technika w ramach oczywiście socjalistycznego, a nie kapitalistycznego ustroju, może zapewnić człowiekowi więcej wolności niż żarna i drewniany lemiesz.

„Tak, proszę państwa — mówił pięknie uczony etnograf w dobranym gronie — wiedza nowoczesna potrafi w retoryce wytworzyć rubiny pozornie podobne do tych, jakie się wytworzały w łonie ziemi. Ale to nie to. Duszy nie ma!”

Etnografowie, widząc podstawę kultury ludowej w związku ludu z ziemią, stawiają kulturze normy nie humanistyczne, a fizjologiczne. Rzeczywistość miasta jest może społeczna, kulturalna, czy polityczna, rzeczywistość wsi jest tylko **biologiczna**. Obyczajowość wsi układa się w „girlandowe pętle” czasu przyrodniczego. Sama fałszywa poetyckość sformułowań niektórych etnografów przekonuje o fałszywości ich tez naukowych.

6. Kryzys sztuki w ogóle. Notują go teoretycy „zachodniej” orientacji i malkontenci. To co zdrowe, jedne, świeże tkwi jeszcze w jednej sztuce ludowej. U nas wszystko mętne, mdłe, anemiczne. I dalej na wieś — zbierać przejawy zdrowej, niezaputej jeszcze sztuki ludowej! Nawoływanie to jest bardzo słabym, spóźnionym echem prądu regionalistycznego. Cały nasz „ruch ludoznawczy”, jeśli nie jest traktowany jako dyscyplina historyczna, jest ostatnim drgnięciem szerokiej fali europejskiego regionalizmu dziewiętnastowiecznego. Jego sens polityczny i społeczny był jasny. Wyzwolenie uciśnionych narodowości z jednej strony, z drugiej: przeciwdziałanie w sferze kulturalno — moralnej kapitalistycznemu centralizmowi gospodarczemu. Dziś regionalizm trudno już nazwać poprawką do kapitalizmu. Dziś regionalizm oznaczałby już tylko: zatrzymanie stanu rzeczy — **za wszelką cenę**. Powtórzę z wiersza drukowanego kiedyś we „Wsi”:

„Bronilibyśmy każdej bryłki ludzkiego pomysłu,

Gdyby nie kierunek historii —

— sprawiedliwy”.
Anna Kamińska

Lech Budrecki

Pozycja Ramuza we współczesnej literaturze francuskiej wydaje mi się jedną z najbardziej interesujących. Sprzeczne sądy, jakie na temat autora „Życia Samuela Beleta” wypowiada się po dziś dzień, utrudniają mogą poważnie ocenę jego pozycji. Jeszcze w latach 20-ych gwałtownie atakowany i potępiany, potem znów szanowany i coraz bardziej czczony ten pisarz szwajcarski stanowi niewdzięczny przedmiot badań. Krytyk błędzi zazwyczaj pomiędzy sugestiami, to drwiącymi i pełnymi tonu ekskomunikacji, to znów rozbrzmiewającymi zachwytem i pochwałami.

W takiej sytuacji naprawdę trudno przyłożyć do książki jakieś miary krytyczne. Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, gdy piszący ma świeżo w pamięci entuzjastyczną przedmowę tłumacza.

Chcąc jednak wybrnąć z tak kłopotliwego położenia, zacznę od umiejscowienia Ramuza na mapie literackiej Francji kilkudziesięciu ostatnich lat. Jego książki sąsiadują z całą działalnością Jana Giono, zbliżając się nieco do „Nocnego Lotu” St. Exupéry’ego. Jak widać raz jeszcze mamy do czynienia z osławioną krucjatą naturystów. Już Baudelaire nie ufał industrialnej cywilizacji XIX wieku, nazywając przy tym wiarę w postęp najstraszliwszym z nonsensów. Tak więc powtórzono odpowiedź daną przez Jana Jakuba na konkurs Akademii w Dijon. Bunt przeciw tradycyjnemu formom życia mieszczańskiego, przeciw ideologiom, które je usprawiedliwiał, szybko stał się rozgrzeszeniem praktyki imperializmu. Nietzsche, Rimbaud a nawet Gide zwalczający strukturę obyczajową mieszczaństwa, usiłujący sformułować nowe hasła etyki i moralności zamienili się w proroków tych form społecznych, które broniły monopolistycznego kapitalizmu. Ich kontynuatorzy całkiem wyraźnie zeszli na pozycje interesów własnej klasy. W tym przerażająco pobieżnym zarysie (wina każdej recenzji), który przedstawiłem tu przed chwilą, mieści się cała historia naturyzmu. W każdej chwili można ją odczytać. Pytacie, co to naturyzm? Otóż naturyzm — to filozofia powrotu do ziemi, zerwania z industrialną cywilizacją, to wiara w chłopca, człowieka wiecznego. W liczbie dzieł ilustrujących taką właśnie ideologię nietrudno będzie nam znaleźć i „Pastwisko na Derborence”. Walać się skała zasypuje człowieka, ten jednak wydobyt się cudem spod kamieni i wraca do domu. Wyrusza jednak ponownie w góry, by odnaleźć swego towarzysza, który może żyć tam jeszcze, wyrusza na bardzo prawdopodobną śmierć. Powstrzymuje go jednak żona, mówiąca mu, że będzie miał dziecko. Obowiązek ojcostwa każe Antóniemu Pont zatrzymać się i wrócić do siebie, na wieś.

Jedynym więc konfliktem całej książki jest walka z przyrodą, walka najważniejsza rzekomo dla ludzkiego życia. Ten, kto potrafi pokonać siły zostaje prawdziwym triumfator. „Pięciu ludzi miał przed sobą, górę zbrojną w mury, ogromne wieżycy, złośliwą, wszechmocną — ale ta jedna słaba kobieta powstała przeciw niej i pokonała ją, gdyż kochała odważną się. Będąc pełną życia poszła tam gdzie ono jeszcze się kołatało i wprowadzała je z samego środka krainy śmierci”. Nie starcie poszczególnych grup społecznych i nie kryzysy ekonomiczne grają podstawową rolę w ludzkim życiu. Główny i rozstrzygający problem leży zupełnie gdzie indziej. Oto wstęp Ramuza do „Pastwiska na Derborence”. On powinien objaśnić nas ostatecznie w tej kwestii... „Derborence” raz wyzuta ze wszystkiego, co może mieć charakter anegdotyczny, wyraża w swej istocie walkę człowieka z przyrodą, walkę, którą, myślę jest od krańca do krańca ziemi jednakowa, jakkolwiek byłyby jej formy; i tak tutaj człowiek broni się przeciw skałom, gdzie indziej przeciw wodzie, tam przeciw ziemi, jeszcze gdzie indziej przeciw posusze, lecz wszędzie gdziekolwiek przebywa, musi się wykazać tą samą wytrzymałością, tym samym uporem, jeśli tylko chce pozostać przy życiu... W ten

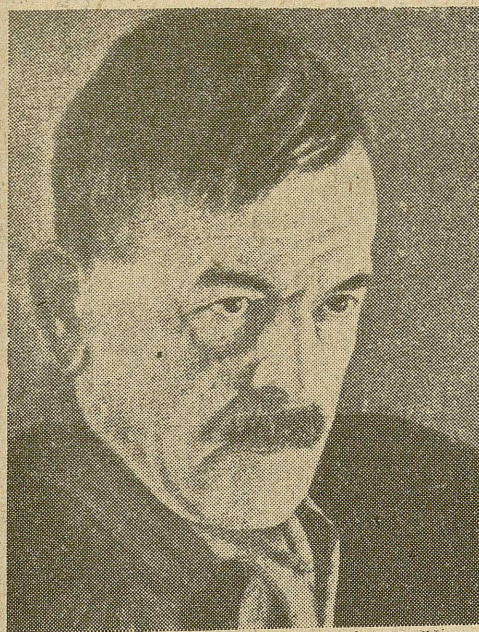
Alina Nofer

Dworek miał zatrzymać historię*)

Nie jest rzeczą przypadku, że akcja „Szalonej”, jednej z ostatnich powieści Kraszewskiego pisanych już na emigracji, obejmuje lata 1859—62, jak to ustalił Zawodźński (po słowie do „Szalonej”).

Był to okres szczególnie niepokojący umysł szlacheckie zmianami w strukturze gospodarczej kraju jakie dokonywały się pod presją historii. Niepokojący ideologiami powstającymi na tym tle. Zmiany w strukturze gospodarczej kraju, to przede wszystkim uwłaszczenie chłopów. Ideologie — to coraz odważniej krystalizowana myśl obalenia istniejących w ramach feudalnego ustroju stosunków społecznych. Była to rzeczywistość zagrażająca szlacheckiemu stanowi posiadania, której używały się przeciwstawiać programy życiowe zaniepokojonej klasy. W obrobie własnej pozycji każdą inowację wyniesio-

*) J. I. Kraszewski — Szalona — wznowienie — wyd. Wł. Baka Łódź—Wrocław r. 1947.



C. F. Ramuz

sposób, upewniał się, być może człowiek również zdoła rozpoznać siebie i odnaleźć w człowieku gór, chociaż ich widnokrąg jest różny, wszędzie bowiem trzeba walczyć, wszędzie budować, zaczynać i znów rozpoczynać, nawet nie po to, aby czynić postępy, lecz tylko aby trwać, gdyż dom bez konserwacji wali się, pole nieuprawiane przestaje być urodzajne, ubranie nie reperowane szybko rozpada się w strzępy”. Tak więc pokazane nam zostało zadanie książki, mającej reprezentować widokowo konfliktu dwu „wielkich” przeciwstawnych sobie sił: człowieka i przyrody.

Z dała od cywilizacji technicznej jest dopiero prawdziwe piękno, nawoływali wszyscy zwolennicy pierwotności, wszyscy wyznawcy powrotu do prymitywizmu. Głosili przy tym, że człowiek traci swoją osobowość wśród rosnącej industrializacji, stając się bezwolnym narzędziem, częścią maszyny. A w górach, w odległych miejscach, o które nie otarły się wynalazki techniczne, mają znajdować się rezerwy urody świata. Nic w tym więc dziwnego, że opisując dalekie wioski alpejskie, Ramuz sięga po niesłychaną poetyckość pejzażów. Posługuje się tu daleką metaforą, ozdabiając i deformując przedmioty w imię najczystszych i najpowszechniejszych wśród ówczesnych czytelników upodobań estetycznych. Ich bowiem miała przekonać poetyckość Anzeindazu i Derborence’u. Proszę, oto wystarczający przykład: „Niekiedy tylko pojawia się w tych pustkowiach stado owiec, zwabione o drobnią trawę, która rośnie, wszędzie tam, gdzie skała ustępuje jej miejsca i stado waleś się długo jak cień obłoku. Jak cień obłoku raz ciemniejszy od niego, jeśli zwierzęta mają barwę brudną, a kiedy są białe, cień jest tej samej barwy co skała, kiedy indziej cień jest pstry, jeśli zwierzęta jak to bywa, są różnej maści. Gdy przechodzą blisko, szumią jak rześista ulewa”.

Styl był chyba tym elementem dzieła Ramuza, który powodował najczystsze i najgwałtowniejsze inwektywy. Stały się one w końcu tak nagminne, że autor „Życia Samuela Beleta”, odpowiadał na nie sam w liście do Bernarda Grasset umieszczonym na początku tomu „Salutation paysanne”.

Przytaczam stamtąd kilka bardzo charakterystycznych, w moim mniemaniu, zdań, ułatwiających niepomniernie pracę krytyczną. Autor dał w pewnym sensie klucz do swoich poczyni i co ciekawsze klucz trafny. „Oto jest to właśnie co usiłowałem robić (lepiej lub gorzej, mówię tu tylko o swoich zamiarach). Pisałem językiem, który nie był jeszcze literacki. Zapewniłem, że uczyniłem to dla miłości prawdy, dla głębokiego upodo-

bania autentyczności (w przeciwieństwie do tego co mi się zarzuca) dodam jeszcze, dla wierności”. Już od pierwszych chwil lektury „Pastwiska na Derborence” uderza dziwny charakter tej książki. Później dopiero zaczynamy się orientować, że stanowi ona po prostu tom notat kronikarza, informującego o działaniach wydarzeniach, które w celach informacyjnych chyba podał „Słownik Geograficzny”. „Pewien pasterz, który zaginął i uważany był za zmarłego, przepędził wiele miesięcy, pogrzebany w szalasie, żywiąc się chlebem i serem...” Opowiada nam to szczegółowo mieszkaniec tych okolic. Zwróćmy tylko baczna uwagę na typ narracji. „Ludzie z Anzeindazu mówili: „Zaczęło się wszystko od salwy artyleryjskiej; jednocześnie dało ognia sześć dział baterii. Następnie mówili, przyszło uderzenie wiatru. Po tym dał się słyszeć ogień karabinowy połączony z wybuchami, trzaskami, wyładowaniami, które dobiegały ze wszystkich stron, a jak się zdaje, naddziały z wysoka; całe góry wzruszyły się od tego. Wiatr otworzył drzwi na oścież, jakby za jednym kopnięciem. Iskry z ogniska wzbily się i opadły na nas, jakby śnieg padał w szalasie. A my, co? Na tej przełęczy nie jest się tu dużo niżej od miejsca, gdzie zwałisko się oberwało, chociaż trochę na uboczu i w tyle; i tak pierwszy hałas wywołany był hukiem występu skalnego, który spadał w dół, po czym nastąpiła istna zawierucha wojenna, idąca od jednego łańcucha do drugiego, od grzbietu do grzbietu, od szczytu do szczytu. Były to jakby grzmoty wokoło każdego z szczytów, które podawały sobie góry w półkolu. Argentin podawała Dents de Morches a Rocher du Vent podawały St Martin.

Zerwali się byli na równe nogi. Było ich trzech. Nie mogli znaleźć swoich krzeseł. Zwierzęta, które powracały na noc, lecz nie były trzymane na uwięzi, czyściły ogromny rozgardiasz w oborach, co groziło ich zawaleniem”. Relację zbudowano w oparciu o język wieśniaków szwajcarskich, zbudowano ją z urywanych zdań, usuwając długie okresy i kadencję niekończących się frazy. Świadok opowiadający o zwaleniu się Diablerets ma prawa autorskie i to te sprzed lat. Zna myśli bohaterów swojej opowieści, podaje ich monolog wewnętrzny. Jedną z bardziej niepokojących cech omawianej przeze mnie książki jest stałe zaznaczanie daty dziejących się wydarzeń. „Teresa chwyciła morderczą wąż gałązkę — a było to tego samego wieczoru, dwudziestego drugiego czerwca, prawdopodobnie około godziny ósmej i pół. Kiedy Serafin z Antonim siedzieli na Derborence przed ogniskiem”. To każe nam myśleć o chwytach simultaneistów. Tak jednak nie jest. Wymienianie dat stanowiło tu tylko wypełnianie podstawowego obowiązku kronikarza, który polega przecież na dokładnym umiejscowieniu wydarzeń w czasie. Za hipotezą tą przemawia jeszcze nadzwyczaj wielka liczba postaci występujących w „Pastwisku na Derborence”. Dziwiono się takiej właśnie kompozycji, wprowadzającej szereg osób i zdarzeń, bez których z powodzeniem można było przeprowadzić samą intrygę. Niektórzy uważali podobną konstrukcję za wadliwą, mnie wydaje się zaś, iż podkreśla ona jedynie element kronikarskich zapisów, element moim zdaniem dla tej powieści najważniejszy. Demonstrowanie kolejno reakcji poszczególnych ludzi na wieść o zwaleniu się Diablerets prowadzi przecież nieuchronnie do takiej budowy utworu, która zbliżałaby się jak najbardziej do gawędy, do opowieści, kogoś, kto to wszystko bezpośrednio oglądał.

Wień tym razem jest widziana od wewnątrz. Pisarz przyjął język jej mieszkańców, przyjął ich sposób wypowiadzi. A wszystko po to, by raz jeszcze, podkreślić wyłączność zbawienia leżącego w pierwotności. Trzeba wrócić do prymitywu, gdyż tam dopiero uda się odnaleźć prawdziwych ludzi. Takie były wskazania mieszczańskich mitów anty — cywilizacyjnych.

Lech Budrecki

która jest jedyną przedstawicielką cywilizacji i postępu. Byłoby to cofnięciem całego kraju o 100 lat wstecz na drodze jego rozwoju. Kraszewski podawał się za rzecznika postępu, ale niewychodzącego spod kontroli szlachty, która by mogła odpowiednio regulować jego napiecie i kierunek. Postęp dokonujący się poza zasięgiem jej wpływów był „jazzą w kółko błądzącego w nocy podróżnego” (Synowie wieku), był zjawiskiem conajmniej godnym pożałowania, o ile nie groził zbyt daleko posuniętymi konsekwencjami. Dlatego „Ostap Bodnarczuk” mimo zdobytego za granicą dyplomu lekarza wraca do wsi i pozycji, z której wyszedł. Dlatego wszelkie bolące właściwości generalnie ulega idealny patriarchat szlachecki w „Ludowej Pieczarze”. Bawem szlachta, zdaniem Kraszewskiego, jest także „głównym czynnikami materialnego i moralnego odrodzenia narodu” (Chmielowski).

Na przykładzie „Szalonej” autor jeszcze raz

usiłuje dowieść, do czego prowadzi hasła postępu godzące w szlachecki, poparty tradycją system życia.

Uniwersytet Kijowski w latach 1858-59 wchłoniął w siebie najbardziej radykalną młodzież, która po rozruchach w Charkowie, zakończonych usunięciem jej z tamtejszej uczelni, przeniosła do stolicy Rusi główną bazę swojej działalności. Pod nazwą Towarzystwa Literackiego kryła się polityczna organizacja, zmierzająca do obalenia dotychczasowego ustroju społecznego. Terenem jej ekspansji stała się warstwa chłopstwa, której kształcenie w niedzielnych szkołach szło w parze z akcją uświadamiania politycznego. Niemalą rolę odgrywały w tym ruchu studentki, którym od niedawna liberalizm pierwszego okresu rządów Aleksandra II pozwolił korzystać z nauki na równi z kolegami.

Tę właśnie kijowską, radykalną młodzież przedstawia Kraszewski w swojej powieści. W niej ona jednak nie przypomina zrzeszonych i świadomie działających członków organizacji, która ma wyraźnie sprecyzowany program. O ich życiu, działalności, terenie wpływów, nie wiemy nic. Jest to nieokreślona bliżej grupa studentów zbierająca się codziennie na herbatki i dyskusje po to, by w bałwochwalczym skupieniu wystuchiwać słów mistrza Jewłaszewskiego, który głosił mało uchwytną teorię oświecania autorytetu jakim się cieszył, nie dopuszczając do krytycznej ich oceny. Mistrz nosił „strój, który przypominał dostojnego włościanina małorosijskiego”, „mówił zawsze jak z katedry, a twarz jego długa, rysów dość regularnych choć niemitych przybierała naówczas wyraz jakiegoś natchnionego apostołstwa. Wyglądał aforyzmy...” Taka jest opinia odautorska o przewodniku młodzieży, cieszącym się wśród niej ogromną popularnością. Ze słów samego mistrza wiemy, że chciał sięgać do ludu po „ziarna prawdy”, że chłop „jest to do dziś dnia klasa pariasów, wywołanów, na których pasażerem siedzi i karmi się reszta ludzi. Temu koniec położyć trzeba”. Wiemy, że był wyznawcą „znakomitego Fouriera”, a więc bliski ideologii pietraskiewiczów, Czernyszewskiego i innych prekursorów walczonego socjalizmu. Wpływ jego na młodzież określa autor jako „dwuznaczny wielce, bo nie wiedzieć dokąd mający prowadzić i dwukrotnie dyskwalifikuje go jako ideologa. Raz, gdy pod pretekstem duchowego braterstwa zbliża się do „szalonej” Zoni w celach przyznających jej jego powadze i bezinteresownej postawie i powtórnie, gdy szantażem zmusza porzuconą kiedyś, a w międzyczasie zubożoną żonę do zapewnienia mu materialnej podstawy do beztrudnego życia. Z chwilą otrzymania odpowiedniego funduszu „chłopska filzjognomia mistrza ustąpiła jakiejś nowej, przypominającej urzędnika”, a siedzące wizyty, gra w wista i przyjaźń „pana radcy” udaremniły dalsze apostołstwo wśród młodzieży.

Wyraźnie zniekształcona rzeczywistość historyczna, ma spełnić określony cel. Przez ośmieszenie przewodnika młodzieży propaga-

moRALNOŚCI, w imię własnego systemu kapryśnej fantazji. Osierocona szlachcianka, wychowana przez zamożnych opiekunów, po ich śmierci podejmuje w Kijowie samodzielny tryb życia entuzjastki nauki i poglądów Jewłaszewskiego. Pociągają ją zwłaszcza teoria wolnej miłości, z której wyciąga natychmiast praktyczne wnioski, do czego zresztą otwarcie się przyznaje. Nie protestuje przeciw temu najbliższe otoczenie; oskarża—dopiero przedstawicielka zachowawczej szlachty, (matka trzeciego z rzędu ukochanego Zoni), a więc głos opinii warstwy, z której „szalona” wyszła. Z dużym prawdopodobieństwem można przypuścić, że opinie tę podziela i sam autor.

Kraszewski w komentarzu odautorskim powstrzymuje się od uwag oceniających postępowanie Zoni. To może prowadzić do błędnego wniosku, że solidaryzuje się z postawą bohaterki, lub, będąc pod urokiem stworzonej przez siebie postaci „mimowoli afirmuje rewolucyjność przedstawianego środowiska, jako ferment szlachetny” (Zawodziński — po słowie do „Szalonej”). Dla poparcia innego wniosku można przytoczyć wypowiedź Kraszewskiego na temat emancypacji kobiet: „Oto swoboda. Swoboda ta zniża cię do biednego mężczyzny, daje ci metnę jego rozkosze, zgubną jego wolność, a odbiera ci twoje ciche życie córki, żony, matki; ona cię odrywa od rodziny, której byłaś gwiazdą opiekunką, aniołem stróżem domowego ogniska” (Synowie wieku r. 1842). „Życie nasze całe niemal zamyka się w ognisku domowym”. „Od kobiety-matki zależy dziś niemal cała nasza przyszłość” (Program polski — myśli o zadaniach narodowych r. 1872).

W świetle tych wypowiedzi ocena postępowania kobiety żyjącej na zasadach wolnej miłości nie potrzebowała sięgać po słowa potępiające. Moralność Zoni dyskwalifikował dostatecznie fakt posiadania kokonów. A końcowy jej udział w „oszalanej” Komunie Paryskiej, samotność kołona absyntem, „który bardzo lubi”, jest chyba dostatecznym upadkiem w rozumieniu Kraszewskiego. Wdzięk, odwaga, szlachetność, którym obdarza pisarz swoją bohaterkę są atrybutami jej szlacheckiego pochodzenia i mają wagę dowodową przy oskarżaniu postępowego środowiska, które swoim wpływem przyczyniło się do zmarowania człowieka o tak wyjątkowych walorach. Za „szaleństwo” Zoni winę ponoszą rewolucyjne ideologie, którym ulega.

Łańcuch przyczynowo-skutkowy nie zamyka się tylko na Zoni. Kuzyn jej, szlachecki syn pełen poważania dla tradycji domu, z którego wyszedł po naukę do miasta, skutecznie opiera się naukom mistrza, a nawet próbuje z nim dyskutować. Na stwierdzenie pasywności klas posiadających, które w imię wolności gniebionego ludu należy niszczyć, odpowiada prawowitny przedstawiciel swojej klasy: „Czyż nauka Chrystusa nie położyła już końca temu ogłaszając braterstwo wszystkich ludzi i miłość dla bliźnich czyniąc najpierwszym obowiązkiem?” Na to mistrz nie umie znaleźć odpowiedzi... Opancerzony w ten sposób Ewaryst ulega jednak postępowi w osobie jego reprezentantki, Zoni. Zło umie działać nawet drogą pośrednią. I oto posłuszny, najlepszy syn, ukrywając starannie przed matką swoją miłość, porzuca studia, bnie w okropne długi, zaniedbuje dom rodzinny i niszczy swą nieskazitelną opinię. Czyż Zonia jako zjawisko społeczne wprowadzające dysonans do sielanki szlacheckiego dworku, mogła być przychylnie oceniana przez autora?

Ale w pewnym momencie prawda poza — autorska wymyka się czujności Kraszewskiego. Wprowadzając konflikt, jaki powstał na tle zbliżenia do siebie przedstawicieli dwóch diametralnie różnych stanowisk ideologicznych, przy szkodliwym wpływie sił postępu na tradycjonalizm szlachecki wykazuje jednocześnie słabość postawy, pod którą sam się podpisuje. Zonia nie zeszła ani na chwilę z drogi swej buntowniczej wolności — Ewaryst natomiast jakże daleko odbiegł od wdrażanych mu przez środowisko poglądów. Jest to mimowolnie ukazane zwycięstwo nowych prądów.

Ewaryst musiał ostatecznie zawrócić z błędnej drogi. Nie był bowiem wychowany przez przypadkowych opiekunów „o których różnie jakoś mówiono”. Stał za nim czuwający dworek rodzinny i przynależność klasowa autora. Podczas gdy Zonia będzie chciała ginać razem z pokonaną Komuną Paryską, on porzucający studia ożeni się z kobietą wybraną mu przez matkę. Spokój „domowego ogniska” zostanie uratowany.

Interpretacja „Szalonej” jest dosyć prosta. Pominięcie wagi dokonujących się na oczach pisarza przemian miało uspokoić jego szlacheckie sumienie wietrzące w nowinkarskich ideologiach pogrom własnej klasy. Zaszczepienie światoburczych haseł w umyśle samotnej, bezkrytycznej dziewczyny przenosiło problem z szerokiego terenu przemian w sferę moralnego upadku jednostek, któremu już łatwo można zapobiec przez odpowiednie wychowanie. Na tym będzie polegać rola szlacheckiego dworku, który nie posle przede wszystkim Ewarystów swoich na uniwersytecie, a poza tym zaopiekuje się samotnymi dziewczętami z własnego środowiska (inne nie są groźne). W ten sposób mistrzowie Jewłaszewscy zostaną pozbawieni swych najgorliwszych adeptów, co przyczyni się do przedśnej rezygnacji ich z roli apostołskiej. A wtedy nikt nie będzie głosił hasła burzenia w imię wolności stanów. Przykład „Szalonej” ma podzielać ostrzegawczo i równocześnie umocnić przekonanie o niewzruszalności podstaw dworku, który w patriarchalnym układzie stosunków z chłopami rozstrzygnie każdy problem epoki.

Dworek szlachecki Kraszewskiego miał za-
trzymać historię.

Piotr Wyrobek

WIEŚ OSIELEC

Jadąc pociągiem w stronę Zakopanego przez Suchą wjeżdżamy do Makowa Podhalańskiego, niegdyś siedziby ekonomii królewskich dóbr stołowych, do której należała też wieś Osielec. Widzimy ją z okien wagonów kolejowych. Przerznięta jest rzeką, Skawą, gościńcem podatrzańskim i linią kolejową Kraków — Zakopane. Jest ona dogodnym letniskiem, ma stację kolejową, kościół parafialny i 7-mio klasową szkołę powszechną, tudzież pocztę na miejscu.

Na początku XIV w. i jeszcze za panowania „Króla Chłopków” była ta międzygórska kotlina puszcza leśną nawet mało dostępną, bo pozbawioną dróg i mostów. W gęstwinach i zagajnikach leśnych nad potokami Osieleczkiem i Wieprzanką rosły liściaste drzewa dębowe, bukowe, grabowe, osikowe, brzozy, olchy, leszczyny — to znowu na wyższym poziomie „stołowej góry” czy „Budowej Grapy” i „Łysej Góry” rosły jodły smrekli, czyli świerki, sosny, modrzewie, gdzie nigdzie jako dzika kultura, a w jej gaszczach było pełno wszelakiego dzikiego zwierzrza, a najwięcej dzikich świń, których stada zapuszczały się za żerem w dalsze okolice, w stronę Wisły czyniąc dotkliwe szkody w polach rolników osiadłych w północnych stronach Karpat i ich zboczach, już rolniczo zakulturowanych, jak Zembrzyce, Sutkowice, Harbutowice.

Z tej to przyczyny w puszczy podkarpackiej w kręgu Babiej Góry spowodowana została kolonizacja Podkarpacia. I puszcza podkarpacka w kręgu babiogórskim pod ciosami siekier i toporów nad Skawą i jej dopływami, zmieniła się w Osielec graniczący z Bystrą od południa, z Łętównią od wschodu, z Juszczycem, Kąjszówką i Wieprzem od zachodu i północy.

Osadnikami byli ludzie przeważnie z najbliższych okolic, ale i ze Śląska, a nawet z Czech, Moraw, Węgier przybyli.

Nazwa Osielec urobiła się prawdopodobnie z pierwotnej nazwy „Osiedle” fonetycznie, gdyż trafia się często, że lud nie domawia lub przekręca nazwy miejscowości np. ze Stryśzawy robi „Srysawę”, z Przeciszowa — „Przeiców”, z Jachówki — „Lachówkę”, z Lanekorony — „Niekoronę”, czy „Leckoronę” lub z Tyńca — „Toniec”. Nie jest jednak wykluczone, że nazwa Osiedle przemieniona została na Osielec wskutek tego, że w dawniejszych czasach komunikacja kołowa dla braku dróg była utrudniona, wskutek czego podróże w dalsze strony odbywano przy pomocy zwierząt jucznych, jak konie, osły, a nawet psy, bo i na tresowanych psach — jak głosi tradycja — przybywali do Polski osadnicy z Niemiec, a jest duże prawdopodobieństwo, że przybyłe wołosy przybyli na Podkarpacie na osłach za panowania Stefana Batorego.

Osiedla pod nazwą role, półrolki, zarębki, zagrody i polany, nazywane też „obejściami” czy „dziedzicami” noszą nazwy tych pierwszych osadników mimo tego, że już dziś na tychże osadach mieszkają ludzie o innych nazwiskach. W Osielcu istnieją nazwiska rdzennie polskie — jak: Baziński, Brzański, Folwarski, Sołowski, Suski, Wronski, lecz są też pospolite i takie, które trąca pierwotnym czeckim, nawet niemieckim, jak Bachul, Gierat, Sender, Korbel, lub też trąca pierwotnym węgierskim, jak: Hajost, Ufir czy Ufir, Madziar czy Madziara, a może też takie nazwisko jak Ujczak lub Kardaś traci pierwotnym węgierskim. Jest prawdziwym mieszaniną nazwisk: Hodana, Ceremuga, Motor, Suwaj, Jaromin, Front, Klimala, Buda, Harwat, Oleksa, Jancarz, Jachniak. Pierwotni osadnicy byli rolnikami, pastuchami lub łowcami myśliwymi.

Zacierały się powoli zniszczenia i spustoszenia w kraju dokonane przez długie okresy trwających wojen i 3-krotnych najazdów tatarskich Mongołów, i zaczął się na Podkarpacie rozwijać z czasem nowy typ osadnictwa kolonizacyjnego tzw. wołoskiego, jako najlepiej nadający się do kolonizacji tych ziem. Ziemia wykarczowana z lasów była kamienista, mało podatna pod uprawę roli, a nadawała się raczej do rozwinięcia hodowli bydła i wypasu owiec, które prócz mięsa na pożywienie dawały skórę z wełny podatną na kożuchowe ubrania, potrzebne też dla wojska.

Wołosy morawscy zmieszani z elementem słowackim przybywali pod Babą Górą południowymi stokami Tatry a do Osielca przez przełęcz sidziński — zubrzycką przez Sidzińkę i Bystrą prawie w tym samym czasie gdy Spytek Jordan, kasztelan krakowski, zakładał wsie Spytkowice, Rabę i miasto Jordana. (Porównaj Karola Potkańskiego: Pisma pośmiertne — str. 225 i in.).

Osielec był zatem osadą urządzoną w ten sposób, że ostateczni osadnicy otrzymywali przydział ziemi, na której miał zbudowaną chałupę, czyli było to osadnictwo jednostkowe. Jeśli zaś na danej roli (włóce, łanie) było więcej osadników, to pastwiska mieli wspólne. W Osielcu są takie pastwiska wspólne pod nazwą „koszary”, „pasieki” w rolach: Morawowej, Janikowej i Misiarzowej, a nawet w Bańdurowej roli. Na przełomie XV i XVI wieku powstały istniejące na terenie wsi osiedla (obejścia, dziedziń, role, zagrody, zarębki, polany) i mają takie nazwy: Morawowie, Janikowie, Misiarzowie, Sędrowie, Sempkowie, Matulowie, Oleksowie, Dudkowie, Leśniakowie, Syskowie, Grybówkowie, Hodanowie, Wronkowie, Niziołkowie, Stonowie, Budowie, Gieratowie, Błażkowie, Uj-

czakowie, — nazwa sołystwa: Wronak-Buda-Traczykówka, rola Swistkowa, Karbowa, Baranowa, Zarębowa, Bańdurowa, Kowalowa, Bogaczowa, Rusinowa, Brzanowa, Działkowa, Koniówkowa, Balcarzowa, Horwatowa, Kotowa, Książkowa, Gąsiorowa, Jabconkowa, Zagrody: Giodkowa, Półrolek, Korbiówka, Lagowa, Wilgierzowa, Szczurkowa, Pieskowa, Bachulowa, Polany: Burdyłowa, Koprowa.

Dzisiejsza ludność Osielca na skutek ustawicznego ruchu ludności i kojarzeń małżeńskich z przybyłymi z innych okolic nazwiskami swymi nie pokrywa się z wyżej wymienionymi osiedlami, które otrzymały swe nazwy od pierwotnych osadników. Jednak zachowało się jeszcze kilkanaście pierwotnych nazwisk, figurujących w metrykach gruntowych i operatach katastralnych sprzed 100 laty, kiedy już gruntu uległy rozdrobnieniu łanu na 1/8, 1/12 i 1/16 części, a czwarczyni były rzadkością. Inwazja szwedzka na Polskę za Jana Kazimierza pozostawiła po sobie tradycyjną pamięć w Osielcu, albowiem Szwedzi w czasach okupacji Polski bawili przez dłuższy czas w królewskich wozach w celach eksploatacyjnych. Na sołystwie osieleckim przeprowadzili te zmiany, że zajęli się urządzeniem na rzece Skawie jazu zatrzymującego spiętrzoną wodę, celem sprówadzenia jej młynówką, t. zw. „przykopą” dla użycia siły wodnej do uruchomienia tartaku i młyna, nazwanego potem „szwedzkim młynem”. Te zakłady przemysłowe istniały do roku 1879, kiedy to w czasie powodzi młynówka została poważnie uszkodzona i młyn z piłą przestał funkcjonować. Przeszkoda w odbudowaniu młynówki była przeprowadzona w latach od 1883—1887 trasa kolei transwersalskiej od Żywca do Husiatyna, przez Nowy Sącz biegnącej. Ostatnim właścicielem sołysty młyna był Jan Grzechymia. Na młyniskach stoi dziś szkoła. Sołystwo nosiło nazwę Wronka - Buda - Traczykówka. Był tam staw rybny, z którego wodę spuszczano do Skawy, a zagłębienie zasypało w latach osiemdziesiątych minionego stulecia.

Tak więc zmieniło się z czasem oblicze Osielca kilkakrotnie. I wtedy, gdy po roku 1809, po klęsce zadanej Austriakom przez armię Księstwa Warszawskiego pod Raszynem, dla celów strategicznych zbudowano gościńiec podatrzański, ukończony w roku 1813, a przerywany przez niego w kierunku od zachodu na wschód — od Makowa do Jordana — jak i wtedy, gdy po powstaniu polskim w r. 1830—1831 Austriacy pod wpływem strachu, że Polska kiedyś odbuduje się i dla ratowania swojej fatalnej sytuacji finansowej zaczęli wysprzedawać królewską ziemię. I tak Ekonomia makowska królewskich dóbr stołowych czyli t. zw. „Makowszczyzna” sprzedana została w r. 1835 na licytacji, oficerowi austriackiemu Filipowi Ludwikowi hr. Saint Genois. Gdy po tym kupnie nabywca zjechał celem oglądnięcia swoich dóbr, delegacja gromady Osieleckiej uprosiła go, aby jej pomógł do budowy kościoła, bo parafia była wtedy w Makowie. A gdy hrabia zgodził się na to, stanął jego kosztem w roku 1840 kościół murowany z cegły i kamienia, w modnym podówczas stylu t. zw. józefińskim; parafianie dali robociznę. Od roku 1842 miał więc Osielec swoją parafię, przy której była najpierw szkoła zimowa, przekształcona w r. 1848 na szkołę parafialną, dla wsi Osielca, Wieprza i Kąjszówki. Dawną parafię Osielca był Mucharz, a potem Maków.

Przed 100 laty chępli się pradiadkowie i dziadkowie dzisiejszego pokolenia Osieleczan, że w ruchawce w r. 1846 nie maczali ręki. Nie ominęła ich jednak klęska nieurodzaju i głodu w następnych latach. Szalały bowiem to: tyfus głodowy, to cholera azjatycka, tak, że ludzie, — jak powiadali starzy — padali jak muchy. W Osielcu dziś jeszcze pokazują to cmentarzysko choleryczne za górą roli Balcarzowej, w lasku zwanym „na Cygance”. Po zboże jeżdżono aż do Koszyc, lecz nieraz po dwu tygodniach wracano z niczym. Gdy w r. 1849 przechodziły przez Osielec oddziały armii rosyjskiej na Węgry, celem udzielenia pomocy Austrii do stłumienia powstania węgierskiego, to te przemarsze wojsk rosyjskich były prawdziwym dobrodziejstwem dla ludności, którą w czasie postojów obdzielali żołnierze rosyjscy gotowaną strawą, z kotłów swoich kuchni polowych. W tym czasie odwozili niektórzy chłopcy swoich synów do Podolińca na Spisz celem wykształcenia ich na księży. W jakieś 20 lat później było z Osielca 7 księży, którzy odbywali studia w konwikcie O. O. Pijarów w Podolińcu — a to: dwóch braci Jabconów, dwóch braci Jachniaków i dwóch braci Zarębów, tudzież O. Damian Wronka, przeor O. O. Reformatorów w Boleszówcu k/Stanisławowa. Chlubą Osielca i wzorem dla samouczków wiejskich pozostanie pochodzący z tej wsi inżynier Joachim Traczyk (zmarły w roku 1936 w Jasle), znany z przeprowadzenia regulacji Soly i Sanu.

ADMINISTRACJA „WSI”

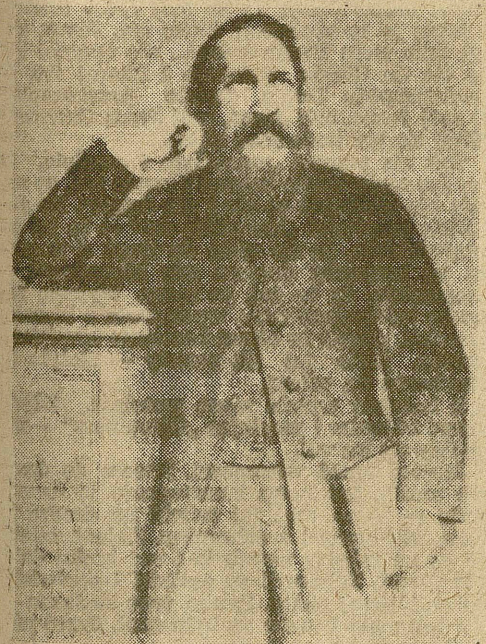
ZAWIADAMIA, ŻE SĄ DO NABYCIA

ROCZNIKI „WSI” W OPRAWIE

Z ROKU 1947.

CENA ROCZNIKA WRAZ Z PRZE-

SYŁKĄ WYNOŚI ZŁOTYCH 1.500.—



J. I. Kraszewski

Jacego niebezpieczne teorie pomniejsza się wagę problemów społecznych nurtujących epokę. Przez bierny i bezkrytyczny stosunek młodzieży do podawanej jej ideologii pomniejsza się wartość intelektualną najbardziej radykalnych przedstawicieli nowych prądów, a więc i rozmiar niebezpieczeństwa grożącego od tej strony szlachcie. Koncepcję tę dyktuje samoobrona pisarza.

Jedynym konkretnym rezultatem wpływu ideologii głoszonej przez mistrza, jest postawa wobec życia „szalonej” Zoni, emancypantki konsekwentnie zrywającej z wiarą, poszanowaniem tradycji i obyczajów warstwy, z której pochodzi, z normami obowiązującymi

Alina Nofer

Od Administracji

Prosimy o wpłacanie
prenumeraty na rok
1948

JUŻ w maju biedniacy zaczęli przymierać głodem. Łazili z workami od bogacza do bogacza, od wsi do wsi. O każdej porze dnia, w każdej wsi błądziły po drogach i obejściach gospodarskich te cienie ludzkie jako że kąpiące muchy na jesieni. A proszące, a łakomie patrzące, że niemal oczami nie pożerali dostrzeżonego gdzieś bochenka chleba, czy ziemniaków na misce.

Gospodarze zbywali ich niczym, złościł się, bo im już słów brakowało na wymówki i wykręty.

— Moście wy, moi kochani, samym nom widać braknie — odpowiadała Mordelakowa na prośby. — Niedodajomy przecie. Rzadko zocierę na niedodanie chłipiemy, na obied kapuste, na wiecezo wodzionke. Moze was tyz ta kaj Pon Jezus opatrzy, ze kupicie. Dyć kupicie, nie tropcie sie, bo Pon Jezus chyba nie dopuści do tego, zeby sie ludzie pomorzyli. Juźci źle jak sie jeś kce, sprzedali by my wom, ale Bóg świadkiem, ze ni ma, bo połowa zbioru posła na kontygient.

— Maryna, nie zwracajze nikomu głowy — odezwał się znów Mordelak. — Wyrażnie godać: ni mom do sprzedania i juź. Idźcie se kajdzi i kupcie.

— Ciewy, ciewy, ców to znówu...? I wy kupujecie jeś...? — udawała zdziwienie Nalepowa. — O jeje: chyba se zartujecie... A kiez wyście to wszycko pozjadali...? Nie śmieciecie no sie... I do nos-oście przysli kupić...? Naprowde keccie kupić...? — kręciła głowa... — A skądze my nabierzemy lo wszyckik...? Chęta zeby my dwor mieli, to by i to nie starczyło... Ni momy, ni momy, prawie lo siebie choć na rawówke zemleć.

Zaś Nalepa wruszał tylko ramionami.

— Kiej miólem, tom sprzedawo! a teroz skweres.

A młynarz Sarek? — — — Hoho, ten cziowiek nie dał nikomu przysli do słowa, poprosić nawet, bo zaraz przywitał żartami, drwinami, śmieszkami, a takimi piekącymi, że głodny nędzarz zapominał języka w gębie.

— Hoho, a ców was tu zynie? Acha, zbozo, abo maki keccie kupić... E, cyganicie, bo wom jeśce brzuch nie bardzo opod — żartował chwytając przybyłego za pas u spodni. — Jo wtedy wom dopiero uwierze, ze mocie przednowek, jak was portki zachno opodać. Hej Jasiu! — wołał na młynarczyka — wyzmiatoj no ta stochem koło pytła, to im sie do!

Zaś Świerk odburknął tylko.

— Ni mom zbozo do sprzedania, bo Niemcom musiolem dać na kontygient.

Nie kupili biedniacy we wsi zboża, więc szli dalej w bogatszą okolicę do miechowskiego powiatu. Daleko to, bo przeszło trzy mile, Niemcy i policja łapia po drodze ludzi i zboże odbierają. Ale głód zmuszał iść nie tylko trzy mile, ale choćby i trzydzieści i choćby po drodze nawet wojsko wartowało.

Łazili za zbożem i byli sołtys Łapa i Babasowa i Parzelkowa, Malski, Ciastek, Kurzek, ba, nawet Kurzok, choć miał sześć morgów ziemi i wielu, wielu innych.

Czasem popadło szczęście, udało się kupić ćwierć ziemniaków czy zboża lub parę kilo fasoli, czy bobu. Ale bywało, że i po parę dni łazili i próżno nareszcie wracali. Tak to zdarzyło się Łapie. Wprawdzie kupił ćwierć żyta, ale nie przyniósł do domu.

A no, szedł se właśnie leśną drogą niedaleko Ojcowa. Wyglądał całkiem na dziada: obstrzępany był kieby ten strach w konopiach: gęba u niego suchutka jak szczapa i nogi mu się płątały od słabości. Spoczone czoło ocierał co chwila rękawem, poprawiał worek na plecach i włókł się powoli. Miał se prawie odpocząć, gdy dojrzał w lesie między gęstymi krzakami ognisko. Podeszedł cicho, przystanął i nasłuchuje: przy ognisku siedział chłop i gadał sam do siebie:

— Sielaz by se tu upiec...? Dziesiąć się upiekie.

Brał po jednym ziemniaku z worka i rachował:

— Jedyn, dwa... siedem... dziesięć. E, dziesięć pewnie za dużo... Ców bym do chałupy dzieciom zaniósł jakbym jo som tyła zjod...?

Włożył z powrotem połowę do worka.

— Piąć jak ziem, moze się co posile. E, mało moze. Osłob bym od głodu i nie zased do chałupy.

Dodał jeszcze dwa.

— Siedmik musi mi starczyć.

Łapa chrząknął i pokazał mu się. Tamten drgnął, ale Łapa go uspokoił, zbliżył się i siadł se przy nim. Zrazu milczeli, ale wnet się rozgadali. Opowiadali se skąd idą, jak i co.

— Kasik-ecie kupili ziemniaków — zagadnął pierwszy Łapa.

— A no, juźci. Ledwie przeledwie ułaziłem choćoz ćwierć.

— W jaki wsi?

— Tam kaś na zochód od Ojcowa. Acha juź wiem — przypomniał se i wymieniał nazwę wsi.

Łapa się zadziwił.

— A nie wiecie zaś jak sie tyn chłop pise coście u niego kupili ziemnioki?

— Tego wom nie powiem jak się on pise. On miesko pod brzegiem, a przy stodole rosno dwa modrzeje. Przed stodolom jes kierot.

— Acha, to juź miarkuje u kogo. On taki okragły na gębie i cerwonny.

— Tak, tak, tak i mo zóte wasy, a baba je-go tako nisko, grubawo i tak do góry zawdy patrzy.

— No, no, no. To Mordelak, bogoc. Kcioł wom tyz choć sprzedać?

— Nie bardzo. Ledwom go uprosił. On mie tyz prosił, zebym nikomu nie godoł, zem u niego kupił.

— O pieron ognisty! — zaklął Łapa. — Przecie jo u niego trzy razy był i prosił świętymi słowami, zeby mi choć ćwierć sprzedał, ale pedziół, ze ani ziemnioka ni mo do sprzedania. Na wielazeście mu zapłacił?

— Na trzysta pięćdziesiąt.

— Dobrze wom ta choć nawożył?

— A cyrka w cyrka jak w japytce. Jak je-

dyn ziemniok przewoził, to go wzion z worka

Józef Pogan

PRZEDNÓWEK

(Fragment powieści)

i pedziół ze jedyn zimniok kosztuje teroz moze pół złotówki, albo więcej.

— Hm, wy mi ta juź nie musicie godać, bo jo go znom jak samygo siebie. To chytrok.

— A no jak kazdy bogoc. A wy kaście kupili zbozo?

— Kaś pod Miechowem — odrzekł chłop. Przypominoł se coś i nareszcie wymienił miejscowość.

— O psiakość, toście w moi wsi kupili. A jo sie tyła tam złożył po wszyckik bogocak, naprosił sie ik, a nic nie skórolem. I potrzebny tyz cziowiek tak za psa nozyska tuc po cały Polsce, kiej tu we wsi od zły biedy mozo sie uzywić. Ale ców kiej sie znajomymu bojo sprzedać, zeby ktoś nie donioś o tym do Niemców.

— Nie ino to. Jaki taki nie śmie od znajomego tak drogo łupić. Wiecie, prowde pedzić, to ta bogoce ni majo wiela do sprzedania, bo śwoby złupili strasne kontygienty. Casym sie do kupić we swoi wsi, ale po wielgi znajomości, cy po famieli. Ale tyz łazi ludzi z workami, jak mrówio.

— A no, bo głód jakiego cheba nojstarsi ludzie nie pamiętajo. Mozebyście wy mi zamienili poru ziemnioków za zboze, to bym se upiek, bo juź ledwo dychoł od głodu — prosił Łapa, patrząc łakomie na tamtego jak ocierał o trawę przypalone ziemniaki.

— Locego nie. Siela keccie?

— A choćoz ośmik.

Tamten porachował ziemniaki i Łapa włożył je do ogniska. Nabral przygarść żyta i spytał:

— Wystarczy tyła?

— A doś, zanadto. My ta zaś nie bedymy sie tak obliczać jak bogoce, bo znomy biede.

Za chwilę upiekły się ziemniaki i Łapa zjadł je smacznie. Wstali obaj, pożegnali się i mieli się juź rozejść, a tu diabli naprowadzili Pa-

świadkiem tej nadzbyt dziwnej niewiarogodnej kradzieży przez zgłodniałego człowieka.

Dopiero nazajutrz ludzie kręcili głowami, dziwili się, gdy Mordelakowa pomstowała „nienazartyk złodziei”.

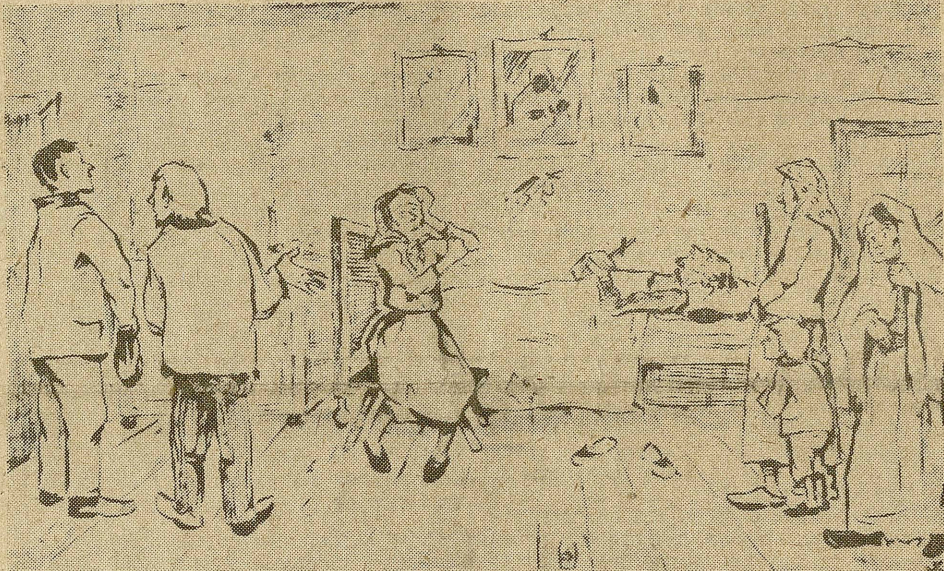
Niektórzy łazili po żebractwie, a najwięcej juź Baranek. Stary juź był, to mu ta i pasowało. Zresztą był to komornik. Zapusił brode, wziął sekaty kij w rękę, torbę na placę i łaził. Ale nigdy wiela nie uzbierał: trochę groszy, fenigów, no i jaką przygarść ziemniaków, czy suchych skór z chleba.

Jednego wieczora wrócił bardziej wesoły niz zwykle. Ziemniaków i skór z chleba niewiele przyniósł, ale za to sporo pieniędzy. Kupił sobie paczkę fajkowego tytoniu, zapalił faję i pykał.

W domu spotkało go zmartwienie — żona przegrała sprawę w sądzie. Załamała rękę, lamentowała i za włosy się fargała.

— Juź nie zboleje tego...! nie ścierpie...! nie zniesie...! Utopie sie, abo otruje...! „Abo do Cudownego Pana Jezusa Przecińskiego dom na mso świnto, zeby tyn drań... tyn krzywdziciel marnie zginył...! Mój Boże, mój Boże... kaj nasa całoroczno krwawo proco...? O, zeby, o zeby skonać ni mógł...! zeby tyle dni konoł w boleściak, wiela godzin i minut my u niego przeharowali... Wiela kropel potu z nos sie wyłoło przy pracy w jego majątku...! O Jezu Miłosierny, spuś na niego jako plogę, zeby go ta nasa krzywdza ozerwała na kawołecki...! zeby sie udłowił nią!

Całą noc prawie nie spał. A rano zaledwie świt nastał, oboje udali się w drogę. On z żebractwem kijem i torbą, ona do kościoła w Przegini. Użalić się poszła „przed Tym Cudownym Panym Jezusym” i użebrać przez męża grosze złożyć na ofiarę Bogu. By „skąpnym” jej krzywdziciel... albo skonał... zdechl



rys. Krystyna Hierowska

kałą. Chłopi zaczęli się kręcić i chować worki a tu:

— „Rece do góry!” — Struchleli i czekają co będzie.

Policjant obrewidował ich, a potem zajął do worków: chłopiska ukłękli przed nim i świętymi słowami proszą, ale daremnie. Wkropił im po parę razy pałką, tego z ziemniakami puścił, a z Łapą — jadała na posterunek! I to z tym żytem na plecach musiał dybać. Dobrze, że się choć posilił tymi ziemniakami, bo inaczej — przewróciłby się od słabości na drodze, a ten łotr mógłby go jeszcze dobić. Ców mu to chodziło o człowieka? A no, tyle co o muchę, czy jakiego robaka. Łapę zamieścił... widziało mu się, że się cały świat na niego wali.

Parzelka też długo nie wracał z miechowskiego. Nie widać go było dzień, drugi, a tu dzieciśka płaczą jeś aż okropa. Bezradna matka płacze wraz z nimi. Ostatek ziemniaków ugotowała jeszcze wczoraj przed południem. Co tu począć...? Co tu robić...? — drapie się babina w głowę i modli się do Pana Jezusa i do Matki Boskiej. Zachodziła do sąsiadów, prosiła o pożyczenie choć kwarty zboża, ale daremnie. A no „zjędz ze dziadu dziada” — jak to jest przysłowka.

Wieczorem przypomniał jej się coś. Zamknęła dzieci w izbie i poszła w pole. Ciemno było, księżyc jeszcze nie wschodził. Derdała miedzami wśród zroszonego zboża i zawróciła ku świeżo zabronowanemu stajaniu późno wsadzonych ziemniaków Mordelaka. Stała chwilę i oglądała się na wszystkie strony. Serce waliło jej w piersi i dygotała od strachu. Jeszcze się poogładała, przeżegnała się, schyliła i dłoń zanurzyła w pulchną ziemię. Grzebała chwile.

— O, mój Bożycku, jes — wyrwało jej się z piersi.

Obejrzała się, schowała ziemniaka do woreczka i dalej grzebała prosto. Spieszyła się. Drżały jej ręce i nogi dygotały.

Przy końcu stajania zajął do woreczka. — Jesce mało — szepnęła. I znów przez chwilę grzebała, szukając następnej zasadzonej grędy.

Zanim księżyc wychylił się z horyzontu, miała juź garniec ziemniaków w woreczku. Obtarła ręce zapaską, okryła nią woreczek, przeżegnała się i poderdała ku wsi. Lękała się, oglądała na wszystkie strony. Lecz nikt jej nie widział, jedynie wschodzący księżyc był

jak pies... Albo żeby go paraliż połamał... żeby go pokreśliło...

W sąsiedniej wsi spotkała ją krewna.

— Cegóz wysłicie tacy smutni? — spytała czule przy powitaniu. — Plakaliście wiadać... Coz wom sie najgorszygo stało...?

Barankowa nie mogła słowa wyrzec. Żałość zatkała jej gardło i lzy pociekły po policzkach. Wytarła je zapaską i przemówiła po chwili.

— Pódźciez zy mną kawołecek, to wom opowiem o swoim stropieniu. Toli widziecie było tak: jeśce przed wojną szużyli my oboje z chłoptem u Pattasa. Znocie go przecie.

— U tego Macieja po księdzu, co to mo folwark we wasy wsi?

— Juźci, juźci. Ino słuchojcie. Szużyli my oboje całuski rok, bo przecie wiecie, ze ni momy swoi chałupy ani pola. Moze połowe zopłaty wykopał nom po złotówce, a za sto złotych co nie wypłacił — obiecoł dać zbozo z nowygo. Jaz tu nogle wybuchła wojna. Nos zaroz coś przepikło niedobrygo i dała go prosić, zeby umłocił zbozo i doł nom. Ale kaj ta? — wykrecił się, ze konie ni majo casu do maszyn i ludzi ni mozo najać i cej cym. Kręcił jak móg. Ale my nie dawali odporu, ino sie upominomy o swoje. Nareszcie umylił se, ze nom spredo pore pretów ziemi. Uciesyli my sie nawet, bo by my radzi chałupe se postawić, zeby choć na starość nie tulać się po obcyk katak i dzieci by tyz miały i jakby Bóg przywrócił je seściłwie z Niemiec. Na chałupę brat podarował nom stary chływ, bo se murowany postawił. Pattas spisoł umowę na dwók papierak, podpisoł sie i jo tyz i chłop krzyżyki postawioł. Ugodzili my sie, ze wtedy nom odpise tyn kawołecek jak mu dopłacymy jesce pięćdziesiąt złotych. Dzieci były na służbie, z dwók miesięcy dały wszyckie pieniądze, stary zarobił pod Krakowem cepami, jo zaś motyka, bo my z początku wojny odesli ze służby od Pattasa i wiecie, ze my dali rade uciuć se pięćdziesiąt złotych. Dokucyło nom wszyckim, bo dzieci ostały bez butów i ubrania, my bez soli jedli i po ciemku siedzieli, ale my uciuali. I byłoby pewnie dobrze zeby nie tyn młody drań, syn Pattasa wrócił z jakiegoś urzędu cy z wojny. Zacon sie rzadzić po swojemu i o jakimśik długu i dziadak ani słyszał nie kcioł. Wypchnył nos przecie za drzwi jak my z dopłatą posli i spomnieli o zopisie. Kciołi my tyz zboze: abo pieniądze na tyła zbozo, siela go za sto zło-

tyk przed wojną wypodał, ale skoda godać. Pedziół, ze oddo sto złotych, ale kiej? — to juź on o tym zadecyduje, nie my.

Tamta załamała rękę.

— Co wy powiecie...? To taki krzywdziciel...?

— A taki, taki, moiście wy. Słuchojcie dali. Umyśleli my se i ludzie nom tyz tak doradzili, zeby iś do sądu, to my posli i zaskarżyli. I wiecie, moi kochani, zebym juź dziesiątygo opedziała, zeby sie biedok z panym ani wozył prawowac, bo sie ino nałazi po sądak i różnyk urzędak i jesce dołozy do swoi krzywdy.

— Dyć prowda, prowda, tak to bywo — przytaknęła tamta.

— Wiecie, co, my sie nałazili, nakłopotali, nawyciagali metryk, różnyk dokumyntów z gminy, późni zaś świadków stawiali i wszycko na próżno kieby do wody wrzucił. Jak sie coś przechylało na nase strone, to Pattas odroczył sprawę i juź. Dopiero wcóra skończyła sie ostatnio sprawa.

— I jakze postoj?

— Hm... jak postoj...? — rozplakała się Barankowa. — Pattas posed do restauracyje pozryć i popić, a jo z kwikiem do domu. Te same sto złotych sąd przynioł.

— Co wy godocie...? W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Za przedwojenne sto złotych — te same teroz na tako drożnyne...? Cy sie juź świat przewraca do góry nogami...? cy juź Boga ni ma na świecie, ani w niebie...? Ców wy za to teroz kupicie...? — osiem kilo żyta...

— Dyć nie więcy. Weź, biedny ckleu, za rok procy u pana, osiem kilo zbozo, jedz, pracuj i módl się... Zóci mi sie przecie kce ułoc od zolu... Mój Boże, mój Boże, tyle procy posła na marne...! do pańskich gordzieli...! — rozplakała się.

Pożegnały się i rozeszły. Tamta rzuciła za Barankową czule słowa:

— Idźcie do Przegini, poproście Tego Cudownego Pana Jezusa, to On moze was pociesy i w cym insym wynagrodzi.

Barankowa zamówiła u księdza mszę świętą i zapłaciła. Nie „targowała się, bo by moze nie było skuteczne. Wiele ksiądz kcioł tyle zapłaciła”. Na nabożeństwo do kościoła wstąpiła, choć ta msza nie była w jej intencji. Ale chciała się pomodlić i juź użalić Bogu. Ukłękła se przy murze i szepiała:

— O mój Jezus Cudowny, wysłuchojze me tyz wysluchoj i sprow swoim nieprzebranym miłosierdziem, zeby tyn krzywdziciel uznol kiej: na sobie moje krzywdę jako mi wyrządził. O Jezus Cudowny, zlituj sie nady mną i wysluchoj moi prośby. Spozryj z wysokik niebios na moje nędze, na głód i ukoroj tego krzywdziciela. Nie odpychoj od siebie mnie bdyń grzysznice wołajaco o pomste do Ciebie.

Ostatnie słowa przypomniły jej „grzechy wołajaco o pomste do nieba”. Padła krzyżem i cichym głębokim wybuchła płaczem. Twarz jej; zalewały lzy i wargi przestały szepać modlitwę. Lecz myślą prosiła Boga o zlitowanie.

Zakożoś, o Jezu, uciemnianie ubokik, gdów i sierót — wdychała — zatrzymanio zopłaty slugom, najemnikom i robotnikom, a tu nie o drobno krzywdę chodzi, ino o całoroczno proco. Jakze Ty to mój Jezus scierpis i jakze jo to zboleje...? Zlituj sie, Jezus, zlituj jako wolo Twoja święto... nie opuscoj tyk co sie do Ciebie uciekajo i ukoroj tyk co przestypujo Twoje święte przykazania... O mój Jezus, mój Jezus, mój Jezus Cudowny, zlituj sie tyz nade mną zlituj...

Tak sie przecie „ozmodyła i ozzolyła, ze jej jaz serce kciało pęknać i rwoło nią, ze nawet nie wiedziela co sie z nią dzieje”. Bo gdy ksiądz zaśpiewał „Ite missa est” — to jej się przywidziało, że on woło do Boga o pomste za jej krzywdę; dopiero gdy biogosił — zrozumiała, że to juź po mszy. Wytarła zapaską załzawione oczy, wyciągnęła z kieszeni węzelek, weszła za ołtarz i ostatnie trzydzieści groszy, jakie jej się zostały — złożyła do skarbanki na ofiarę.

Z kościoła wyszła nieco weselsza. Zdjęła z szyi różaniec i szepając „Ojcie nasz” — pówlokła się ku wsi.

Jeszcze przed wieczorem, jeszcze do domu nie zaszła, juź nowe zmartwienie ją nawiedziło — — — mąż jej zaliczył na drodze za wsią, gdy wracał z żebrani. Zbladł, osłabł, aż go na miedzy posadziło i ani kroku dalej nie ruszył. Zobaczyli go sąsiedzi i przywlekli do najbliższej chałupy. Zanim żona nadeszła — juź bez mała trupem go było czuć. Przed północiem wyzionął ducha.

Kobiecina wrzeszczała jak szalona, mdlała, a ludzie gadali se obojętnie:

— Dyć ta nie złego, ze pomar... Uspokoil sie roz na zawdy... Wycyrpol sie od biedy i od stędu... Nałaziło sie chłopisko po prośbie, wyćkało sie, nie zjadło i cymze miało żyć? No i do reszty zatrulo sie o te przegrano sprawę... Nic złego, ze pomar, bo mu i tak będzie lepi na tamtym świecie jak na tym...

— Ale ścisło dziada na środku drogi, ze ani pisać nie mógł — żartowali dowcipni chłopcacy — ścisła go słabość, torba do reszty przegnietła i po dziadzie... Wiedziół kiej umrzyć... na przednowku kiej ni ma co jeść, bo po zniwak to by go ta i szkoda było... Jesce jakby sie odzwyl, to by rnył cepami w stodole... Ho, ho, zeby był przekawęcoł przednowek, toby móg żyć...

W trzeci dzień był pogrzeb Baranka. Zeszło sie trochę ludzi i odprowadzili zwłoki za wieś na wzgórek pod krzyż. Na przedzie szedł Łyskowiec i śpiewał żałobną pieśń.

Wszyscy spoglądali na lichą trumnę jaką zrobił zwykły majster — klepak wiejski. Nie malowana była, nawet deski kiepsko oheblowane. Zdołił ją trochę tylko krzyż czarny smarem od wozu nabazgrany.

Jedna Kurzkowa szkapka, o którą się juź „wrony prawowały” — ciągnęła wóz z trumną. A no, nie dali ludzie lepszych koni pod dziada. Stawała szkapina pod wzgórek za wsią, że ludzie wóz popychać musieli. A no, nie dziwota, przecie to pogrzeb dziada. Mar-

ny miał żywot w cudzym kącie i po cudzyk
probach sponiewierany, to i odwiezienie na
cmentarz pasowało kulawą szkapą „na raty”...
Pod krzyżem zatrzymali się. Łyskowiec po-
lecił:

— Za duszę święty pamięć Wincentygo Ba-
ranka prośbę odmówić pobożnie: „Trzy Ojce
nas, trzy Zdrowas Maryjo i trzy Wieczne odpo-
cywanie”.

Uklekli ludzie. A gdy skończyli modlitwę,
Łyskowiec zaśpiewał:

„Wcora cie zdołała piękno barwa,
A dzisiaj już jesteś kieby larwa.
Nie gorsygo, wstrętniejsygo,
Ni ma nad ciowieka umartygo”.

„Nie gorsygo wstrętniejsygo,
Ni ma nad ciowieka umartygo”.

powtórzyli za nim chórem.

Niemal wszyscy wrócili spod krzyża, bo
tylko pięć osób podążyło na cmentarz za
trumną.

— Zaczynają kapać ludzie od głodu —
wspominał Kurzok idąc z innymi do domu.

— Długo prowadziłeś — przychwalił
Łyskowiec. — U Parzelki jedno dziecko na
umór chore. Tyż przede od głodu.

— Wście, jo już miarkuje od czego — wy-
trzeszczył oczy Kurzok.

— Od czego?

— Toli wysedem se wcora za stodołę, spo-
glądom w pole, a tu jakieś bębny siedzo w
moim konicy. Odpinam se pasek z portek
i miedzom cichusko podchodzę. Miodem bęb-
nom wygarbować skórę, że konicyne magajo.
Dochodzę niedaleko i — zdrtwiołem — Pa-
rzelkowe dzieci obrywały paki konicy i
jadły. Godom wam, że mi jaz serce ścisnęło
i ży z oców ukapały. Cichusko wróciłem się,
zeby mnie nie zauważyły i nie uciekły. A złem
zrobił. Lepi było je wygnać, to by moze były
nie chorowały.

— A miał by to ciek sumienie wyganiać.

— Jużci, jużci. Wście, długo wieców ni mo-
gem spać, ino se o tym myślę. Boże, Boże,
na kogo tyż tu znowu kolej padnie?

— Bóg jedyn wie, ale daje mi się, że Mi-
choł Trzesioł zaklapnie. Downi to ta jesce ro-
bił mietły, chodził z nimi do miasta, to jako
tako odpodół bieda. A teraz ni mo chłopisko
powziął do życia. Ta jedna morga nie uży-
waj cały rodziny. Dzieciyska już nie takie ma-
łe, baba młodo, to przecierpio. Ale on już je-
dną nogą u Chrystusa na oborze.

— Tyż od błedy.

— A no, od czegoż by, moi kochani. Doś
przodzi biedowoi, a teraz głód i różne zgryzo-
ty dotrącały go. Lada chwila może zlewnąć
jak ta obito kura.

— O Jezus, Jezus — westchnął Kurzok —
Co tyż tu dali będzie z nami, co?

— A źle będzie, źle, moi drodzy.

Przewidział Łyskowiec, bo Trzesioł zmarł
teżte nocy. Wieczorem dźwignął się i usiadł
na łóżku i kawateczek chleba od głodu zaba-
lił. I z tym niedojedzonym w ustach kawa-
teczek chleba wycałował nogi.

Niebawem ugorał się z nędzą i z życiem
Grzywek zięć Gembla. Ten już nie czekał, aż
sama śmierć przyjdzie po niego i wyszedł na
tej spotkanie z powrotem od kory. Zmarł-
wił się chłopina o dzieci, co mu je to w ze-
szłym roku za przyczyną teścia wywieźli do
Niemiec, przybierał se do głowy, a teraz
przednówek i stałe kłótnie i bijatki z teś-
ciem odebrały mu do reszty rozum. „Bziko-
wał” jakiś czas, płakał, śmiał się i synów
zukał i nareszcie dzierzgnął się w stodołę u
belki.

Nieszczęśliwa Grzywkowa lamentowała w
niebogłosy, aż „se chciwała wszystkie włosy na
słowie wytargać” z rozpacz. A teść kłębnał
nad trupem i modlił się spokojnie. I modli-
twę za konających i letanię i rożaniec —
wszystko po kolei odmówił.

Wście o tym w mig się rozeszła od końca
do końca wsi, że nawet Kurzoka nie potrze-
bowała już latać i opowiadać. Zresztą może
by już nie latała jak dawniej. Slaba była, to
by jej się nie chciało. Wołała by se kucać
pod ścianą, czy na trawie pod wiśnią się po-
łożyć, niż męczyć się letaniem. Chyba przez
plot opowiadała sąsiadkom różne nowinki.

Choćby o tym jak to przez po wsiach ludzie
dostają czyszczenia od zielonego agrestu. Ra-
dziła się wystrzeżać, nie jeść zieleniny, ale
sama od głodu po ziarnku chrustała.

Wiało nędza... straszło głodem... że ludzi-
ska nawet najważniejsze prace zaniebawiali.

Józef Pogan

Administracja tyg. „Wiś” zawiadamia,
że w związku ze zwiększeniem objęto-
ści pisma oraz wzrostem kosztów
produkcyj (druk, papier) cena i egz.
„Wiś” została podniesiona z dnem 1.1.
1948 r. na 20 zł. W prenumeracie mie-
sięcznej cena numeru wypada taniej.

Prenumerata „Wiś” na rok 1948 wy-
nosi:

— miesięcznie — 60 zł.
— kwartalnie — 180 zł.
— półrocznie — 360 zł.

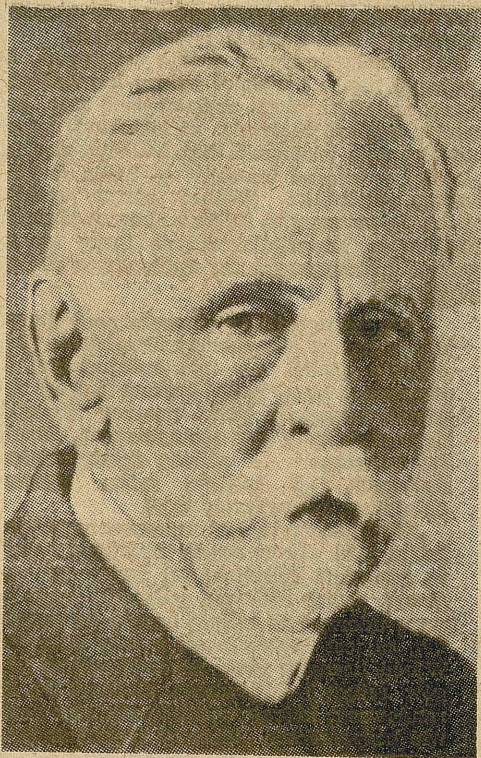
Wszyscy prenumeratorzy, którzy u-
isili już prenumeratę według starych
stawek, otrzymywać będą pismo w
opłaconym okresie bez żadnych do-
płat. Natomiast wszyscy inni — pro-
szeni są o wpłacenie prenumeraty wed-
ług nowych stawek.

Zwracamy się z gorącym apelem o
uregulowanie należności za rok ubie-
gły oraz o wpłacenie prenumeraty na
rok bieżący. Tylko regularne wpłaca-
nie prenumeraty zapewni P. T. Od-
biorcom stałe regularne otrzymywanie
pisma.

Gustaw Przeczek

PIEŚŃ BUDZĄCA

(Śląsk obchodzi w tym roku setną rocznicę urodzin Jana Kubisza)



Jan Kubisz

Artykuł G. Przeczka jest ubocznym produktem
tradycji XIX-wiecznej krytyki „hagiograficznej”
oraz oddziaływania literackich konwencji, ugrun-
towanych w świadomości kulturalnej wsi przez ludo-
wych epigonów romantyzmu. Patriotyczny patos
i budujące streszczenie wznioślejszych fragmentów
w odświeżeniu „uczonym” języku spraw kultury —
to tradycyjne chwyt obchodowe wiejskiego spo-
łeczniaka.

Kształtująca się w kręgu wpływów Mickiewicza
i Pola dydaktyczna poezja Kubisza to przejaw po-
wzrostu procesu recepcji romantycznych treści
kulturalnych przez ludową poezję w XIX. Żywot-
ność i aktualność tej poezji w środowisku wiejskim
nie osłabia do dziś. Trudno o lepszą ilustrację siły
jej oddziaływania, niż poniższy fragment „ze szta-
buch krytyki ludowej”.

Redakcja

Mówiąc o Lompie i Miarece jako pisarzach i
budzieliach ducha narodowego na Śląsku, ma-
my na myśli głównie Śląsk Górny. Śląsk Cie-
szyński stoi niejako na uboczu ich wpływów.
Inne tu wytworzyły się warunki, inaczej uło-
żyło się tutaj życie pod koniec 18-go wieku
i na początku wieku 19-go. Wpływ obydwu
wspomnianych pisarzy niewątpliwie i tutaj
docierał, zwłaszcza Miarki, lecz lud śląski,
gospodarujący na swym zagonie, raczej bierny
i z pokorą przyjmujący cieżki nielitościwego
losu, nie dosyć był do oddali dotarłającego głosu
tych budzieli. I było trzeba pieśni, która swą
bezpośredniością, swą głębią i prostotą wtra-
gnęła do duszy cieszyńskiego Ślązaka i doko-
nała w niej istotnej przemiany. Tę pieśń, któ-
ra dokonała cudu, która otworzyła temu ludo-
wi oczy, wyśpiewał pierwszy natchniony pieś-
niarz ludu cieszyńskiego, Jan Kubisz, nauczy-
ciel z Gnojnika.

Pieśń Jana Kubisza była śmiałym wyzwani-
em do walki z ciemnotą ludu.

Idealy, głoszone przez Stalmacha, Ks. Świe-
żego, Ks. Ofio, Cieniałów, Mielchajdów i in-
nych, przybrały śpiewną formę mowy ryme-
wanej i w tej postaci trafiły pod strzechy ludu
śląskiego, gdzie pieśniem obok chleba była
drugim powszednim pokarmem. Pieśń ta
przez całe wieki ciemnoty duchowej potrafiła
zachować lud przy życiu narodowym, choć
ten nie zdawał sobie z tego sprawy, a tylko
buntował się przeciw szkole, która uczyła go
w języku niezrozumiałym.

Przełomowy rok 1848 zmienił oblicze ducho-
we śląskiego ludu. Szkoła polska na wsi orała
z poświęceniem ten czarny i urodzajny ugor
duszy i serce. Było jednak jeszcze dużo nieu-
świadomionych nauczycieli, których dusze to-
czył zaszczerpiony w młodości czerw niemiec-
kości. Na czele postępu stanęły jednostki
światłe, a między innymi i nauczyciel Jan Ku-
bisz.

Celem tego szkicu jest przedstawienie roli
Jana Kubisza nie jako nauczyciela a jako pie-
śniarza, którego pieśń budząca dokonała cudu.

Pieśń jego reprezentuje wyłącznie Śląsk
Cieszyński. Lud pieśń tę przyjął za swoją bez
zastrzeżeń.

„Płyniesz, Olzo, po dolinie,
Płyniesz, jak przed laty;
Taki sam na twym brzegu
Kwitną wiosną kwiaty.

Ale ludzie w życiu swoim
Zmienili się bardzo;
Zwyczajami, wiarą przodków
Ledwie, że nie gardzą”.

Z przejęciem i namaszczeniem śpiewał lud
tę pieśń, która ostrym napomnieniem smagała
jego przyzwyczajenie do snu i bierności wo-
bec przeszłości, jakie piętrzyły się na jego dro-
dze. I hymnem się stała, pieśnią, co jak pio-
mien wechodziła do chat i podsycała gasnący
znicz poczucia narodowego.

Może w jego twórczości za słabo zabrzmia-
ła struna społeczna. Przecież to lud śląski la-
dowie że odrzucił się z niewoli pańszczyzny. Za-
strzeżenie to jest tylko pozorne. W praktycz-
nym życiu ściśle koczują się te dwa zagad-
nienia, jakimi są zagadnienia niewoli narodo-
wej i społecznej.

Te dwa pojęcia ściślej wiązały się wtedy,
niż obecnie nam by się to wydawało. Lud pol-

ski na Śląsku i nadal był uważany za niewol-
ników, których obowiązkiem była harówka na
rol. Kto chciał wyjść z tego ludu, oderwać
się od tej potężnej masy powszechnie pogar-
dzanej, wyrzec się musiał swej duszy, samego
siebie, zrzucić niejako z siebie swe odzienie
a przyodziać obce, które zmuszało drwić i na-
śmiewać się z prostoty poprzednio.

Większość utworów Jana Kubisza powstała
w wyniku jego pracy obywatelskiej. Nie było
inicyjatywy społecznej bez jego udziału. Na
każdą uroczystość o charakterze narodowym
i społecznym, czy to była rocznica założenia
gimnazjum w Cieszynie, czy innej placówce
społecznej, prosił go o wiersz okoliczności-
wy. A Kubisz nigdy nie odmawia, ale przy-
chodzi z wierszem, w którym dobitnie pod-
kreśla rolę, jaką placówka spełnia w służbie
dla ludu śląskiego. Wiersze te mają więc cha-
rakter okolicznościowy, częstokroć agitacyjny,
niepogzbowane są jednak pewnej świeżości
ujęcia tematu. Zaliczyć tu trzeba takie wiers-
ze, jak: „Do przyjaciela odjeżdżającego”, „Do
J. C.” (Cieniały), „Woda ze skały”, „Do mło-
dzieży śląskiej”, „Do naszych przyjaciół”, „Ju-
bileuszowe pozdrowienie” i inne.

Najlepszym jego utworem z okresu inten-
sywnej pracy społecznej w Czytelni Ludowej
w Cieszynie do oddziału ks. Ofio jest „ślan-
kowa gawęda” p. t. „Dwa dni”.

Podniętę do napisania tego poematu dały
mu zapewne wieczerzy literackie u ks. Ofio
oraz głęboka miłość do ziemi ojczystej.

Nie znajdziemy w tym utworze żadnych
wyszukanych zwrotów poetyckich, ale z każ-
dego wiersza przemawia jedna, zdrowa, peł-
na powabu prostota Reja.

Poemat „Dwa dni” — to żywot pocziwego
Ślązaka. Dwa dni tylko opisuje poeta: dzień
powszedni i dzień świąteczny, ale wszystkie
dni żywota syna śląskiej ziemi są podobne do
siebie jak kropla do kropli źródlanej wody.

Celem poety było podanie wiernego obrazu
życia uczciwego Ślązaka, aby dać przykład
współczesnym i potomnym.

Drugi okres, kiedy Jan Kubisz z zalem o-
puszcza Cieszyn i pracę w Czytelni i osiada
na stałe w Gnojniku, zastaje go już w pełni
świadomości swego posłannictwa. Mało wy-
chodzi z swego zakątka w Gnojniku, pra-
cuje nad samym sobą i dużo pisze. W tym o-
kresie powstają jego najlepsze utwory: „Syn
marnotrawny”, „Śpiewy starego Jakuba” i
„Mojeżesz”.

Najcharakterystyczniejszym jest poemat
p. t. „Syn marnotrawny”.

Ojciec wysłał swego syna po ukończeniu
szkoły w rodzinny miasto na studia do na-
dunajskiej stolicy. Przejmujące są wiersze po-
żegnania syna przez ojca.

„...Gdy już taka Boża wola,
Ze masz jechać, jedź, lecz wróć szczęśliwy.
Lecz wróć mi takim, jakim teraz jedziesz,
Wróć mi z miłością do rodzinnej wioski
I z utęsknieniem do chaty ojcowiskiej.
Z tą mową, w której śłem do Boga modły,
Z tymi pieśniami, co je sobie nuciś”.

Lecz syn marnotrawny prędko zapomniał
nauk ojca i matki, wiodąc życie hulastwe
wśród wesółych kolegów. Nie wytrwał, Uwie-
rzył w mowę swych wrogów, którzy jad nie-
nawidzi wlewali w jego serce:

„Polskiego ludu na Śląsku już nie ma,
A jeśli żyje — nad brzegiem przepaści
Stoi, a jego już nikt nie powstrzyma
Upadku, bowiem skazan na wynarce,
I wkrótce będzie on na dziejów kartach
Wymazany...”

„A polskiej mowy tej tam weale nie ma!
Bo czyż się może językiem nazwać
Ta mieszanina słów nędzna i licha,
To wasserpolnisch!...”

Wtedy, wyznaje syn marnotrawny:

„...wydał mi się lud mój taki mały,
I taki lichy i taki bez chwały,
Ze po raz pierwszy w życiu się wstydzilem
Mojego rodu...”

Strasza była ta chwila, kiedy poszedł do
Nordmarku, by ostatecznie wyrzec się duszy
polskiej.

„Gdzie mi kazali przysiądź, że językiem
Polskim już nigdy, nigdy nie przemówię...
Gdzie mi kazali bluźnić i zlorzeczyć
Ojcu i matce i braciom... Słyszycie —
Kazali bluźnić mnie, polskiemu dziecku.
Och to już wtedy był szczyt mej podłości!”

Tłumione sumienie odezwało się wreszcie.
Chciał zapłakać, ale oczy były suche, chciał
się modlić, ale modlitwy zapomnieli. I wtedy
jego sercem „wstrząsnął żal i skrzycha”. —
Wspomnienie młodości spędzonej pod strze-
chą chaty rodzinnej i mowy matecznej zga-
siło mękę duszy. Uklaki na ziemi, modlił się
i błagał o przebaczenie.

Powrócił syn marnotrawny do domu ojca,
a ojciec przebaczywszy mu uścisnął go.

„A potem wyniósł owa przednią szatę
I pierścień złoty na mą rękę włożył.
Szata i pierścień: znak łaski ojcowskiej
I przywróconej godności synowskiej”.

Drugi utwór p. t. „Śpiewy starego Jakó-
ba” jest cyklem poematów, związanych wspó-
ną myślą przewodnią. Składa się ze „Wstępu”,
pięciu części: I. „To Niemiec”, II. „To Polak”,
III. „Ziemia nasza”, IV. „Nad Olzą” i V. „Nie
możliście jednej godziny czuć ze mną” oraz
zakończenia „Do śląskiej młodości”.

We „Wstępie” odpowiada stary Jakób pa-
choleci, które pyta się go, dlaczego jest
smutny. Oto smuci się nad losem ojczystej
ziemi:

„Gdy na nią padał nieszczęść cios za ciosem;
Uczulem wszystek jej ból i cierpienia,
Ze z tego bólu całkiem poświęcałem!”

Przebudził się lud śląski w 48 roku i zda-
wało się, że swobodnym lotem wzbił się w
słońce, lecz „lud nie zrozumiał wolności
swej daru”.

„Wolał tylko: chleba, wody, chleba!
A że nie mleł za wodza Mojżesza,
Ani pomniejszych słuchali proroków,
Wpadł w moc gorszych, niżli przedtem
oków.

Bo wpadł znowu w moc ducha niewoli!”

Zapomniał lud mowy swych przodków, bo
nierz i nauczyciele, którym rodzice swe dzie-
ci powierzyli, „miłość do ziemi ojczystej za-
bili” w ich sercach.

Kiedy więc patrzył stary Jakub na taką
niedolę swego ludu, wpadł w rozpacz i zwąt-
pienie. Sądził, że nie ma już ratunku. Ale
wtedy usłyszał słowa, które wlały w jego ser-
ce nową wiarę:

„...Jeszcze jest siedem tysięcy.
Co nie zginają swych kolan przed Baalem,
Przez nich Bóg będzie łaskaw i pozwoli,
Ze naród z ducha wywiodą niewoli!”

W pierwszej części „To Niemiec” opisuje
sposób fabrykowania Niemców z rodzonych
synów ziemi śląskiej przez wychowanie w
szkołach ludowych w duchu niemieckim,
których głównym celem było wyuczenie je-
zyka niemieckiego. Niektórym przewróciło
się w głowie tak, iż wychwalali teraz kultu-
rę i mowę niemiecką językiem „niemieckim
po polsku”.

Nie wszyscy wyrzekli się swej mowy oj-
czystej. Choćby wychowani w tej samej szko-
le, gdzie zbrodnia było mówienie po polsku,
woleli kije i nasmiewanie znoś, niż wyrzec
się mowy swych ojców. To byli Polacy, o
których śpiewa stary Jakub w drugiej części.

W trzeciej części pt. „Ziemia nasza” opie-
wa melodyjnym językiem na wzór Pola pięk-
no ziemi śląskiej.

Czwarta część „Nad Olzą” — to wszystkim
znana pieśń „Płyniesz, Olzo, po dolinie”, nasz
hymn śląski, w którym zgłi się, że ludzie
„zmienili się bardzo”. Lecz nie tracił poeta
własy. Prosi Boga, ażeby zrzadził, by lud
śląski usłyszał pieśń Olzy, która oczyści du-
szę z grzechu i wleje w nie miłość do ziemi
ojczystej, jak Jordan w ziemi Chanaanjskiej
oczyszczył lud Izraela.

W piątej części, pisanej wierszem białym,
brzmi cichy smutek religijny.

W zakończeniu wzywa młódź śląska, by
zbudziła ziemię ojczystą z uśpienia pieśnią
polską. Ta pieśń zbłączy wszystkich „w jeden
spiew radosny” przyszłej wiosny zmarłych-
wstania.

Punktem kulminacyjnym twórczości Jana
Kubisza jest poemat „Mojeżesz” w którym za-
brzmiał ton konradowski Mickiewicza.

Mojżesza, jako niemowlę, znajduje nad
brzegiem Nilu w plecionce z trzciny rzecznej
królewna, córka Faraona. Przyjmuje go za
swego syna i oddaje kapłanom na wychowa-
nie. Uczyli go mądrości i mowy egipskiej, u-
czyli bluźnić Jehowie, uczyli zlorzeczyć oji-
czystej mowie i nienawidzić swych braci ro-
daków. Wydawało im się, że miłość ojczyzny
z pierś mu wydarli, lecz miłość ta okazała
się trwałszą, bo wyssaną z mlekiem matczy-
nym.

„I w gorącym porwywie podnosi dłoń mściwą
Ujmując się za bratem — w bój Egipcjanina
Wzywa i zabija!”

Wzgardził zaszczytami, wzgardził dosto-
jeństwami, wzgardził dobrobytem i przepę-
chem, jakim był otoczony w pałacu królew-
skim. On, który mógł być Faraonem synem, gdy-
by okazał czynem nienawiść do swego narodu,
gdyby pierś swej braci rozdarł i pokrwawił,
wybrał namioty swych braci, „gdzie i
nędza, i rozpacz, i uciemiężenie...”

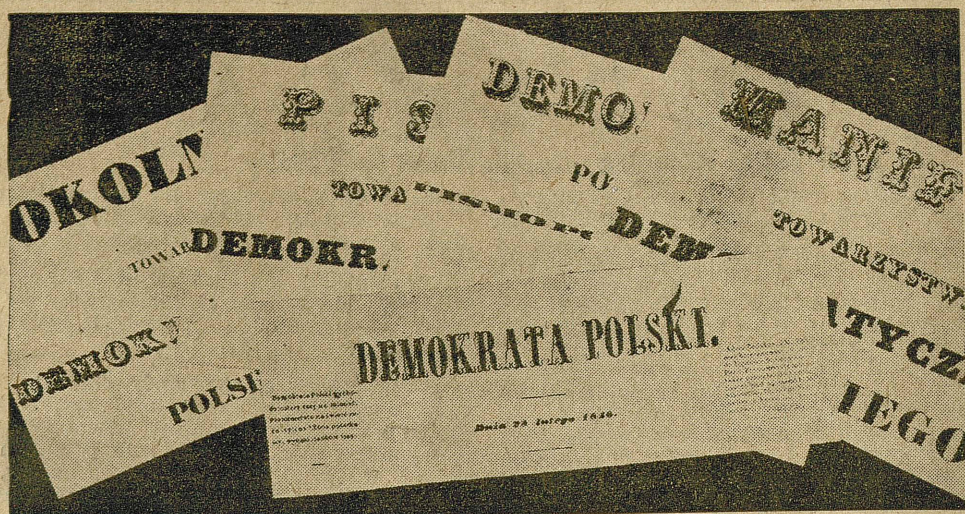
Zrozumiano „Mojeżesza”, zrozumiano jego
głębką sentencję. Poeta osiągnął zamierzony
cel.

Oprócz tej poezji budzącej, poezji ludowej,
pisanej jednak językiem literackim polskim,
dużo tłumaczył. Są to przeważnie tłumaczenia
pieśni nabożnych.

Dla skompletowania twórczości Jana Ku-
bisza trzeba jeszcze wspomnieć o jego „Pa-
miętniku Starego Nauczyciela”, który w peł-
ni zasługiwałby na to, by się nim zaintereso-
wał szerszy ogół polskiego społeczeństwa. —
A przy obecnym rozmachu wydawniczym w
Polsce na pewno dałoby się wydać i „Pa-
miętnik” Kubisza.

Utwory Jana Kubisza zanim zostały wyda-
ne w formie książki, przeważnie drukowane
były na łamach różnych czasopism, jak:
„Gwiazdka Cieszyńska”, „Rolnik Śląski”,
„Przyjaciel Ludu”.

Co do wydawnictw książkowych należy wy-
szereżować skromny co do objętości zbiorek
poezji zatytułowany „Śpiewy starego Jakó-
ba”, wydany po r. 1890. Wstępem wierszem
tego zbioru jest utwór pt. „Do młodzi
śląskiej” — napisany na uroczystość Mie-
kiewicza na wzór „O czym tu dumać na pa-
ryskim bruku”. Drugim zbiorkiem wydanym
około roku 1900 jest mniejszy co do objętości
zbiorek pt. „Rolnik śląski”, w którym wy-
chwala stan rolniczy, Obydwa te zbiorki zna-
lazły pomieszczenie niemal w komplecie w
miniaturowym wydaniu zbiorowym jego u-
tworów poetyckich pt. „Z niwy śląskiej”, któ-
re wyszło w r. 1902 dzięki funduszowi, jaki
przeznaczył w swym testamencie na wydanie
tej książki mecenas śląski Franciszek Gór-
niak.



STO LAT TEMU 1848—1948
POD REDAKCJĄ DR. WITOLDA ŁUKASZEWICZA

Seweryn Goszczyński

Muzyka wieczorna w Krakowie

Seweryn Goszczyński (1801—1876), głośny poeta, demokrat - spiskowiec, uczestnik napadu na Belweder 29.11.1830 r., żołnierz powstania, twórca Stowarzyszenia Ludu Polskiego w latach 1834—36, przyjaciel Szymona Konarskiego. Wiersz „Muzyka wieczorna w Krakowie”, zamieszczony został w r. 1840 w „Pszonce” Leona Zienkowskiego i przedrukowany następnie na łamach „Demokraty Polskiego”, organu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, dnia 18 lipca 1840 r., tom III. Wiersz ten stanowi fragment trzeciej części „Trzech strun” Seweryna Goszczyńskiego i ilustruje wybitnie nastroje szlachty krakowskiej i galicyjskiej w chwili największego nasilenia agitacji niepodległościowej, podejmowanej przez Stowarzyszenie Ludu Polskiego.

Zachodni obłok już słońce ogarnia,
Dnia gąsnącego ostatni płomyczek,
Pozaczepiany u Marii wieżyczek,
Połyska jeszcze jak morska latarnia,
Jak flaga blasku przed ciemności nawą,
Na której wieczór młodzieńczego maja
Żegluj w przystań krakowego grodu.
Pas topolowy i cienia i chłodu,
Co serce miasta dokola ogaja,
Roi się ludem, wre swobodną wrzawą.
Słychać przegrywkę do pieśni dziękczynnej
Dla wiosny polskiej, dla wiosny rodzinnej,
Ze przez jej twórcze, dobroczynne dziwy,
Na nowo polskie zmarłych wstały niwy.
I oto naraz zabrzmiała pieśń pełna,
Lud się poruszył jak morskich wód wełna:
Pod ową polską, wojenną muzyką
Poczęły lice ludu zapalać
Życiem pół-polskim, radością pół-dziką,
I wnet wir tańców porwał rzeszę całą.
Ciesz się motłochu!

A z boku obrazu,
Jak ogrodowe posągi z głazu
Stoi tłum inny, tłum w szatach świetnych.
Jego lic radość ludu nie kala:
Niemy, pół-skruty, trzyma się z dala.
Ten drugi motłoch, to motłoch szlachetnych.

Skończone granie, bębny zawrzały,
I jakby jedna bojowa dusza
Weszła w tłum cały, pchnęła tłum cały,
Cały tłum krokiem bojowym rusza.
Jak się tu oprzeć tej żywej fali!
Porwany wspomnień i przeczuć szaleń
Sercem i nogą jej się poddałem.
Płynąłem z tłumem duszą i ciałem,
Panowie zostali.

Do mnie tu, bracie góralu!
Do mnie tu, bracie kowalu!
Do mnie tu, barki żelazne,
Czerstwe myśli, dusze różne,
Serca wiary, boju pięście,
Oblicza surowe cnotą,
Biednym odzieniem hołoto,
Przeszła wielkość, przyszłe szczęście,
Do mnie tu, ludu serdeczny!
Ja brat tobie, ja twój wieczny!
Stańmy o tak! bok przy boku,
Idźmy o tak! krok do kroku,
Tylko razem, tylko zgodnie,
A gdzie zechcemy zajdziemy niezawodnie,
Panowie niech stoją.

Panowie z nami złączyć się boją.
Oni się wstydzą pomieszać z nami,
Ich suknie krwawy pot ludu plami,
Ten okrzyk ludu bijący ku niebu,
Skamieniałemu ich sercu nieluby.
Oni w nim słyszą okłask przyszłej zguby,
Straszne podzwonne swojego pogrzebu.
Chodźmy więc sami, własną mocni siłą!
Cztery lat temu, kilkuset nas było,
Co z taką wiarą, z taką bębna wrzawą,
I takim krokiem poszliśmy tak żwawo;
I tych kilkuset cały czas zmieniło.
Tylko tłum ludu, tylko tłum dzieci
Leciał za nami, jak dzisiaj leci,
Panowie wówczas, jak w tej oto chwili,
Oczy i kroki od nas odwrócili,
I dzisiaj stoją, jak wtedy stali,
My idźmy dalej!

1 maja 1835 roku w Krakowie.

Ach zbudź się, zbudź...

Pisarze Towarzystwa Jezusowego (to ładniej brzmi, niż: jezuita) nie przywodzi na pamięć niesmacznych skojarzeń) wznawili Przegląd Powszechny, miesięcznik poświęcony sprawom religijnym, kulturalnym i społecznym.

Pismo założywszy w słowie wstępnym, że „patrzeć trzeba i widzieć rzeczy krystalicznie jasno, sądzić trzeźwo, chciałoby się rzecz, brutalnie, myśleć rzetelnie, reflektować rozumnie i zawsze właściwie, bez żadnego względu i litości, wyciągać wnioski” — biada w końcowym artykule (Wobec spraw społecznych), że rozgrywka między obozem chrześcijańskim a materialistycznym toczy się na gruncie historycznym czy społecznym nie zaś religijnym.

„Jeszcze przed laty zdawało nam się rzeczą jasną, że przeciwnicy Kościoła — piszą ojcowie jezuita — nie podejmą ani nie przyjmą z nami walki o brzołę natury religijnej rozprawy przy pomocy dowodów dogmatycznych czy teologicznych. Pisalibyśmy wówczas” — mówią dobrzy ojcowie duchowni (do takiego tylko ojcostwa skłonni są przyznawać się):

„Okoliczność ta jest wyrazem wysokiego hołdu, jaki wbrew swym intencjom składa. Ją prawdziwie religijną jej śmiertelni wrogowie. Tylko nieliczne jednostki mają odwagę uderzyć w religię bronią bezpośrednią, to jest argumentem natury religijnej. Wśród licznych rzesz zdecydowanych wrogów religii i Objawienia nieliczni są Parandowscy, którzy wysilają się, aby postawić bezpośrednio „niebo w płomieniach”.

„Obecnie zaś dodać można, że z tej ostatniej grupy, część, poznając oręż walki religijnej, poznała i samą prawdę Objawioną. Przyjęła ją lojalnie i znalazła się — w jednym z nami obozie. (to aluzja do zabawnego w niezręczności koziolka wykonanego przez Parandowskiego, przyp. nasz). Broń zaś czysto religijna i dziś rzadko jest w użyciu... Rozprawa przeszła na inne tory i potoczyła się głównie na pole ruchów społecznych. Tu się ona obecnie rozgrywa i tu się zapewne jej losy rozstrzygną”.

Droży, a właściwie drogo nas kosztujący ojcowie! — Wbrew zapowiedziom, trzeźwe jest w tym, co piszecie tylko ostatnie zdanie. Po co ludzi się (czy to z litości?), po co otruwać fikcyjne zwycięstwa? Przecież, kto na serio bierze Kościół i katolicyzm, traktuje i traktować je musi jako zjawisko socjologiczne. I tylko socjologiczne. Któżby chciał walczyć się w polemikę z czarodziejem murzyńskim przy pomocy jemu właściwych argumentów teologicznych? Kto, oprócz naiwnych i Was naturalnie — uważa doktrynę katolicką za naukę? Kto uważa „dowody dogmatyczne”, jeśli takie dowody w ogóle mogą istnieć — za dowody? Przebudźcie się z dogmatycznej drzemki.

Teofil.

Rok 1948

Rok 1948 upływa w całej Europie pod znakiem stulecia potężnego prądu rewolucyjnych ruchów społeczno-narodowych zwanych „Wiosną Ludów”. W Polsce wyłoniono Komitet obchodu stulecia „Wiosny Ludów”, złożony z najpoważniejszych ludzi nauki, zwłaszcza historyków. Wydawnictwa, radio, prasa realizują swoje plany odnowienia w świadomości narodowej znaczenia rewolucji 48 roku złączonej z nazwiskami szlachetnych patriotów i myślicieli. Szkoła sanacyjna, w której lekcje religii były obowiązujące, przedstawiała młodzieży epokę „Wiosny Ludów” tendencyjnie i fałszywie. Praca nad wydaniem nowych podręczników historii dla szkół powszechnych, rolniczych i średnich prowadzona jest przez wielu ludzi z wielkim nakładem kosztów. Rozdziały poświęcone 1848 rokowi są przedmiotem specjalnej pieczołowitości i naukowego trudu.

Tymczasem czytamy w „Tygodniku Warszawskim”.

„Rok 1948 ma być według zamierzeń Episkopatu polskiego poświęcony szczególnie Najświętszemu Sercu Jezusowemu, celem odnowienia Chrystusa w życiu jednostek”.

Paulina Czyżowa.

Jeszcze raz autentyzm

Weszło już niemal w tradycję, że kiedy poczynają mówić „autentyści”, to należy spodziewać się albo żalów, albo hurra-megalomanii (patrz: wypowiedź „Autentysty” — Ożoga. „Wiś” Nr 2 1948), lub też obu tych rzeczy wspólnie. Ten fakt potwierdza również jeden z ostatnich głosów pisarzy-auten-

tystów. Tym razem przemówił sam „prorok autentyzmu” Stanisław Czernik. W „Warszawie” — niezależnym dwutygodniku literackim z dnia 1 lutego recenzuje on tom zebranych wierszy J. B. Ożoga „Jęj Wielki Wóz”.

Zaczyna się właśnie od żalów i wyrzekań, że autentycy zwykłe nie mówią szczęścia do recenzji. Ze wynika to jakoby z niezrozumienia istoty poezji autentycznej (Ożóg powiedziałby bez ogródek, że z niedouczenia gryziopiórków — krytyków). A przecież sam Irzykowski. „którego nie można posadzać o lekkomyślny stosunek do przemian artystycznych, wyraził się na wzór wyroczni delfickiej: „Ostrożnie z autentyzmem”. Miała to być przestroga dla autentystów i ich przeciwników”. I dodaje dalej Czernik: „Warto to przypomnieć po dziesięciu latach, gdy autentyzm wytrzymał próbę życia i stał się jedyną bazą poezji, o której można mówić poważnie”. A tu już wyraźna megalomania. Może to jednak tylko chwyt propagandowo-agitacyjny dla szukających dróg poetyckich. Nie ma obawy, na autentyzm trudniej dziś nabrać, niż na egzystencjalizm, o którym Czernik mówi, jako o młodszym bracie autentyzmu.

W ogóle w doborowaniu autentyzmowi i autentystom paranteli Czernik jest charakterystyczny, a powiedziałbym więcej — komiczny. Mimo — jak sam stwierdza — iż podkreślenie domniemyanych wpływów na poezję autentyczną stwarza „niekorzystną opinię dla tej samorodnej, oryginalnej poezji”, Czernik nie zaniedbuje żadnej okazji wykazania współzależności autentyzmu z inną rodzimą lub obcą poezją. Okazuje się prawdą, że każdy prad, chociażby mający nawet największe pretensje do oryginalności, chętnie lubi wyszukiwać sobie licznych protoplastów i niemniej liczne koligacje. I tak np. u Ożoga — według Czernika — jest poza innymi Federico Garcia Lorca, a nawet „zewewnętrzna strona zestawień, bez mgły (rzekomej głębi) metafizycznej, czasami wpadająca w naturalizm, czasami przypominająca zewnętrzne efekty romantyków, a innym razem pozorna karykatura, wpadająca jakby w styl Picasso”. Ha! Ha! Lubie ludzi z autentycznym humorem. Przypnać należy — koń by się uśmieł nad takim straganem jarmarczonym.

Jeszcze na jedno „chciałbym zwrócić uwagę na końcu”. Jak mistrzowsko interpretuje Czernik egocentryczną postawę autora „Jęj Wielkiego Wozu”: „może to objaw większej indywidualności — dodaje — niemniej ten stosunek do rzeczywistości, jako do „bani poezji” rozpryskującej się nad głową poety w postaci izolującej zasłony, może się okazać w przyszłości niebezpieczny dla jego twórczości”. Ale już mniejsza o to. Być może ma Czernik w tym wiele racji. To że się trochę późno zorientował, nie jest zbyt wielką gaffą. Podobna mi się natomiast termin Czernika „do bani”. Właśnie sądzę, że w autentyzmie wiele jest „do bani”. Po przeczytaniu zaś recenzji Czernika skłonny jestem mniemać, że z autentyczną krytyką jest też coś „do bani”.

Waldemar Kiwilszo

List do Redaktora „Wiś”

Szanowny Janie Aleksandrze, odkładając napisanie artykułu wyznaczanego o poezji na jakiś czas, pośpieszam z informacją w pewnej sprawie.

Jestem wielbicielem odkrywczej poezji Jana Bolesława Ożoga, każde publicystyczne wystąpienie tego autora rozdrażnia mnie jednak, budzi moje gwałtowne sprzeciwy.

Ostatnio ogłosił Ożóg znowu uwagi o autentyzmie w „Tygodniku Warszawskim”, w którym walczyć nie bez temperamentu, rozdzając razy na prawo i lewo, usiłuje i mnie skaperować dla mglistej koncepcji swojego autentyzmu.

Oświadczam (podobne oświadczenie zresztą opublikowałem przed wojną), że nie wyrażam się za autentystę w pojęciu czernikowskim, czy ożogowskim, nie należałem do grupy autentystów, nie jestem zwolennikiem tego prądu.

Z redaktorem „Okolicy Poetów” i właściwym twórcą autentyzmu, Stanisławem Czernikiem współpracowałem żywo jedynie w początkach jego redaktorskiej działalności, to jest w latach 1935 i 1936, później nasze drogi się rozeszły.

Odszedłem, bo mi nie odpowiadały właśnie filozoficzne i społeczne założenia autentyzmu.

Łódź, 16 lutego 1948 r.

Stanisław Pięta

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król,
Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;
1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł., półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto
PKO ŁÓDŹ VII — 1080.

Obito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, żwirki 2. D—025512